

NICOLA CORNICK

NAJWYŻSZA STAWKA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doroczny bal dam podejrzanej konduity zwanych niekiedy córami Koryntu z oczywistych względów nie cieszył się dobrą sławą w eleganckich kręgach. Żadna ze szlachetnie urodzonych debiutantek nie wpisała go do swego karnetu towarzyskich wydarzeń, choć ich zde gustowane przyjwoitki chętnie powtarzały, że nie licząc ekskluzywnych klubów, je - dynie tam można spotkać wszystkich wartych zainteresowania kawalerów. Najbardziej niedostępni panowie, którzy lękali się wstąpić w progi szacownych domów, mknęli ochoczo na tę osobliwą maskaradę, która obiecywała moc niezwykłych wrażeń. Był późny wieczór, gdy Markus, szósty earl Trevithick wszedł do Argyle Rooms i wmieszał się w tłum utracjuszy. Nie był głodnym nowych doznań młodzieniaszkiem, nie szukał też kochanki, więc zjawił się, kiedy mu przyszła ochota, zamiast z pierwszymi szturmować frontowe drzwi.

Bogato udekorowana i ozdobiona kolumnami sala balowa sprawiała wrażenie równie wyzywającej jak podobne do rajskich ptaków frywolne damy, które się tam zleciały. Markus zdawał sobie sprawę, że wzbudza ich zainteresowanie. Był wysoki, postawny, więc jego powierzchowność zwracała uwagę, lecz nie uważał tego za powód do dumy. Zebrane w sali kokoty już o nim szeptały, ale wiedział, że część z nich szybko straci chętkę na bliższą znajomość, bo powodowała nimi raczej zachłanność niż żądza. Był przystojny i utytułowany, ale nie miał grosza przy duszy, ponieważ odziedziczony majątek okazał się zadłużony i mocno zaniedbany.

- Utknąłeś na wsi, kuzynie? Doszły mnie słuchy, że wciąż jesteś na północy!

Młodszy o parę lat Justyn Trevithick poklepał Markusa po ramieniu. Ojciec tego pierwszego, skandalista Freddie Trevithick, stryj Markusa, ożenił się z własną gospodynią. Kuzyni nie znali się w dzieciństwie, bo wicehrabia Trevithick, ojciec starszego z chłopców, nie pochwalał obyczajowej swobody brata i uparcie odmawiał spotkania z bratankiem. Dwudziestodwuletni Markus natknął się na Justyna w klubie i natychmiast szczerze go polubił ku wielkiemu rozbawieniu wytwornego towarzystwa i czarnej rozpaczki pruderyjnych rodziców. Po jedenastu latach znajomości nadal się przyjaźnili.

Obaj mieli charakterystyczne rysy i pociągłe twarze Trevithicków, lecz różnili się wyglądem. Markus był czarnookim brunetem, a u Justyna zwracały uwagę jasne włosy i piękne zielone oczy, które miał po matce. Czarowi jej spojrzenia dał się kiedyś uwieść lord Freddie.

Justyn odwrócił się, wziął dwa kieliszki z tacy przechodzącego kelnera i podał jeden kuzynowi, który uśmiechnął się i pochylił ciemną głowę.

- Niedawno wróciłem z Cherwell - odpowiedział. - Zostałem tam dłużej, niż planowałem. Dzierżawcy od pewnego czasu kradli, ile się dało, więc nieźle się obłowili. Ale to już przeszłość - dodał. - Taka sytuacja więcej się nie powtórzy!

- Nie sądzę, żeby dziadek choć raz odwiedził tamten dom. Pod koniec życia w ogóle nie opuszczał Trevithick. Nieuczciwi dzierżawcy natychmiast to wykorzystali.

Markus kiwnął głową. Minął już rok i trzy miesiące, odkąd przejął spadek. Szybko zorientował się, że starcza słabość, która naznaczyła kilka ostatnich lat życia poprzedniego lorda Trevithicka, dla wielu była zachętą do poważnych nadużyć. Cóż za ironia losu, że dziadek, nazywany Wrednym Lordem, na starość sam padł ofiarą kombinatorów. Jego włości obejmowały wiele majątków i dlatego Markus jeszcze nie ogarnął wszystkiego. Nadal ciągnęło się za nim sporo niezakończonych spraw. Wiele było miejsc, których nie zdążył odwiedzić.

- Zostaniesz w Londynie na czas karnawału? - zapytał Justyn.

- Powinienem, bo Nelly jest debiutantką. Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie...

- Lady Trevithick?

Markus upił spory łyk wina i skrzywił się wymownie.

- Trudno jest po piętnastu latach swobody ponownie mieszkać z matką pod jednym dachem! Poprosiłem Gowera, aby mi znalazł ładne mieszkanie, najlepiej w odległej dzielnicy.

- U Almacków widziałem dziś Eleonorę. Byłem u nich wcześniej - powiedział Justyn, taktownie zmieniając temat. Starał się ukryć złośliwy uśmiezek. - Pershore i Harriman zaprosili ją do tańca. Miała spore powodzenie. Nic dziwnego. W naszej rodzinie wszyscy są urodziwi!

Markus wybuchnął śmiechem.

- Mama jest w kropce, bo nie wie, które z nas usilniej namawiać do małżeństwa. Odnoszę wrażenie, że z moją siostrą pójdzie jej łatwiej. Ja na razie nie mam zamiaru się zenić.

- Tutaj z pewnością nie spotkasz odpowiedniej kandydatki - zauważył Justyn, odwracając się, żeby spojrzeć na piękne panie. - Ale gdybyś chciał się zabawić...

- Owszem. - Markus przyjrzał się wymalowanym kokotom. - Na razie nie zamierzam dodatkowo komplikować sobie życia.

- Widzę jedną, która byłaby tego warta!

Markus popatrzył w tę samą stronę. Na zatłoczonym parkiecie tancerze wirowali w takt walca, który stanowił dobrą wymówkę do śmiałych umizgów. Wyróżniała się wśród nich jedna para, tańcząca z wdziękiem i znajomością sztuki, a zarazem nadzwyczaj przyzwoicie. Mężczyzna był wysoki i szczupły. Markus nie przypominał sobie, żeby go kiedykolwiek spotkał. Partnerka nieznajomego wydała mu się bardzo interesująca.

Górowała wzrostem nad większością pań obecnych w sali balowej. Markus mierzył ponad metr osiemdziesiąt, a ona wydawała się niewiele niższa. Twarz zasłoniła srebrzystą maską, a na ramionach miała domino tej samej barwy, które rozwiewało się w tańcu, ukazując dobraną pod kolor i świetnie skrojoną jedwabną suknię. Modna kreacja podkreślała figurę, szczupłą, a zarazem przyjemnie zaokrągloną. Jasną cerę ożywiały rumieńce, a gęste kruczoczarne loki tworzyły skomplikowaną koafiurę. Markusa kusilo, żeby powyciągać z niej szpilki i rozpuścić starannie utrefione włosy. Uśmiechnął się na myśl o tym. Obserwując innych panów, zorientował się, że oni także rozbierają wzrokiem zgrabną dziewczynę. Być może mieli dawniej okazję spróbować zakazanego owocu.

Owa panna królowała na maskaradzie wydanej przez kokoty, więc z pewnością nie była damą. Wzruszył ramionami. Mniejsza z tym, ilu miała przed nim. Liczyło się jedynie to, że odtąd będzie należała do niego.

- Zapatrzyłeś się, Markusie? - spytał kpiąco Justyn. On również przyglądał się tańczącej parze. - Z tego, co słyszałem, jesteś dziesiąty w kolejce ubiegających się o łaski tej ślicznotki.

- Nie zamierzam tak długo czekać - mruknął Markus, nie odrywając wzroku od twarzy nieznajomej. - Kim ona jest?

- Nie mam pojęcia - odparł rozbijając Justyn. - Nikt tego nie wie. Wszyscy prześcigają się w domysłach, ale nie znają nawet jej imienia.

- Kto jej towarzyszy?

Justyn wybuchnął śmiechem, ubawiony natarczywą indagacją.

- Tym razem potrafię zaspokoić twoją ciekawość. Ten szczęściarz nazywa się Kit Mostyn. Szkoda, że nasze rodziny są skłócone, więc nie możemy poprosić, żeby nas przedstawił swojej pani.

Markus z niedowierzaniem popatrzył na kuzyna, a potem sam wybuchnął śmiechem.

- Mostyn! A to doskonale! W takim razie odebranie mu tej kobiety podwójnie mnie ucieszy.

Zdumiony Justyn uniósł brwi.

- Co to znaczy, Markusie? Planujesz miłosny podbój czy kampanię wojenną?

- Jedno i drugie - odparł bez namysłu. - Podobno na wojnie i w miłości wszystkie chwytły są dozwolone. Tak mówią, a zatem...

Tancerze wirowali teraz bliżej nich, więc można było z bliska przyjrzeć się czarującej nieznajomej, którą trzymał w objęciach lord Mostyn. Rozmawiała z nim i uśmiechała się promiennie. Markus nie żywił osobistej urazy do Kita Mostyna, lecz ich rodziny od wieków wiodły spór. Nie znał szczegółów, ale przyszło mu do głowy, że najwyższa pora zapomnieć o zadawnionych urazach. Odczekał, aż tańcząca para znajdzie się obok niego, i uklonił się lekko, żeby zwrócić na siebie uwagę damy. Popatrzyła na niego, a ich spojrzenia spotkały się na moment. Szybko odwróciła głowę, ale zapamiętał jej oczy: duże, zamglone, o srebrzystoszarych tęczówkach, nieco ciemniejszych niż jedwab sukni. Wkrótce ponad ramieniem swego tancerza rzuciła mu spojrzenie, które natychmiast określił jako zachęcające.

- Wpadłeś jej w oko. Twój pierwszy sukces - zauważył Justyn.

Markus podzielał jego zdanie. Odprowadził wzrokiem parę, która zeszła z parkietu i zatrzymała na jego skraju, a potem bez pośpiechu ruszył w ich stronę.

- Witaj, Mostyn. - Kpiący ton sprawił, że młodzieniec znieruchomiał na moment, a potem sztywno oddał ukłon. Markus popatrzył na jego towarzyszkę, bo z nich dwojga jedynie ona go ciekawiła. Z bliska wydała mu się znacznie młodsza, ale po chwili uznał, że sprawiła to głównie otaczająca ją aura niewinności niż młodzieńcze zachowanie. Pomyślał ironicznie, że wybranemu przez nią szczęściarzowi przyjdzie słono płacić za te atuty.

Wyciągnął rękę. Po chwili wahania podała mu dłoń.

- Markus Trevithick, do usług łaskawej pani. Czy mogę prosić o kolejny taniec?

Mostyn ukradkiem rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, ale nie zwróciła na to uwagi. Uśmiechnęła się do Markusa czarująco, choć bez kokieterii. Przyznał niechętnie, że zachowywała się, jakby przyszła na bal dobroczynny, a nie na maskaradę dam z półświatka. Na uśmiechniętej twarzy pojawił się nagle uroczy dołek.

- Dziękuję, milordzie. Jestem zachwycona.

Skłonił się lekko i poprowadził ją na parkiet, gdzie tancerze stawali już do kadryła. Markus zachwycił się jej wdziękiem i naturalnością, lecz po chwili opadły go wątpliwości. Cóż z tego, że wydaje się skromna i godna szacunku? Osobliwy znalazła sposób, żeby się wyróżnić z tłumu kokot i podbić swoje akcje. Tak czy inaczej zdolności aktorskie tej ślicznotki nie miały dla niego znaczenia. Zakładał, że wkrótce dojdzie z nią do porozumienia. Im szybciej, tym lepiej.

Z każdą chwilą budziła w nim większe pożądanie. Kusilo go, żeby pocałować ją w usta.

- Czy wolno zapytać, jak się pani nazywa? - spytał cicho. - Ja się przedstawiłem.

Gdy podniosła zamglone szare oczy, pod wpływem jej spojrzenia zrobiło mu się gorąco.

- Mam na imię Elizabeth, milordzie - odparła z uśmiechem, znów ukazując śliczny dołek. - Wszyscy mówią do mnie Beth.

- Tak? I co dalej...

- Nic więcej panu nie powiem - odparła po chwili namysłu. - Na maskaradzie należy zachować incognito. Pan złamał zasady, ujawniając imię i nazwisko.

Markus wybuchnął głośnym śmiechem, bo przywykł bez oporów łamać zasady dobrego tonu, które mu nie odpowiadały.

- Kim jest dla pani Mostyn? - zapytał, gdy spotkali się w tańcu po kolejnej figurze. - Chciałbym to wiedzieć, nim wejść mu w drogę.

Jej dłoń lekko drgnęła pod jego palcami, a potem wysunęła się z uścisku, bo zapowiedziano chwilową zmianę partnerów.

- Kit jest mi bardzo bliski - odparła wymijająco przy kolejnym spotkaniu.

- Rozumiem.

- Nie sądzę. - Znow przeszyła go srebrzystym spojrzeniem. - To mój serdeczny przyjaciel. Prawdziwy powiernik.

Dawny kochanek, domyślił się Markus. To wyjaśnia, dlaczego czują się w swoim towarzystwie tak swobodnie, chociaż brak między nimi erotycznego napięcia. Wulkan namiętności przygasł, pozostał tylko płomyk serdecznej przyjaźni. Markus był zazdrosny o dawne uniesienia tamtych dwojga. Chociaż słowa dziewczyny mogły również oznaczać, że teraz nie ma nikogo...

- Czy jest w pani życiu ktoś inny? - Głupie pytanie! Ma zapewne kilku wielbicieli hojnie płacących za jej łaski.

- Milordzie, nie będziemy dyskutować o tym na parkiecie.

Markus długo patrzył jej w oczy.

- A więc porozmawiajmy na osobności. Przyznam, że bardzo mi to odpowiada...

Czekał na jakiś znak z jej strony, uśmiech albo skinienie. Beth przez kilka chwil zastanawiała się nad odpowiedzią, a potem kiwnęła głową.

- Doskonale. W końcu korytarza jest gabinet...

- Wiem.

Kolejne skinienie. Gdy walc dobiegał końca, Beth wymknęła się z tanecznego kręgu i opuściła salę balową. Markus odczekał moment i poszedł za nią, oglądając się, żeby

sprawdzić, czy nie jest obserwowany. Na szczęście inni zajęci byli własnymi amatorami, więc nikt się nim nie zajmował.

Szedł korytarzem, mijając pary złączone mocnym uściskiem. Machinalnie liczył czarne i białe płyty, którymi na podobieństwo szachownicy wyłożony był korytarz. Wydawało mu się, że do przytulnego gabinetu prowadzą trzecie drzwi po lewej stronie i rzeczywiście spostrzegł w ostatniej chwili, jak znika za nimi brzeg srebrzystego domina. Beth zostawiła uchylone drzwi.

Uśmiechnął się do siebie. Początki nowej znajomości zapowiadały się obiecująco. Był nieufnym cynikiem, ale musiał przyznać, że damę o srebrzystych oczach rzeczywiście otaczała aura tajemnicy. Może chodziło jej o to, żeby rozbudzić apetyty bardziej wyrafinowanych kochanków? Pogratulować pomysłu! Nawet taki światowiec jak Markus, znudzony urokami wielkiego świata, odczuwał miłe podniecenie. Przyspieszył kroku, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Beth stała przy oknie. Wyjęła kostkę do gry z pozostawionego na stole pudełka i podrzucała jedną ręką. Gdy wszedł, nie podniosła głowy. Przez moment wydawało mu się, że jest wystraszona i zdenerwowana, ale to wrażenie zaraz minęło.

- Chcesz zagrać, kochanie? - zapytał, podchodząc bliżej.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem i długo nie odwracała wzroku tak samo jak w sali balowej. Markus nie krył rozbawienia. Niewielu znał mężczyzn i jeszcze mniej kobiet zdolnych do wzrokowego pojedynku. Dziewczyna ukryta za srebrzystą maską patrzyła śmiało i uporczywie.

- Milordzie, czy naprawdę interesuje pana taka gra?

Rozmowa stawała się dwuznaczna. Markus docenił bystrość swej wybranki i uznał, że zdobywanie kobiety rozumnej jest niezwykle interesujące. Zastanawiał się, czy ona wie, z kim ma do czynienia. Podał tylko imię i nazwisko, nie wspominając o tytule. Całkiem prawdopodobne, że wcześniej zebrała o nim informacje. Uświadomił sobie, że od początku przyglądała mu się z ciekawością. Nie był na tyle zadufany w sobie, by sądzić, że wpadł jej w oko, więc postanowiła go uwieść. Być może знаła stan jego finansów i doszła do wniosku, że wobec szlacheckiego tytułu i miłej powierzchowności ewentualnego kochanka skromne dochody nie stanowią większego problemu. A zresztą majątek, choć zaniedbany, przynosił jednak zyski, więc mogła liczyć na pewną sumkę.

Popatrzył jej w oczy i odparł z pogodnym uśmiechem:

- Tak, chętnie zagram. Co pani najbardziej odpowiada? Nieznajoma także poweselała, a dołek znów ukazał się obok kącika pięknie wykrojonych ust. Markus zapragnął nagle

zrezygnować ze stopniowego podboju i natychmiast ją pocałować. Ryzykowna taktyka, która mogła skończyć się niepowodzeniem, a zarazem kuszące wyzwanie. Zrobił krok w jej stronę, ale cofnęła się natychmiast.

- Lubię hazard - oznajmiła chłodno, bawiąc się kostką. - Tylko jeden rzut. Zwycięzca bierze wszystko.

Markus wahał się. Z jej słów jasno wynikało, że sama będzie stawką w tej grze. Podobała mu się myśl, że po zwycięskim rzucie mógłby ją mieć za darmo. Później dostałaby prezenty: dom, powóz, biżuterię...

Gdyby jednak wygrała zakład...

- Odpowiadają mi pani warunki, ale nim rzucę kostką, muszę wiedzieć, czego pani zażąda, jeśli przegram - tłumaczył bez pośpiechu. - Nie jestem bogaczem. W razie wygranej czym się pani zadowoli, kochanie?

Spokojnie czekał, aż dziewczyna wymieni fant. Może będzie to brylantowy naszyjnik, znacznie cenniejszy niż sznurek niezbyt kosztownych, ale wytwornych pereł, które otaczały jej szyję.

Podeszła tak blisko, że poczuł jej perfumy. Była to subtelna, lecz uderzająca do głowy woń jaśminu i różanych płatków, a także zapach skóry jakby rozgrzanej słonecznymi promieniami. Mniejsza o stawkę. Naprawdę warto zaryzykować.

- Nie zagarnę pańskiego majątku - odparła pogodnie. - Chcę tylko małej jego części. Da mi pan wyspę Fairhaven.

Markus popatrzył na nią z niedowierzaniem. Pośrednio zyskał odpowiedź na pytanie, czy dziewczyna wie, z kim ma do czynienia, ale jej prośba była osobliwa.

Nie zdążył jeszcze odwiedzić Fairhaven, ale wiedział, że smaganą falami wysepkę pośrodku Kanału Bristolskiego zamieszkuje garstka ludzi hodujących owce; i to wszystko. Nie miał pojęcia, dlaczego kurtyzana interesuje się takim pustkowiem.

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że trzeba z nią porozmawiać i rozwikłać zagadkę, ale zmysły upojone zwodniczą wonią perfum zachęcały, aby zaniechać sprzeciwu i przyjąć jej warunki, bo zwycięstwo i tak jemu przypadnie. Gdyby został pokonany, na pewno zdołałby ją przekonać, żeby go pocieszyła. Teraz nie pora dywagować o posiadłościach, skoro największym pragnieniem Markusa było wziąć Beth w ramiona. Resztą zajmą się później jego prawnicy.

- Zgoda - powiedział, wolno kiwając głową. - Czy jest pani osobą wiarygodną?

Dopiero teraz odwróciła głowę, unikając jego wzroku.

- A czy pan dotrzymuje słowa?

Markus wybuchnął śmiechem. Mężczyźni takie pytanie nie uszłoby płazem, ale w tym wypadku sam był sobie winien, bo pierwszy zakwestionował prawdomówność dziewczyny.

- Ja również nie unikam odpowiedzialności - zapewnił i ujął piękną dłoń, która lekko drżała. Złożył na niej pocałunek. - Ale nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Otworzyła szeroko oczy, jakby ogarnął ją strach, lecz po chwili odzyskała spokój i uniosła dumnie głowę.

- Ureguluję dług... jeśli przegram.

Markus kiwnął głową i przyciągnął ją bliżej. Oparła dłonie na jego torsie.

- Dostanę zadatek? - spytał zmienionym głosem.

- Lepiej nie. Jeśli pan przegra, a istnieje taka możliwość, zwiększy to ogólną wartość długu. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Skoro jednak chce pan zaryzykować...

Markus zdecydował w mgnieniu oka, że jest na to gotowy. Pochylił głowę i pocałował ją w usta.

Wiedział z doświadczenia, że wobec kobiet zachłanność nie popłaca. Nawet kokoty lubią, żeby je adorowano. Markus nie był napalonym młokosem, który zmierza prostą drogą do celu, więc całował ją ostrożnie i czule, trzymając w objęciach, jakby dano mu pod opiekę kruchą figurkę z porcelany. Dopiero gdy zadrżała w jego ramionach i oddała pocałunek, poczuł, że traci panowanie nad sobą. Ogarnięty pożądaniem, zapomniał o skrupułach i chciał przyciągnąć ją mocniej, ale wysunęła się z jego objęć.

- Gramy, milordzie? - spytała, lekko zdyszana.

Zajęty własnymi pragnieniami, miał nadzieję, że Beth zapomni o niedawnym zakładzie. Mimo to nie zamierzał wycofać się z umowy, skoro jej tak bardzo zależało na tej grze.

- Jak pani sobie życzy. - Wzruszył ramionami. - Jakie zasady? Pani decyduje.

- Dwie kostki. Kto wyrzuci dziewięć oczek, ten wygrywa.

Pierwsza podeszła do stołu z orzechowego drewna. Markus obserwował toczące się kostki. Pięć i cztery. Nie do wiary! Ta dziewczyna miała diabelne szczęście. Westchnęła, jakby kamień spadł jej z serca. Gdy odwróciła się twarzą do światła, oczekiwał miny wyrażającej zachłanność i poczucie tryumfu, ale pomylił się, bo uradowana Beth tylko odetchnęła z ulgą.

- Dostanę Fairhaven, prawda? - powiedziała trochę niepewnie. - Dotrzyma pan słowa, milordzie?

Markus nie odpowiedział. Dopiero teraz ogarnęły go wątpliwości. Głos rozsądku, słaby, ale uporczywy, zachęcał do przemyślenia całej sprawy.

Beth znowu podeszła bliżej, a fałdy sukni musnęły jego udo. Pod wpływem jej bliskości znowu poczuł wzbierające pożądanie, ale zduślił je w zarodku, próbując się skoncentrować.

- Po co pani ta wyspa? - zapytał.

Roześmiała się i dopiero teraz przybrała tryumfalny wyraz twarzy, którego spodziewał się przed chwilą.

- Trochę za późno na takie pytania, milordzie! Nasza dyskusja jest teraz czysto akademicka. - Cofnęła się o krok, szeleszcząc jedwabną suknią. - Mój prawnik skontaktuje się jutro z pańskim adwokatem. Dobranoc, milordzie.

Odwróciła się, chcąc odejść, ale Markus chwycił ją mocno za ramię i obrócił tak, że stanęli oko w oko. Niecierpliwym gestem zerwał srebrzystą maseczkę, odsłaniając niezwykle piękną twarz o idealnym owalu. Szare oczy patrzyły spod ciemnych brwi, nos był mały i prosty. Pięknie wykrojone usta przestały się uśmiechać. Beth oddychała szybko, więc od razu poznał, że ogarnął ją strach. Uświadomił sobie również, że nie jest kurtyzaną, za którą się podawała. Z niejasnych powodów rozgniewało go to odkrycie.

- To nie jest dla pani odpowiednie miejsce - oznajmił z naciskiem.

- Owszem - przyznała. - Naprawdę uwierzył pan, że jestem kokotą, milordzie?

Markus mimo woli wybuchnął śmiechem.

- Naturalnie, ale gdy panią pocałowałem, ogarnęły mnie wątpliwości.

Te słowa dały mu pewną przewagę. Beth zarumieniła się i próbowała uwolnić ramię z mocnego uścisku. Cofnął się i opuścił ręce, z przesadną galanterią schodząc jej z drogi. Z pewnością nie była kurtyzaną, lecz nadal jej pragnął. Nie miał pojęcia, kim jest, ale obiecał sobie, że dowie się wszystkiego.

- Dotrzyma pan słowa? - spytała znowu.

- Nie ma mowy. - Uśmiechnął się i skrzyżował ramiona na piersi.

Po jej minie poznał, że jest wściekła. Srebrzyste oczy płonęły gniewem.

- Zmuszę pana! - ostrzegła.

- W jaki sposób? - Markus uśmiechnął się kpiąco. - Proszę mi nie wmawiać, że gdybym wygrał, pani dotrzymałaby obietnicy.

Zarumieniła się jeszcze bardziej i zacisnęła usta.

- Nieważne, jak bym postąpiła. Przegrał pan, jedynie to się liczy. Podobno nie ma pan zwyczaju uchylać się od płacenia długów honorowych. To pana własne słowa!

- Kłamałem!

- Oszust i łgarz! - rzuciła pogardliwym tonem. - Powtarzam, że jutro mój prawnik zgłosi się do pańskiego adwokata w sprawie przekazania Fairhaven. Proszę mu polecić, żeby przygotował stosowną umowę i wszelkie potrzebne dokumenty.

Opuściła gabinet, trzaskając drzwiami. Markus długo słyszał szybki i donośny stukot obcasów o marmurową posadzkę. Sięgnął po kostki i usiadł na krześle, uśmiechając się szyderczo. Nie do wiary, że dał się podejść. Mimo niecodziennych okoliczności nie powinien mylić damy z kokotą. Jak młokos dał się zwieść pożądaniu. Beth bez trudu wodziła go za nos... a raczej za inną, równie ważną część ciała. Po raz pierwszy w życiu dał się tak oszukać, całkowicie ulegając własnym popędom.

Machinalnie rzucił kostkami. Został oszukany, a powody, dla których Beth użyła podstępów, nadal były dla niego tajemnicą. Postanowił wyjaśnić tę sprawę i dowiedzieć się czegoś więcej o zagadkowej damie. Nadal jej pożałował. Zniecierpliwiony wstał z krzesła. Powinien się napić, i to szybko.

Justyn znalazł kuzyna w bufecie, gdy tamten wychylał jednym haustem pierwszy kieliszek brandy. Przy drugim młodszy z Trevithicków pytająco uniósł brwi.

- Zawód miłosny?

- Brak szczęścia w grze - odparł Markus z ponurą miną.

Chwycił kuzyna za ramię i pociągnął w cień kolumnady, daleko od uszu ciekawskich plotkarzy. - Lepiej ode mnie znasz się na genealogii. Czy Kit Mostyn ma siostrę? Justyn kiwnął głową.

- Tak. Jest od niego młodsza. Niedawno owdowiała. Ma na imię Charlotte. Podobno to śliczna blondynka, ale od dawna nie bywa w towarzystwie, więc trudno powiedzieć, jak jest naprawdę.

Markus zmarszczył brwi. Imiona się nie zgadzały. Beth z pewnością nie była jasnowłosa. Nie sprawiała również wrażenia domatorki. Wręcz przeciwnie, wyglądała na duszę towarzystwa. Może istotnie jest kochanką Mostyna, pomyślał, i ta hipoteza go wzburzyła.

- Co z tobą, Markusie? - zapytał Justyn. - Sądziłem, mój stary, że zamierzasz dokonać nowego podboju, a nie układać zawiłą intrygę!

- I miałeś rację - odparł pogrążony w zadumie Markus. Nagle poweselał i niósł kieliszek. - Znajdź mi butelkę, a opowiem ci tę historię od początku do końca.

- Nie do wiary, że się na to odważyłaś, Beth. Christopher Mostyn mówił cichym, łagodnym głosem, lecz jego kuzynka doskonale wiedziała, że jest rozgniewany. Znali się tak

długo, że na podstawie drobnych symptomów potrafiła bez trudu określić jego nastroje i odczucia.

- Sam uparłeś się, żeby tu ze mną przyjść.

- Wybrałem się z tobą na maskaradę dam z półświatka, ale nie sądziłem, że zachowasz się tak nierozsądnie!

Kit przemawiał karcącym tonem, więc umilkła. Jako głowa rodziny miał prawo oceniać jej postęпки. Zwykle był tak uprzejmy i serdeczny, że chętnie słuchała jego rad i sugestii.

Siedziała z głową wspartą o miękkie poduszki wyściełające wnętrze powozu. Zamknęła oczy i wspominała dzisiejsze wydarzenia. Sama nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na taką śmiałość. Kit usłyszał tylko część opowieści, tę dotyczącą zakładu. Beth zdawała sobie sprawę, że gdyby dowiedział się o pocałunku, rozwścieczony z pewnością wyzwałby Trevithicka na pojedynek, zdecydowanie pogarszając sytuację, która i tak była bardzo skomplikowana. Beth otworzyła oczy i spojrzała w okno. Jechali w milczeniu cichymi, opustoszałymi ulicami Londynu, mijając strefy przymglonego światła lamp i zalegającego między nimi cienia. Dzięki temu mogła ukryć rumieńce, które pojawiały się na policzkach, ilekroć myślała o Markusie Trevithicku. Gdyby wygrał... Na samą myśl o tym wzdrygnęła się lekko. Człowiek jego pokroju mógłby nalegać, żeby natychmiast mu się oddała na stole do gry w karty albo na podłodze ... Ale szczęście mu nie dopisało. Beth wydała przeciągłe westchnienie ulgi.

Trevithick... W jej rodzinie od wczesnego dzieciństwa wpajano nienawiść do tego nazwiska. Nianie opowiadały maluchom straszliwe historie o nikczemności odwiecznych wrogów. Lordowie z Trevithick to nuworysze bez przeszłości. Mostynowie potrafili wyliczyć swych antenatów do czasów Wilhelma Zdobywcy, a nawet jego poprzedników. Trevithickowie odebrali im majątki podczas wojen domowych, a dwa pokolenia wstecz wyrwali również wyspę Fairhaven wraz z rodowym skarbem i mieczem o nazwie Saintonge. Od tamtego czasu Mostynów prześladował pech, a ich gwiazda przygasła, podczas gdy ród Trevithicków mnożył się i rósł w siłę niczym chwast.

Markus Trevithick... Beth ponownie zadrżała. Nie wyglądał na nikczemnika, ale z pewnością był niebezpieczny. Najprzystojniejszy mężczyzna wśród wszystkich jej znajomych. Jako młodziutka dziewczyna poślubiła znacznie starszego mężczyznę, więc w sprawach serca i alkowy miała nader skromne doświadczenie, lecz nawet dla niej na pierwszy rzut oka było oczywiste, że inni mężczyźni nie mogli się równać z Markusem.

Powóz stanął przed domem na Upper Grosvenor Street, który wynajęła na czas pobytu w Londynie. Kit wysiadł i okazując jedynie chłodną uprzejmość, pomógł Beth wysiąść z powozu. Bez słowa wszedł z nią po schodach i przepuścił w drzwiach prowadzących do sieni. Beth zagryzła wargi. Nie miała wątpliwości, że jest w niełasce.

Charlotte Cavendish, siostra Kita, siedziała w czerwonym salonie. Zapomniany tamborek leżał obok niej na kanapie. Czytała „Wikarego z Wakefield” Olivera Goldsmitha, ale na widok gości z uśmiechem odłożyła książkę. Podobnie jak brat, miała bardzo jasne włosy. Oczy były niebieskie, postać wysoka i smukła. Fryzurę ozdobiła czarną koronką, żeby podkreślić wdowi stan, nie wkładając ciemnego czepek.

- Nareszcie jesteście! Już myślałam, że się was nie doczekam. Kusilo mnie, żeby pójść spać... - Spoważniała, widząc zaciętą minę brata i rumieńce Beth. - O Boże! Co się stało?

- Zapytaj naszą kuzynkę - rzucił Kit, zdejmując białe rękawiczki. - Idę do biblioteki, żeby w spokoju wypić kieliszek brandy!

Charlotte popatrzyła na Beth.

- Ojej! Coś ty znowu narobiła?

Beth podeszła do wielkiego czerwonego fotela stojącego naprzeciwko kanapy i usiadła skulona. Była coraz bardziej zirytowana; dokuczalo jej również poczucie winy.

- Kit robi z siebie świętoszka, a przecież to był jego pomysł, żeby pójść na bal kokot.

Charlotte aż pisnęła z oburzenia i na moment zasłoniła usta dłonią.

- Powiedziałaś, że wybieracie się na raut wydawany przez lady Radley.

- Istotnie, lecz potem Kit wpadł na pomysł, żeby popatrzeć, jak się bawią córki Koryntu. - Beth wierciła się niespokojnie pod zgorzonym spojrzeniem kuzynki. - Byliśmy w maskach, więc moim zdaniem nikt na tym nie ucierpiał. - Przybrała buntowniczy wyraz twarzy. - Dobrze, Lottie, przyznaję, że poszłam tam z ciekawości.

- Beth, kochanie - odparła Charlotte słabnącym głosem. • - Boleję nad tym, że w mieście czuję się fatalnie i nie mogę ci towarzyszyć w twoich wyprawach, ale sądziłam, że u boku Kita nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

- Myliłaś się, i to bardzo - odcięła się Beth. Nagle przyszło jej do głowy, że najprościej będzie zrzucić całą winę na kuzyna. - Narobiliśmy sobie kłopotów, bo Kitowi zachciało się nowych rozrywek.

- Jakich kłopotów? - zapytała Charlotte takim tonem, jakby nie była pewna, czy chce wiedzieć, co zaszło.

Beth ziewnęła. Była okropnie zmęczona, więc marzyła, żeby nareszcie położyć się do łóżka, ale odczuwała też silną potrzebę zwierzeń. Od roku Charlotte stała się jej bliska jak

siostra. W dzieciństwie i wczesnej młodości było inaczej, bo starsza o pięć lat kuzynka była dla Beth niedościgłym wzorem.

Wszyscy troje wychowywali się razem, ale z upływem lat rozjechali się w różne strony. Charlotte poślubiła wojskowego i podążała za nim z miejsca na miejsce. Kit spędził kilka lat w Indiach, a Beth w wieku lat siedemnastu została sierotą bez grosza przy duszy. Krewni i przyjaciele sugerowali, że powinna zostać nauczycielką lub guwernantką, ale dwa dni po zakończeniu żałoby sir Frank Allerton, wdowiec i posiadacz majątku równego włościom Mostynów, wystąpił z inną propozycją. Nie należał do grona znajomych Kita, ale Beth pamiętała, że jej ojciec uważał go za uczciwego człowieka, więc przyjęła oświadczyły.

Nie żałowała nigdy tej decyzji, choć *mąż* nie dał jej dziecka, o którym marzyła. Gdy byli małżeństwem, sprawy domowe i problemy parafii wypełniały czas, ale gdy Frank zmarł, dziewiętnastoletnia wdowa poczuła się nagle samotna. Kit odziedziczył Mostyn Hall oraz tytuł związany z majątkiem, ale rzadko bywał w rodzinnym domu, chętnie zastępowała go, sprawnie zarządzając majątkiem. W rok po niej owdowiała także Charlotte. Jej mąż zginął podczas odwrotu z Almeiry, więc i ona powróciła do Mostyn. Tak się szczęśliwie złożyło, że kuzynki szybko znalazły wspólny język, choć Charlotte była opanowana i rzeczowa, a Beth w gorącej wodzie kąpana.

- Co się właściwie zdarzyło? Jakie mieliście kłopoty? - spytała znowu Charlotte, a Beth wróciła do rzeczywistości. - Pojechaliście na ten nieszczęsny bal...

- Tak. Mieliśmy zostać tylko chwilę, ale podejrzewam, że gdyby Kit był sam, dłużej by tam zabawił. - Beth uśmiechnęła się kpiąco. - Lottie, muszę przyznać, że jestem zaskoczona tym, co zobaczyłam. Cóż za rozpasanie, jaka swoboda obyczajów... Charlotte była wyraźnie zniecierpliwiona. - A czego się spodziewałaś? Przecież to zabawa kobiet upadłych, a nie bal na królewskim dworze.

- Tak, wiem. - Beth westchnęła ciężko. - Wszyscy się na mnie gapili. Pewnie sądzili, że jestem nierządnicą - dodała, nie czekając, aż kuzynka powie to za nią.

- Zważywszy okoliczności, mieli prawo tak sądzić - przyznała Charlotte. - Poza tym masz śliczną figurę, a panowie. ..

- Daruj sobie - przerwała natychmiast Beth, bo przypomniały jej się natarczywe spojrzenia, którymi obrzucał ją Markus Trevithick. - Wydawało mi się, że chcesz usłyszeć, co tam zaszło.

- Tak - przyznała Charlotte pojednawczym tonem, a Beth, nie wdając się w szczegóły, opisała krótko taniec z Markusem.

- Stałam z nim do kadryla. To był lord Trevithick. Sama wiesz, że nie utrzymujemy z nimi żadnych kontaktów towarzyskich. Wiedział, kim jest Kit, ale daremnie próbował czegoś o mnie się dowiedzieć. Wypytywał o moje imię i nazwisko...

- Wcale mnie to nie dziwi - wtrąciła z przekąsem Charlotte. - Składał ci niemoralne propozycje?

- Lottie! - obruszyła się Beth, a potem dodała z uśmiechem: - No cóż...

- Trudno go winić z tego powodu. - Charlotte sprawiała wrażenie zde gustowanej, a zarazem nieco rozbawionej. - Ten biedak sądził, że jesteś kokotą, i bez wątpienia uznał, że wpadł mu w ręce prawdziwy skarb.

- Sprawy miały się nieco inaczej - zaczęła ostrożnie Beth. - Owszem, dał mi do zrozumienia, czego pragnie, a ja... robiłam mu nawet pewne nadzieje. - To bezsensowne, ale trudno jej było opowiadać o niedawnych wydarzeniach. Nie potrafię ująć ich w słowa, nie zdradzając przy tym, co czułam, pomyślała bezradnie. Charlotte nie była idiotką. Umiała czytać między wierszami i domyśliła się, co ukrywa Beth.

- Tak się składa, że od razu pomyślałam o Fairhaven - tłumaczyła pośpiesznie. - Wiesz, że próbowałam złożyć Trevithickowi ofertę kupna wyspy. Nagle przyszło mi do głowy, że o wiele ciekawiej byłoby ją od niego wygrać. - Beth zerknęła spod rzęs na Charlotte, która spoważniała i zmarszczyła . czoło. - zaproponowałam, żebyśmy poszli do gabinetu i rzucali kostkami. Stawką miała być Fairhaven, a...

- Beth! - zawołała błagalnie Charlotte. - Żartujesz, prawda? Trevithick postawił wyspę, tak? Jaka była twoja stawka?

Beth milczała. Spojrzenia szarych i niebieskich oczu spotkały się wreszcie. Charlotte jęknęła boleśnie i ukryła twarz w dłoniach.

- Mam posłać po twoje sole trzeźwiące? - zapytała Beth, zrywając się z fotela. Zadzwo niła na służącą i podbiegła do kanapy. - Zaraz poczujesz się lepiej.

- Dzięki, nic mi nie jest - odparła Charlotte, choć trochę pobladła. - Ty czułabyś się o wiele gorzej, gdyby Trevithick wygrał i domagał się swojej nagrody. Domyślam się, że szczęście mu nie sprzyjało.

- I masz rację! - Beth czuła, że się rumieni. - Wygrałam.

Gdyby było inaczej, odmówiłabym spełnienia obietnicy.

Przecież to tylko gra.

- Nic dziwnego, że Kit był wściekły! - odparła Charlotte słabym głosem. - Rozmawiałaś na osobności z mężczyzną, który wziął cię za kokotę, hazardowałaś się, z

własnej woli byłaś stawką w grze... - Charlotte raz po raz wahała się trzeźwiące przyniesione przez służącą. Jej policzki z wolna się zaróżowiły.

- Wystraszyłam cię - wyznała skruszona Beth.

- Owszem - przyznała Charlotte. Spojrzała kuzynce prosto w oczy, a potem lekko pokiwała głową. - Ilekroć popełniasz kolejne głupstwo, jestem przekonana, że nie zdołasz mnie już bardziej wytrącić z równowagi, a jednak zawsze ci się udaje!

- Przepraszam! - zawołała Beth, obiecując sobie w duchu, że nie zdradzi kuzynce ze szczegółami, co dziś zaszło. - Sama wiesz, jak bardzo zależy mi na odzyskaniu Fairhaven. - Mam nadzieję, że nie jesteś gotowa na wszystko, byle postawić na swoim. - Charlotte wyprostowała się i poklepała siedzenie kanapy. - Chodź do mnie. Twoja obsesja jest po prostu śmieszna. Nasza rodzina dawno temu straciła tamtą posiadłość. Przeszłości nie zmienisz, więc daj sobie spokój. Beth milczała. Była świadoma, że Charlotte ma bardzo praktyczne podejście do świata i nie podziela jej magicznego rozumienia przeszłości oraz rodowego dziedzictwa. Beth doskonale pamiętała, że w dzieciństwie dużo czasu spędzała na klifowym wybrzeżu Devon, wpatrzona w morskie fale i widoczną na horyzoncie ciemniejszą smugę. Tam leżała utracona wyspa. Opowieści o dziadku, porywczym Charlesie Mostynie oraz jego zmaganiach z podłym i tchórzliwym wrogiem, który nazywał się George Trevithick, zawładnęły dziecięcą wyobraźnią i mimo upływu lat nie straciły nic z dawnej siły. Intrygi sprawiły, że pięćdziesiąt lat temu lord Mostyn stracił Fairhaven. Beth przysięgła sobie, że odzyska wyspę. Była święcie przekonana, że jeśli tego dokona, szczęście znów uśmiechnie się do rodziny. Odziedziczyła po mężu spory majątek i była niezależna finansowo, więc dwukrotnie zwracała się do George'a Trevithicka zwanego Wrednym Lordem z propozycją kupna wyspy za podwójną cenę, ale z irytacją odrzucił te propozycje. Mimo przeszkód nie rezygnowała, gotowa wystąpić z podobną ofertą do nowego lorda, jego wnuka i spadkobiercy. Między innymi dlatego przyjechała do Londynu. Tak się jednak złożyło, że przewrotny los podsunął jej inną możliwość, a ona pochopnie, wręcz głupio od razu z niej skorzystała.

Jednak mój dzisiejszy postępek, z pozoru szalony, może przynieść wymierne korzyści, pomyślała. Niezależnie od okoliczności wyspa była teraz jej własnością jako stawka w uczciwej grze. Beth postanowiła sobie, że odzyska wygraną.

- Jaki jest ten Markus Trevithick? - zapytała uspokojona Charlotte. - Co o nim sądzisz?

Beth wzdrygnęła się lekko. Dziękowała w duchu niebiosom, że osłonięta abażurem lampa w salonie rzuca przyćmione światło, a ogień na kominku przygasa. W jasnym blasku dnia nie zdołałaby ukryć rumieńca.

- Jest w wieku Kita, może trochę starszy - odparła z pozoru obojętnie. - Wysoki, smagły brunet. Przypomina trochę starego lorda.

- Tamtego nazywano Wrednym - powiedziała zamyślona Charlotte. - Myślisz, że wnuk odziedziczył po nim nie tylko majątek, lecz i cechy charakteru?

- Kto wie? - Beth zadrzała. - Za krótko z nim rozmawiałam, żeby wyrobić sobie opinię w tej materii.

- Jakie było twoje pierwsze wrażenie co do jego charakteru i sposobu bycia? - Charlotte nie dawała za wygraną. - Jest sympatyczny? Czy jego towarzystwo sprawiło ci przyjemność?

Owszem... Trudno zaprzeczyć. Beth nie mogła zapomnieć uścisku silnych ramion, zmysłowej natarczywości całujących ją namiętnie ust. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z takim mężczyzną. Niestety, okazał się kłamcą. Wciąż stawała jej przed oczyma jego drwiąco uśmiechnięta twarz. Beth zarumieniła się i unikała spojrzenia Charlotte.

- Raczej nie - odparła. - Jest arogancki i zadufany w sobie. Nie polubiłam go.

Charlotte ziewnęła szeroko.

- Jestem senna. Idę spać. - Pochyliła się, cmoknęła Beth w policzek, wstała i obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Naprawdę nie zdradziłaś lordowi Trevithickowi swoje - go imienia i nazwiska?

- Oczywiście, że nie - zapewniła skwapliwie Beth. Uświadomiła sobie, że przynajmniej w tej kwestii nie mija się z prawdą.

- Towarzyszył ci Kit, ale byłeś w masce - dodała Charlotte, nie kryjąc zadowolenia. - Dzięki Bogu! To nam oszczędzi koszmarne skandalu, który wybuchłby niezawodnie, gdyby wyszło na jaw, że zjawiłaś się na balu zorganizowanym przez tak zwane córki Koryntu. Ludzie uznaliby...

- Zawiesiła głos. - Mniejsza z tym. Na przyszłość zastanów się dwa razy, nim popełnisz kolejne głupstwo.

Gdy drzwi zamknęły się za Charlotte, Beth opadła na poduszki kanapy i wydała przeciągłe westchnienie ulgi. Kuzynka miała całkowitą rację. Dama uczestnicząca w zabawie tanecznej londyńskich kokot miałaby paskudnie zaszarganą reputację. Beth postanowiła nie przyznawać się, że lord Trevithick widział jej twarz bez maski. Długo patrzyła w ogień dogasający w kominku. Po namyśle doszła do wniosku, że to szczegół bez znaczenia, bo skłócone rodziny obracają się w różnych kręgach towarzyskich. Miała na głowie ważniejsze sprawy. Jutro z samego rana powinna wysłać do lorda swego prawnika nazwiskiem Gough.

Kiedy będzie miała w kieszeni dokument potwierdzający, że jest właścicielką Fairhaven, natychmiast wyjedzie do Devon.

Choć Markus Trevithick zapowiedział, że nie odda jej wyspy, postanowiła się tym nie przejmować. Wartość rynkowa Fairhaven była znikoma. Trevithick miał wiele innych, znacznie wyżej szacowanych domów i majątków. Z wyspą nie łączyły go więzy uczuciowe. Skalista posiadłość była mizernym dodatkiem do zasobniejszych włości. Gdyby trwał w uporze i nie chciał się jej pozbyć, Beth mogła ponowić ofertę kupna. Z zadowoleniem pomyślała, że ma dość pieniędzy, żeby podbijać cenę tak długo, aż postawi na swoim. Chodziły słuchy, że lordowi brakuje gotówki, więc sądziła, że zdoła go przekonać do korzystnej transakcji.

Przegarnęła żar w kominku, zgasiła lampę i poszła na górę do swojej sypialni. Rozważyła całą sprawę, więc powinna na pewien czas oderwać się od natrętnych myśli, lecz daremnie próbowała zająć umysł innymi kwestiami. Nie wiedzieć czemu nieustannie powracało do niej wspomnienie o spotkaniu z Markusem Trevithickiem. Stawał jej przed oczyma nawet wówczas, gdy położyła się do łóżka. Wmawiała sobie, że zetknęli się po raz pierwszy i ostatni, ale miała przeczucie, że będzie inaczej. Powtarzała w duchu, że nie chce go więcej widzieć, ale wewnętrzny głos, natrętny i dokuczliwy, raz po raz zarzucał jej, że okłamuje samą siebie.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Hazardzista, nicpoń, włóczykij! - perorowała tryumfalnie wicehrabina Trevithick, pstrykając rytmicznie palcami. Dystyngowana wdowa była w złym humorze.

Domownicy spotkali się przy śniadaniu. Promienie jesiennego słońca wpadały przez wydłużone okna i lśniły na stołowych srebrach. Tylko trzy z licznych krzeseł otaczających duży stół były zajęte. Jedna z sióstr Markusa zamierzała przyjechać do Londynu na jesienny sezon, ale była jeszcze w drodze; druga bawiła z wizytą u przyjaciół. Miała u nich pozostać przez kilka tygodni. W londyńskim Trevithick House, gdzie się zatrzymał, przebywała tylko Eleonora, najmłodsza z rodzeństwa, no i rzecz jasna sama wicehrabina.

- Włóczykij, mamó? - zapytał uprzejmie Markus. - Skąd ten zarzut?

Zdawało mu się, że słyszy stłumiony chichot, więc zerknął na Eleonorę, która pochyliła się nad talerzem z grzankami. Z pozoru sprawiała wrażenie przeciętnej debutantki, ale wiedział, że nie brak jej inteligencji i poczucia humoru. Na szczęście wicehrabinie nie udało się zabić w córce owych przymiotów w czasie wieloletniego pobytu Markusa za granicą.

- Włóczyysz się po wszystkich europejskich dworach! - oznajmiła wicehrabina. Zimne, szare oczy spojrzały drwiąco na wyrodnego syna. - Jak uciekinier jeździsz z kraju do kraju.

Zirytowany Markus złożył gazetę i zmiął ją nerwowym gestem. Od rana bolała go głowa, zapewne dlatego, że wczoraj wieczorem wypił z Justynem za dużo brandy. Kąśliwe uwagi matki nie poprawiły mu nastroju. Dziwne, że do listy jego wad nie dodała pijaństwa.

- Nie wydaje mi się, żeby podróż do Austrii z misją dyplomatyczną u boku lorda Easterhouse'a można było nazwać włóczęgostwem - odparł lodowato. - Jeśli chodzi o pozostałe zarzuty, masz trochę racji.

- Markusie, z pewnością trudno cię uznać za nicponia - zapewniła pojednawczo Eleonora. Piwne oczy lśniły radośnie. - Sama słyszałam, że odkąd wróciłeś do Anglii, nasze majątki są znacznie sprawniej zarządzane.

- Dostyc, moja panno! - wtrąciła opryskliwie wicehrabina, żując nerwowo kęs chleba. - Nie wyrywaj się ze swoim zdaniem. Jeśli będziesz się odzywać niepytana, jak znajdziemy ci odpowiedniego męża? Trudno będzie również o żonę dla twojego brata. Lady Hutton wspomniała niedawno, że chętnie wydałaby za Markusa swoją Marię, gdyby zechciał się wreszcie ustatkować, w co wątpi. Z tego wniosek, że nie dostanie nam się posag tej małej, a jest warta przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy funtów!

Markus westchnął. Nie dość, że matka bez cienia skrupułów wyrażała krytyczne opinie na każdy temat, to jeszcze traktowała go jak uczniaka. Nie był w stanie pojąć, jak to znosi Eleonora. Wcale by się nie zdziwił, gdyby przyjęła oświadczyń pierwszego lepszego adoratora, byle tylko wyrwać się spod skrzydeł matki. Zdawał sobie sprawę, że jego przyjaźń z Justynem stanowi dla lady Trevithick kolejny powód do niezadowolenia, jako że nie pogodziła się nigdy z faktem istnienia młodego kuzyna, a w towarzystwie ledwie odpowiadała na jego ukłony. Markus westchnął ciężko i doszedł do wniosku, że rodzina jest źródłem nieustannej zgryzoty.

Jakby w odpowiedzi na jego dywagacje do jadalni wszedł kamerdyner Penn.

- Pan Justyn czeka przed drzwiami i pyta o pana, milordzie. Mam go wprowadzić?

Markus uśmiechnął się kpiąco.

- Naturalnie, Penn! Każ przynieść dodatkowe nakrycie. Mój kuzyn zapewne nie jadł śniadania.

Wicehrabina mruknęła coś niewyraźnie i ciężko podniosła się z fotela.

- Idę do biblioteki. Mam do napisania kilka listów. Nie wykluczam, że córka Dextera okaże się dla ciebie właściwą kandydatką na żonę, ale żeby to stwierdzić, muszę szybko przeprowadzić małe dochodzenie.

- Jeśli chodzi o mnie, pośpiech nie jest wskazany, mam - odparł Markus. Rodzicielka obrzuciła go karcącym spojrzeniem, a siostra obdarzyła ukradkowym uśmiechem. - Byłoby lepiej dla panny Dexter, żeby opływała we wszelkie dostatki, bo inaczej nie dam się skusić.

- Markusie, nie drocz się z nią - szepnęła Eleonora, gdy matka wyszła z jadalni. - Spróbuj nie zwracać uwagi na docinki.

- Trudne zadanie - rzucił oschle. - Przeklinam dzień, w którym uznała za stosowne zostać moją swatką. - Twarz mu złagodniała, kiedy spojrzał na siostrę. - Nie mam pojęcia, kochanie, jak znosisz jej tyrady.

Eleonora bez słowa pokręciła głową. Do jadalni wszedł Justyn. Podał rękę Markusowi, a kuzynkę pocałował w policzek.

- Eleonoro, cieszę się, że lady Trevithick nie zabrała cię ze sobą.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły.

- Jej lordowska mość nalega, żeby panna Eleonora udała się do biblioteki - oznajmił donośnym głosem Penn. - Jest tam lord Prideaux. Przyszedł z wizytą.

Eleonora wymieniła z bratem i kuzynem znaczące spojrzenia, lecz posłusznie opuściła salon. Markus wskazał dzbanek z kawą.

- Justynie, usiądziesz ze mną do śniadania? Przepraszam za fatalne maniery mojej matki.

Justyn wybuchnął śmiechem.

- Chętnie coś przekaszę, a co do reszty, nie warto się tym przejmować. Martwi mnie tylko, że zdaniem lady Trevithick towarzystwo lorda Prideaux jest dla Eleonory stosowniejsze od mojego. To hulaka i utracjusz, ale ma niewątpliwy atut, ponieważ jego rodzice to przykładne małżeństwo.

- Twoi również.

- Owszem, lecz pobrali się dopiero, gdy przyszedłem na świat. - Julian nalał sobie kawy. - Jak się dzisiaj czujesz, staruszkule? Muszę przyznać, że głowa mi pęka. Brandy musiała być kiepska, choć wyglądała nieźle.

- Kawa postawi cię na nogi - odparł z roztargnieniem Markus, bo przyszło mu do głowy, że podły trunek stanowił przeciwieństwo tajemniczej przeciwniczki spotkanej podczas wczorajszego balu. Zapewne miała więcej zalet ukrytych niż jawnych. Prawdziwa królowa balu, mistrzyni maskarady... i kto jeszcze? Przysiągł sobie, że rozwikła tę zagadkę. Wczorajszej nocy przy butelce fałszowanej brandy opowiedział Justynowi uładzoną wersję sekretnej *tete - a - tete* z zamaskowaną damą. Im obu jej postępowanie wydało się równie zagadkowe. Justyn o wiele lepiej niż Markus znał swego dziadka, piątego lorda, który umyślnie wziął go do siebie, żeby utrzymać nosa starszemu synowi. Wnuk mieszka - jacy pod jednym dachem z głową rodziny niejako mimo woli poznał wiele rodowych sekretów i orientował się nieźle w sprawach majątkowych, ale i ta wiedza nie pomogła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego zagadkowa dama pragnęła być właścicielką Fairhaven.

Drzwi znów się otworzyły i do jadalni wszedł Penn.

- Przyszedł pan Gower. Chce się z panem widzieć, milordzie. Twierdzi, że sprawa jest pilna.

Markus spochmurniał i popatrzył na zegar kominkowy. Za wcześnie na rozmowę o interesach, ale nie można wykluczyć, że Gower znalazł mu wreszcie obiecane mieszkanie na drugim końcu miasta. Im wcześniej omówią szczegóły, tym lepiej. Pomyślał znowu o wczorajszych zdarzeniach i uświadomił sobie, że był jeszcze jeden powód, który mógł skłonić Gowera do porannych odwiedzin.

- Dziękuję, Penn. Zaraz rozmówię się z Gowerem - powiedział.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie za kamerdynerem, który wyszedł, żeby przekazać ważną wiadomość. Justyn smarował masłem kolejną bułkę.

- Mam tu na ciebie poczekać czy spotkamy się później w klubie?

- A może dotrzymasz mi towarzystwa podczas rozmowy z Gowerem? - Markus wstał.
- Mam przecucie, że będzie dotyczyła sprawy, która wynikła podczas wczorajszej maskarady.

- Chodzi o twoją śliczną hazardzistkę? - Justyn uniósł brwi. - Nie uważasz chyba, że zażąda przekazania Fairhaven!

- Wkrótce się przekonamy - odparł ponuro Markus. Gower czekał w gabinecie. Niespokojnie chodził z kąta w kąt po grubym indyjskim dywanie tłumiącym odgłos kroków. Był szczupłym, schludnym mężczyzną o zboląlej mi - nie. Taki wyraz twarzy zawdzięczał wieloletniej pracy dla popędliwego dziadka Markusa. Przez wiele lat daremnie próbował nakłonić dawnego pryncypała do roztropnego zarządzania majątkiem. Dziś trzymał w rękach plik dokumentów.

- Milordzie! - zawołał rozemocjonowany, ledwie obaj panowie weszli do gabinetu. - Witam, panie Trevithick. Przynoszę osobliwe nowiny.

Markus nonszalancko opadł na fotel.

- Niech pan usiądzie i opowiada, Gower - zaczął przyjaźnie. - Co się stało? Pokojówka uciekła, zabierając srebra?

Prawnik zmarszczył brwi, zdegustowany słowami młodego lekkoducha, ale przycupnął na brzegu drugiego fotela i postawił obok nóg sfatygowaną skórzaną teczkę. Justyn stanął przy oknie i kończył kanapkę.

- Dziś rano odwiedził mnie pan Gough, którego kancelaria sąsiaduje z moją - opowiadał rozgorączkowany Gower, przekładając dokumenty, które ułożył przed sobą na biurku. - To ceniony prawnik, jego klientela rekrutuje się z najlepszego towarzystwa. Przyszedł mnie poinformować o umowie zawartej przez pana z osobą korzystającą z jego usług, na którą ma pan rzekomo scedować prawo własności wyspy Fairhaven, która leży...

- Dziękuję, Gower. Wiem, gdzie się znajduje ta wyspa - odparł rzeczowo Markus, wymieniając z Justynem porozumiewawcze spojrzenia. - Prawnik nazywa się Gough, tak? Wspomniał, jak nazywa się tamta osoba?

- Nie, milordzie - odparł zasepiony prawnik. - Powiedział tylko, że oczekuje... Tak się wyraził, cytując dokładnie. „Osoba ta oczekuje niezwłocznego wydania kompletu dokumentów dotyczących wyspy”. Rzecz jasna, odmówiłem, tłumacząc, że takie działania wymagają zgody waszej lordowskiej mości, a pan zapewne na to nie przystanie. Wtedy zaproponował...
- Gower wzdrygnął się, a jego twarz przybrała taki wyraz, jakby pełnomocnik drugiej strony zachował się wobec niego niestosownie. - Powiniennem raczej powiedzieć, że wręcz żądał, abym natychmiast udał się tutaj w celu uzyskania stosownych pozwoleń. I oto jestem. - Pod

koniec owej tyrady dał się ponieść emocjom. - Zmuszony jestem zaprotestować przeciwko nieformalnemu charakterowi transakcji, zawartej z pominięciem wszelkich przepisów i ustaw, co mnie, pańskiego pełnomocnika, stawia w bardzo trudnej sytuacji, gdy przychodzi do rozmów z kolegą po fachu.

W gabinecie zapadła cisza.

- Racja, Gower - przyznał z ociąganiem Marcus. - Zgadzam się, że ta nieformalna umowa spowodowała wielkie zamieszanie. Proszę wybaczyć, że z mojego powodu znalazł się pan w trudnym położeniu.

- Ale co z wyspą, milordzie? - wypytywał Gower błagalnym tonem. - A dokumenty? Jeśli umówił się pan z tą osobą...

- Nie było żadnej umowy - przerwał Markus. Słyszał, że Justyn głośno wciąga powietrze, ale nie spojrzął na niego. - Niech pan przekaze, że transakcja nie zostanie sfinalizowana - dodał.

- Milordzie... - Gower wydawał się zakłopotany. - Proszę łaskawie raz jeszcze rozważyć swoją decyzję. Jeśli strona przeciwna dysponuje sposobami i środkami, aby udowodnić, że miało miejsce stosowne zobowiązanie... - Nie ufasz mi, Gower? - spytał żartobliwie Markus, Unosząc ciemne brwi. - Umowa była ustna. Bez świadków.

- Ani jednego? - Gower zamrugał powiekami jak ranne zwierzę. - Jest pan tego pewny, milordzie?

- Najzupełniej. - Markus uśmiechnął się lekko.

- Ale jednak, milordzie, ustne przyrzeczenie... - Gower zerknął na Justyna.

- Pan Gower najwyraźniej sądzi, że powinieneś dotrzymać słowa, chociaż zobowiązanie powstało na skutek gry hazardowej - wtrącił z uśmiechem ten ostatni.

- Hazard! - Gower nie krył oburzenia. - Milordzie, panie Trevithick, to się nie mieści w głowie!

- Słuszna uwaga, Gower - mruknął kpiąco Markus. - Idę o zakład, że osoba, w imieniu której przyszedł do pana Gough, nie wniesie sprawy do sądu.

- Na twoim miejscu nie byłbym taki pewny. Młoda dama sprawiała wrażenie mocno zdeterminowanej - rzekł Justyn.

Gower właśnie chował papiery do teczki, ale z wrażenia upuścił je na dywan.

- Młoda... dama? - wyjąkał. - Dobry Boże, staremu milordowi do głowy by nie przyszło, żeby zachęcać panie do gier hazardowych.

- A zatem wiele stracił - odparł chłodno Markus - bo gra z kobietami jest wyjątkowo inspirująca. - Wstał z fotela. - Do widzenia, Gower. Proszę przekazać panu Gough, co po-

stanowiłem. Jeśli klientka poleci mu kontynuować tę sprawę, niech jej adwokat przyjdzie z tym do mnie. Penn odprowadzi pana do drzwi.

- Markusie... - zaczął Justyn, kiedy zostali sami. - Nie sądzisz, że to wbrew zasadom? Tamta dziewczyna wygrała od ciebie wyspę.

- Owszem - przytaknął Markus, patrząc mu prosto w oczy. - Chciałbym znów się z nią spotkać. Ciekawe, dlaczego tak jej zależy na kawałku skały. Intryguje mnie ta zagadka.

- Odmawiasz wydania dokumentów, bo chcesz ją wywabić z kryjówki?

- Otóż to! - Markus nagle poweselał. - Mógłbym oczywiście zwrócić się do Kita Mostyna i poprosić o pomoc w odnalezieniu mojej ślicznotki, ale mogę się założyć, że nic by z tego nie wyszło. Jeśli odmówię uznania jej praw do Fairhaven, będzie musiała osobiście wkroczyć do akcji.

- Diabło chytry z ciebie przeciwnik, Markusie. Jaki charakter ma twoje zainteresowanie młodą damą? Co ci chodzi po głowie?

- To zależy, kim ona jest. Czas pokaże.

- Rozpoznasz ją?

- O, tak... - odparł pogrążony w zadumie Markus. - Wszędzie bym ją poznał, Justynie.

- Przysuń krzesło bliżej, moje dziecko - poleciła chrzestnej córce lady Fanshawe, gestem dając do zrozumienia, że młoda dama niepotrzebnie kryje się w głębi teatralnej łoży. - Niewiele stamtąd zobaczysz. I przestań się tak pochylać, bo panowie tylko na to czekają. Lada chwila zaczną cię lustrować spojrzeniami. Och, spójrz! - Lady Fanshawe wychyliła się z łoży tak mocno, że omal nie wypadła. - To pan Rollinson i lord Saye. Jestem pewna, że podczas antraktu zajrzą do nas.

Beth przesunęła krzesło, a jednocześnie odchyliła się do tyłu. Próbowwała stać się niewidzialna. Dawno otrzymała zaproszenie na teatralny wieczór i nie mogła się wymówić, ponieważ lady Fanshawe była najbliższą przyjaciółką jej matki. Choć przedstawienie zapowiadało się wspaniale, to był jedyny powód, który skłonił dzisiaj Beth, żeby przyjechała do modnego teatru na Drury Lane. Grano „Rywali” Sheridana*.

Ponad barierką łoży Beth spojrzała na zatłoczony parter. W takim tłumie można się zgubić. Widzowie spacerowali, rozmawiając z ożywieniem. Wytworni młodzieńcy, damy, kurtyzany... Cofnęła się szybko. Elegant, który popatrzył na nią, unosząc kieliszek, wydawał się znajomy. Lady Fanshawe nie zwróciła na to uwagi, bo gestem pozdrawiała przyjaciół, których wypatrzyła w tłumie.

* Richard Brinsley Sheridan (1751 - 1816) - angielski dramaturg i polityk, (przyp. tłum.).

W teatralnej sali zrobiło się gorąco. Beth wachlowała się, obserwując widzów. Kit jak poprzednio dotrzymywał jej dziś towarzystwa, lecz gdy tylko dotarli na miejsce i spotkali się z lady Fanshawe, poszedł do łoży znajdującej się po lewej stronie, gdzie rozmawiał teraz z fertyczną damą, która miała na sobie suknię z zielonego jedwabiu, a we włosach strusie pióra kołyszące się przy każdym ruchu. Lady Fanshawe zmierzyła ją taksującym spojrzeniem, mamrocąc, że do teatru przychodzi coraz więcej hołoty i byłoby lepiej, gdyby Kit w ich obecności nie afiszował się z takimi znajomością - mi. Beth udawała, że jej to nie obchodzi, ale ukradkiem zerkała ciekawie na *chere amie* kuzyna. Ta energiczna osóbką w zieleniach nie marnowała czasu. Po chwili Beth uświadomiła sobie jednak, że podczas maskarady londyńskich kurtyzan sama nader śmiało dążyła do celu, więc nie miała prawa oceniać tamtej kobiety.

Mimo obaw uspokoiła się z wolna i lustrowała wzrokiem teatralnych widzów. Doszła do wniosku, że nic jej nie grozi. Raczej wątpliwe, żeby została rozpoznana. Miała dzisiaj na sobie prostą sukienkę z blad różowego muślinu, w której nie rzucała się w oczy. Chciała założyć turban z tej samej tkaniny, w którym wyglądałaby całkiem nijako, ale Charlotte zaprotestowała, stanowczo zapowiadając, że takim stroju nie wypuści jej z domu, ponieważ wygląda jak uboga krewna z prowincji. Beth westchnęła. Jaka szkoda, że Charlotte nigdzie z nią nie bywa, ponieważ od dzieciństwa lęka się tłumu i umiera ze strachu w zatłoczonych salach balowych oraz bankietowych. Dziwne, że w towarzystwie znajomych bawiła się doskonale, natomiast obcy ludzie zawsze ją przerażali.

Beth przyglądała się Kitowi żegnanemu wylewnie przez fertyczną przyjaciółkę w zieleniach. Przedstawienie miało się wkrótce rozpocząć, więc szybko wrócił do swoich pań i zaczął się rozglądać. Jego uwagę zwróciła urocza dziewczyna, zapewne debutantka, zajmująca właśnie miejsce w łoży naprzeciwko. Beth natychmiast to spostrzegła i obserwowała kuzyna z rosnącym zainteresowaniem. Nie uszło jej uwagi, że panienka także popatrzyła na Kita i zamilkła w pół słowa. Przez dłuższą chwilę mierzyli się spojrzeniami. W końcu dziewczyna uśmiechnęła się lekko i niechętnie odwróciła głowę. Kit był mocno poruszony. Beth obiecała sobie, że w antrakcie zapyta go, kim jest owa ślicznotka.

Nagle zamarła w bezruchu i zapomniała o Kicie oraz jego amatorach, ponieważ za uroczą panienką do łoży wszedł postawny mężczyzna z dumnie podniesioną głową. Beth miała wrażenie, że nadal brzmi jej w uszach łagodny, trochę kpiący męski głos, który usłyszała podczas maskarady londyńskich dam lekkich obyczajów. Podobne odczucie miała, czytając list, który dostała kilka dni temu za pośrednictwem pana Gough. Zaczynał się w ten sposób:

„Droga pani, amatorko przygód i mocnych wrażeń...” Wachlarz niespodziewanie wysunął się drżącej dłoni. Próbowwała go podnieść, a zarazem zniknąć w cieniu. Zgięta w pół wodziła palcami po dywanie, a jednocześnie w pośpiechu analizowała sytuację. Jak ukryć się przed bystrym spojrzeniem Markusa Trevithicka, skoro ich łoże znajdowały się naprzeciwko siebie? Gdyby chciała teraz wyjść, nie zdołałaby wymknąć się niepostrzeżenie. Przeklinała bladą różową sukienkę, bo w przyćmionym świetle teatralnej sali jasny strój był teraz widoczny jak latarnia morska.

- Czemu się tak pochylałaś, Beth, kochanie moje? Szukasz czegoś na podłodze? A może ci słabo? Źle się czujesz? Chcesz wrócić do domu?

Beth wyprostowała się natychmiast, bo donośny głos lady Fanshawe rozległ się w całym teatrze.

- Nic mi nie jest, milady. Upuściłam wachlarz... - Niespodziewanie zawiesiła głos i pod wpływem nagłego impulsu popatrzyła na odległą łożę i napotkała spojrzenie ciemnych oczu Markusa Trevithicka. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że ją rozpoznał. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią z kpiącym uśmiechem, a następnie uklonił się lekko.

Przedstawienie zaczęło się nareszcie, więc zwróciła oczy ku scenie. Trudno jej było śledzić akcję sztuki, bo jakiś wewnętrzny głos zachęcał ją, żeby patrzyła na lorda Trevithicka. Musiała walczyć ze sobą, żeby nie ulec pokusie. Z udawanym zainteresowaniem przyglądała się aktorom. Wkrótce uświadomiła sobie, że niewiele jest osób, które tak jak ona sprawiają wrażenie zainteresowanych wyłącznie akcją sceniczną.

Zajęci rozmową widzowie w sąsiednich łożach ani myśleli zamilknąć. Wytworzone towarzystwo najwyraźniej traktowało spektakl jako niezbyt istotny dodatek do swobodnej konwersacji. Gwar rozmów zaczął w końcu irytować Beth, która z powodu tej gadaniny nie mogła się skupić. Nic dziwnego, że jej myśli błądziły znowu wokół kłopotów, których sama sobie przysporzyła.

Gdy pięć dni temu Gough przyszedł do niej z wiadomością, że lord odmawia dotrzymania umowy i oddania jej Fairhaven, była zirytowana, lecz ta wolta wcale jej nie zdziwiła. Poleciała swemu prawnikowi, żeby zaproponował kupno wyspy za dobrą cenę i spokojnie czekała na odpowiedź. Była przekonana, że tym razem Trevithick zgodzi się sfinalizować transakcję. Przeżyła wstrząs, gdy następnego dnia zdenerwowany Gough wrócił z niczym. Dowiedziała się, że rozmawiał z samym lordem, a oferta została odrzucona. Co gorsza, lord Trevithick z niewiadomych powodów domagał się, żeby osoba, w imieniu której występował prawnik, ujawniła wreszcie, kim jest, i osobiście rozmawiała z nim o transakcji.

Beth odmówiła, podwyższając kwotę. Stać ją było na taki wydatek, a on... Sądziła, że nie przepuści takiej okazji. Zamiast zgody na podpisanie umowy Gough przyniósł list.

„Droga pani, amatorko przygód i mocnych wrażeń... Zaciekawiły mnie złożone przez panią oferty, ale oświadczam, że nie będziemy korzystać z pośredników. Musimy załatwić sprawę twarzą w twarz. Jeśli zamierza pani zachować inconito, sprzedaż nie dojdzie do skutku. Wkrótce i tak będę i wiedział, jak się pani nazywa i gdzie mieszka. Jeśli nie zechce się pani ze mną zobaczyć, rozpocznę poszukiwania”.

Po lekturze tego listu Beth przez dwa dni nie wychodziła z domu. Gdy patrzyła teraz na Markusa Trevithicka, uświadomiła sobie, że nie jest wystraszona, tylko zła, bo czuje się oszukana. Przegrał z nią w kości, lecz nadal miał w ręku wszystkie atuty. Nie chciał oddać Fairhaven, odmawiał sprzedaży, a na dodatek pozna wkrótce jej imię i nazwisko. Gdyby wygadał się, że była na maskaradzie londyńskich kokot, miałaby zaszarganą opinię. Najmądrzej byłoby zrezygnować z kupna Fairhaven i wyjechać na prowincję, ale podejrzewała, że nawet wówczas nie dałby jej spokoju. Złościła się na niego, a do siebie miała pretensję, że straciła kontrolę nad sytuacją.

- Masz ochotę na mały spacer podczas antraktu? - zapytał stojący za jej krzesłem Kit. - Przyjemnie będzie rozprostować nogi.

Wróciła do rzeczywistości, popatrzyła wokół siebie i zorientowała się, że pierwszy akt dobiegł końca, a kurtyna opadła. Markus Trevithick właśnie opuszczał łożę. Łatwo zgadnąć, kogo postanowił odwiedzić. Beth daremnie łudziła się, że zabraknie mu tupetu, więc nie odważy się jej nachodzić. Oddychała pospiesznie.

- Spacer? Tak! Nie... Sama nie wiem... Tak!

- Zniecierpliwiony Kit obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Co z tobą? Jesteś nerwowa jak młoda klacz przed pierwszym wyścigiem.

Beth uczepiła się jego ramienia. Gdy wyszli razem do holu, ujrzała z daleka, jak idącego do jej łoży Markusa zatrzymuje grupka znajomych. Nadal wpatrywał się w nią wzrokiem drapieżnika ścigającego ofiarę, więc nie miała wątpliwości, że postanowił jej dopaść.

- Och, jak miło pospacerować! - zawołała afektowanym tonem, ciągnąc Kita w przeciwną stronę, gdzie tłum był najgęstszy. - Przejdźmy się. Tędy.

- Zwolnij! Lada chwila zostaniemy stratowani - zaprotestował Kit. Raz po raz ktoś się o niego obijał.

Wydawało się, że zastosowana przez Beth taktyka pozwoli odwlec konfrontację, ale z pewnością nie zażegna niebezpieczeństwa. Po kilku minutach jakiś znajomy spostrzegł Kita i przystanął, żeby się z nim przywitać. Tłum napierał tak mocno, że w pewnej chwili

kuzynostwo zostali rozdzieleni, a ludzka fala uniosła ich w przeciwnie strony. Beth znalazła w końcu spokojny kąt, gdzie mogła przeczekać antrakt. Zaczęła się rozglądać, szukając wzrokiem Kita, ale nie było go w pobliżu. Obok niej stanął Markus Trevithick.

Opierał się nonszalancko o kolumnę, ramiona splótł na piersi. Mógłby tkwić tu przez całą noc. Od Beth dzieliło go zaledwie pół metra. Nieco rozbawiony obserwował ją uważnie. Wstrzymała oddech. Niewiele brakowało, żeby tłum znów uniósł ją w przeciwną stronę, ale w ostatniej chwili poczuła stanowczy uścisk silnego męskiego ramienia, które przytrzymało ją, nie pozwalając odejść.

- Otóż i moja tajemnicza dama. Nareszcie się spotkaliśmy. Nie wyobraża sobie pani, ile bali i rautów zaliczyłem przez ostatnie kilka dni w nadziei, że przypadkiem natknę się i na panią.

- Dobry wieczór, milordzie. Przykro mi, że przez wzgląd na mnie tak się pan nacierpiał.

i Markus popatrzył na nią z nieukrywanym zachwytem.

- Dzięki! Warto było włóczyć się po mieście, skoro panią znalazłem. - Podał Beth ramię i sam wsunął pod nie jej dłoń.

Poszli razem w głąb holu. Zrobiło się luźniej, więc spacerowali bez przeszkód. Beth daremnie szukała wzrokiem znajomych twarzy. Nie było dla niej ratunku.

- Wbrew pani obawom zapewniam, że chodziło mi tylko o rozmowę - skarcił ją dobrotliwie. - Oferta kupna była intrygująca, chciałem więc osobiście rozmówić się z panią.

- Interesy załatwia się przez pełnomocników, milordzie. Za to im płacimy. Dobrze rozumiem? - spytała z promiennym uśmiechem. - W ten sposób oszczędzamy sobie wysiłku, prawda?

- Owszem, ale w tym wypadku nie jest to żaden trud. Rozbroił ją przyjazny ton głosu. Spojrzała na niego spod rzęs. Uśmiechał się. Nagle zrobiło jej się gorąco i jednocześnie zimno. Usilnie starała się przywołać do porządku pobudzone zmysły.

- Gdyby dotrzymał pan słowa, można by uniknąć tych wszystkich kłopotów.

- Racja. - Pochylił się, aż poczuła na policzku jego oddech, i szepnął jej do ucha: - Ale wówczas nie osiągnąłbym swego celu, bo nie spotkalibyśmy się znowu, kochanie.

Beth przystanąła, spoglądając na niego karcącym wzrokiem.

- Proszę mnie tak nie nazywać! - syknęła. - Niech pan sobie zapamięta, że nie jestem... kobietą lekkich obyczajów gotową zaspokoić pańskie zachcianki.

- W takim razie po co stwarzać takie pozory? - spytał z uśmiechem Markus. - Zapewniam, że właściwa oferta zakupu Fairhaven zostałaaby przeze mnie należycie rozważona.

Beth omal nie rozpląkała się z bezsilnej złości. Pozornie zabawny pomysł, żeby pójść incognito na bal wydany przez panie lekkich obyczajów, spowodował problemy przechodzące wszelkie wyobrażenie. Zastanawiała się, co ją napadło, żeby tańczyć z Markusem, a potem ciągnąć ową farsę. Feralnego wieczoru plan odebrania mu wyspy wydawał się jedyny w swoim rodzaju, ciekawy, wręcz roztropny, a Beth gratulowała sobie pomysowości i odwagi. Teraz zdawała sobie sprawę, że zrodził się z przesadnej ekscytacji oraz nadmiaru wina. Zirytowana mocno zacisnęła usta.

- Działalam pod wpływem chwili. Dziś gorzko tego żałuję.

- To zrozumiałe. Jeśli istotnie jest pani tym, za kogo się podaje, a mianowicie damą z towarzystwa, krążące wśród znajomych plotki na temat owego wydarzenia byłyby dla pani katastrofą.

- Nie odważy się pan na taką podłość! - Beth spłonęła rumieńcem.

- Czemu nie?

Markus mówił tonem łagodnym i przyjaznym, lecz gdy spojrzała mu w oczy, zorientowała się, że jest uważnie obserwowana. Charlotte przewidziała, że mogą się pojawić komplikacje, choć sama Beth nie brała tego pod uwagę. Gdyby earl Trevithick ujawnił, że na balu cór Koryntu miał *ren - dez - vous* z wysoko urodzoną damą, która bawiła się tam, nie bacząc na swe pochodzenie, kto przyjmie za dobrą monetę wyjaśnienia niewinnej kobiety? Przeczucie podpowiadało jednak, że Markus nie wyrządzi jej chyba takiej krzywdy. Pod spojrzeniem szarosrebrzystych oczu twarz mu się wypogodziła i blask radości rozjaśnił ciemne tęczówki. Beth nagle zdała sobie sprawę, że stoją bardzo blisko. Palcami dotykała gładkiego materiału rękawa i ukrytych pod tkaniną twardych mięśni. Miłe ciepło emanowało ze smukłego ciała. Czują na sobie uporczywy wzrok.

- Rzeczywiście ma pani na imię Elizabeth? - zapytał cicho.

- Tu jesteś, moja droga! - Beth wzdrygnęła się i odwróciła głowę, uwalniając się od hipnotycznych czarnych oczu. Zmierzała ku nim lady Fanshawe, cała w uśmiechach. Przez moment wodziła spojrzeniem od chrestnej córki do Markusa. Sprawiała wrażenie zaskoczonej, lecz szybko odzyskała rezon.

- Och, lord Trevithick, prawda? Witam, milordzie. Nie wiedziałam, że zna pan moją podopieczną.

Beth wydawało się, że tonie, gdy patrzyła na kłaniającego się wytwornie Markusa. Była pewna, że łatwowierna matka chrzestna zdradzi mu zaraz wszelkie szczegóły z jej życia.

- Jakże się cieszę, że najmłodsze pokolenie dało sobie wreszcie spokój z waśnią rodową dzielącą Mostynów i Trevithicków - paplała lady Fanshawe. - Nie mogłam pojąć, co jest przyczyną niezgody. Jakież błahe sprawy z zamierzchłej przeszłości. .. Przegrana bitwa, jeśli dobrze pamiętam?

- Raczej utracona wyspa, milady - poprawił Markus. Popatrzył na Beth, ale nie spojrzął jej w oczy. - Miałem nadzieję, że pani urocza podopieczna - dodał tonem wyrażającym zaciekawienie - powie mi coś więcej o tym sporze. Muszę wyznać, że ta kwestia mnie fascynuje.

Lady Fanshawe rozpromieniła się, gdy podał jej ramię. Wszyscy troje ruszyli w stronę łoży.

- Naturalnie! Jestem pewna, że od Beth dowie się pan wszystkiego. Mostynowie od kołyski słuchają rodzinnych legend.

- Rozumiem - odparł z namysłem Markus. Coraz bardziej zbliżał się do celu i Beth zdawała sobie z tego sprawę, ale czuła się bezsilna i nie miała pojęcia, jak pokierować rozmową, żeby mu utrudnić jego zamiary. Dobrodusznej lady Fanshawe wyraźnie pochlebiali, że lord Threvithick interesuje się sprawami jej przyjaciół.

- Pani z pewnością dużo wie o tej rodzinie.

- Owszem. Davinia Mostyn, mama Beth, była przecież moją najlepszą przyjaciółką. Dobrze mówię, Beth, kochanie? Cóż to za tragedia! Lord i lady Mostyn zginęli w okropnym wypadku. Kit odziedziczył tytuł, a moja chrzestna córka poślubiła Franka Allertona.

Beth czuła, że pod jej palcami porusza się ramię Markusa.

- Nie wspomniała mi pani o zmarłym małżonku, lady Allerton - powiedział cicho, uśmiechając się do niej. Widziała tryumf w jego oczach. - To był wspaniały człowiek i wielki uczony. Podczas studiów zajmowałem się jego traktatem o hydrostatyce. Doskonale pamiętam to dzieło.

- Dziękuję - mruknęła, unikając jego wzroku. - Nauka rzeczywiście pasjonowała mojego męża.

Panie wróciły do łoży na krótko przed rozpoczęciem drugiego aktu. Kit siedział już na swoim krześle. Zdziwił się, widząc je w towarzystwie lorda Trevithicka. Obaj ukłonili się sztywno. Markus ujął dłoń Beth.

- Będę zaszczycony, jeśli pozwoli się pani odwiedzić, lady Allerton - powiedział cicho, tak zaborczo przyglądając się Beth, że spłonęła rumieńcem. - Mieszka pani, jak mi się wydaje, na Upper Grosvenor Street, prawda?

- Tak, ale...

- W takim razie wkrótce złożę pani wizytę. - Skłonił się znowu. - Dobranoc, milady.

Beth przygryzła wargę i odprowadziła go wzrokiem, gdy szedł do łoży Trevithicków. Miała wrażenie, że zawsze stawiał na swoim i nie liczył się z odmową. Teraz gdy lady Fanshawe powiedziała mu wszystko, co chciał wiedzieć, miał w ręku same atuty. Beth westchnęła ciężko i próbowała skupić się na przedstawieniu. Usiłowała przewidzieć, jakie będzie następne posunięcie Markusa.

- Nie przemawiają do mnie dzieła nowomodnych artystów - oznajmiła lady Fanshawe, oglądając pejzaż Johna Constable'a*. - Popatrzcie tylko na te świetne refleksy i osobliwą fakturę. Obraz wygląda jak niedokończony. Brakuje mu... wytworności.

Beth wybuchnęła śmiechem. Podobały jej się pejzaże Constable'a. Patrząc na nie, tęskniła za sielskimi krajobrazami i świeżą morską bryzą. Przyjemnie było nie wychodząc z Royal Academy, na moment uciec od londyńskiego zgiełku i w ramie obrazu jak w otwartym oknie ujrzeć widoki natury, choćby nawet przy akompaniamencie narzekań lady Fanshawe skarżącej się na obolałe nogi.

- Skoro jest pani taka zmęczona, proszę usiąść. - Beth wskazała wygodną ławę umieszczoną pod oknem. - Chciałabym jeszcze rzucić okiem na obrazy pana Turnera.** To mi zajmie pięć minut. Są w sali błękitnej.

Lady Fanshawe skinęła głową na znak zgody i z westchnieniem ulgi opadła na ławkę, żeby dać chwilę odpoczynku obolałym stopom.

- Nie spiesz się, dzieciно - odparła, przymykając oczy. - Proponuję, żebyśmy w drodze powrotnej zajrzały jeszcze do sklepów na Bond Street. Wolę tamtejsze witryny niż te twoje pejzaże, ale dobry ton wymaga, żeby się tu pokazywać.

Pobłaźliwie uśmiechnięta Beth przeszła do sąsiedniej sali. Widzów było sporo; galeria stała się modna. Lady Fanshawe miała rację, gdy mówiła, że ludziom z wyższych sfer wypada bywać na takich wystawach. Beth stanęła przed morskim pejzażem i westchnęła mimo woli. Szare fale wzburzonego morza i chmury kłębiące się nad horyzontem, a w oddali samotna wyspa...

* John Constable (1776 - 1837) - malarz angielski, uprawiał głównie malarstwo krajobrazowe (przyp. tłum.).

** William Turner (1775 - 1851) - malarz angielski, wybitny pejzażysta (przyp. tłum.).

- Śni pani na jawie?

Niespodziewanie usłyszała niski, trochę drwiący głos. Odwróciła głowę i napotkała badawcze spojrzenie Markusa Trevithicka. Poczula, że rumieni się z wrażenia, więc pospiesznie odwróciła wzrok. Ostatnio znów wytrącił ją z równowagi, bo przez dwa dni daremnie go wypatrywała, nie przyznając nawet przed sobą, że czeka na obiecaną wizytę. Już podejrzewała, że o niej zapomniał, i nagle pojawia się niespodziewanie jak diabeł z pudełka.

- Witam pana. - Uśmiechnęła się uprzejmie, starając się nie dostrzegać jego nieskazitelnej elegancji. Znakomicie się prezentował w zielonym surducie z najprzedniejszego sukna i jasnych spodniach, które podkreślały muskulaturę nóg. - Mam nadzieję, że podoba się panu wystawa.

- Szczerze mówiąc, jestem tutaj wyłącznie przez wzgląd na panią. Przyszedłem z wizytą, ale powiedziano mi, że tu panią znajduję. Mam nadzieję, że da się pani namówić na małą przejażdżkę. Jest ciepły jesienny dzień, a mój powóz czeka przed galerią...

- Dziękuję, milordzie, ale towarzyszę lady Fanshawe - odparła z wahaniem Beth.

- Z pewnością zdołam ją przekonać, aby powierzyła panią mojej opiece. - Markus uśmiechnął się do niej. - Rzecz jasna, o ile pani sobie tego życzy, lady Allerton. Trwająca od wieku rodowa waśń nie jest przecież żadną przeszkodą.

Beth nie umiała powstrzymać śmiechu.

- Co za głupstwa! Mogę zaryzykować, ale...

- Będzie pani wobec mnie bezlitosna, ponieważ wbrew nakazom honoru odmówiłem wydania Fairhaven. Proszę się zastanowić... - Pochylił się w jej stronę. - Teraz ma pani sposobność, aby mnie przekonać do naprawienia błędu. Spróbuje pani?

Ciemne oczy spoglądały na Beth wyzywająco. Od razu spochmurniała.

- Wydaje mi się, milordzie, że trzyma pan w ręku wszystkie atuty. Mogę przegrać choć dokładałabym wszelkich starań, aby pana przekonać, jak bardzo zależy mi na tej wyspie. Nie mam wpływu na pańskie decyzje.

Markus uśmiechnął się ironicznie.

- Proszę mi wierzyć, lady Allerton, już wcześniej zrobiła pani na mnie ogromne wrażenie. Wszystko zależy od pani.

- Proszę ze mnie nie kpić, milordzie. - Zarumieniona. Beth odwróciła wzrok.

- Mówi pani serio? - Podał jej ramię i wyprowadzili z błękitnej sali. - Tak bardzo lubię droczyć się z panią, że trudno oprzeć się pokusie. I cóż? Podejmie pani wyzwanie?

- Jeśli ma pan na myśli przejażdżkę, zgoda. To będzie miłe urozmaicenie.

- Dokonała pani właściwego wyboru. Cieszę się, bo nie zawsze postępuje pani właściwie, prawda, lady Allerton?

- Oczywiście w każdej chwili mogę zmienić zdanie, milordzie. - Beth zmierzyła go groźnym spojrzeniem. - Wystarczy jedna aluzja i tak zrobię.

Markus pochylił głowę w ukłonie.

- Trzeba to omówić. Jest pani osobą stanowczą i niezależną. To rzadkość wśród dam.

- Ma pan rację, choć muszę przyznać, jestem za to karcona - dodała kpiąco. Pomyślała o napomnieniach Charlotte, krytykującej często jej zachowanie. - Moim zdaniem wyrosłam na uparciucha, ponieważ byłam jedynaczką. Rodzice mi pobrażali. Mogłam robić, co mi przyszło do głowy; stąd mój upór i zadufanie w sobie. Mój zmarły mąż...

- Tak? - Wyraźnie zaciekawiony Markus spojrzał na nią z ukosa. W samą porę ugryzła się w język, opanowując potrzebę zwierzeń.

- On również był niezwykle pobłażliwy, dobry... Rozpieszczał mnie. Byłam szczęściarą.

- Wyszła pani za mąż jako młodzianka dziewczyna - zauważył Markus. - Teraz również trudno uznać panią za matronę w podeszłym wieku. Ile czasu minęło od jego śmierci? Beth pochyliła głowę, żeby rondo kapelusza osłoniło jej twarz. Markus nadal mierzył ją badawczym spojrzeniem. Zachowała miłe wspomnienie o Franku, wczesne zamążpójście oznaczało jednak dla niej ostateczny kres młodzieńczej swobody i przymusowe wejście w dorosłe życie. Poślubiła człowieka starszego niż jej ojciec. Frank okazywał jej serdeczność i traktował jak ulubioną siostrzenicę, w ich związku nie było namiętności.

- Rozumiem - powiedział Markus. Zirytowana Beth podejrzewała, że naprawdę czyta w jej myślach.

- Kochani! - zawołała lady Fanshawe. Na ich widok wstała z ławki, krzywiąc się lekko. Powitała Markusa jak starego przyjaciela rodziny, więc Beth poczuła się nieco zbita z tropu. Z rezygnacją przyjęła fakt, że w minutę przekonał starszą panią, aby pozwoliła mu zabrać ją na przejażdżkę.

- Jestem ogromnie zobowiązana, że zaopiekuje się pan lady Allerton - perorowała uradowana matrona. - Potrzebuję odpoczynku, i to natychmiast. Zamierzałam przejść się po sklepach na Bond Street, ale nie mam na to sił. Zwiedzanie wystaw malarskich jest bardzo wyczerpujące.

Razem opuścili galerię. Markus przywołał dorożkę i polecił woźnicy zawieźć lady Fanshawe do domu, a następnie zaprowadził Beth do swojego powozu. Dzień był jasny, pogodny, a blade, jesienne słońce dość mocno przygrzewało. Idealna pora na spokojną

przejażdżkę po parku. Beth była trochę zirytowana, bo zbyt często przystawali, żeby powitać znajomych Markusa. Z rzadka trafiał się ktoś z jej niewielkiego towarzyskiego kręgu. W krótkim czasie została przedstawiona tylu osobom, że w głowie jej się mąciło od nadmiaru tytułów i nazwisk.

Gdy skręcili nareszcie w spokojniejszą alejkę, Markus popatrzył na Beth z przepaszającym uśmiechem.

- Proszę o wybaczenie, ale takie są konsekwencje przejażdżki w godzinach, kiedy modne towarzystwo wylega masowo do parku. Trudno wtedy normalnie rozmawiać.

- Ma pan w Londynie wielu przyjaciół - odparła uprzejmie Beth, myśląc o damach, które rzucały na nią ciekawskie spojrzenia, a także o dżentelmenach śmiało taksujących ją wzrokiem niczym młodą klacz.

- Znam wielu ludzi, lecz jeśli chodzi o przyjaciół... - Pokręcił głową. - Mógłbym ich policzyć na palcach jednej ręki. Aha, omal nie zapomniałem, lady Allerton! - Dłonią ukrytą w rękawiczce ścisnął jej palce. - Nie mogę zaliczyć pani do grona swoich przyjaciół, bo jesteśmy zaprzysięgłymi wrogami, prawda? Opowie mi pani ze szczegółami o naszej waśni rodowej?

- O waśni... - powtórzyła machinalnie, spoglądając w jego ciemne oczy. Na moment zatoneła w nich i zapomniała o całym świecie, lecz po chwili wzięła się w garść. Trzeba potraktować tę przejażdżkę jako sposobność do przekonania Markusa, że odzyskanie wyspy Fairhaven jest dla niej szalenie ważne. Jeśli będzie się płonić i tracić głowę z powodu jego bliskości, nic na tym nie zyska. Cofnęła dłoń, f której dotykał ręką, a on uśmiechnął się lekko. - Niezgodą między naszymi rodami datuje się od czasów wojen domowych*. - Beth odchrząknęła, starając się mówić spokojnie i rzeczowo. - Mostynowie trzymali z królem, Trevithickowie opowiedzieli się po stronie parlamentu.

Kiedy sir James Mostyn udał się na wygnanie, towarzysząc królowi Karolowi II, wasza rodzina skorzystała z okazji i ukradła... to znaczy zagarnęła nasze dobra.

- To istotnie była kradzież - poprawił spokojnie Markus. - Obawiam się, lady Allerton, że w naszej rodzinie wielu jest znakomicie prosperujących łotrów i złodziei.

- To hańba bogacić się na cudzej krzywdzie! - odparła zapalczywie Beth. - Co gorsza, w czasach Restauracji Mostynowie odzyskali tylko znikomą część swoich dóbr, bo

* Wojna domowa rozpoczęta w połowie XVII zbrojnym wystąpieniem króla Karola I z dynastii Stuartów przeciwko stronnikom parlamentu, zakończona klęską władcy. Konflikty społeczne trwały z przerwami aż do roku 1688.

Trevithickom udało się przekonać króla o swej niezachwianej lojalności, a więc o żadnej karze nie było mowy.

- Widzę, że ma pani silne poczucie sprawiedliwości, lady Allerton - zauważył Markus.

- Niestety, bogactwo naszej rodziny, podobnie jak wielu innych, wzięło się z oszustw i dwulicowości.

- Nie brzmi to zachęcająco, milordzie. - Beth obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- Widzę, że przodkowie zrobili mi niedźwiedzią przysługę, ponieważ za sprawą ich wątpliwych zasług nie wkupię się w pani łaski. Przeczuję jednak, że najgorsze jest przed nami. Śmiało! Proszę mnie nie oszczędzać.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem. Jak zwykle mówił kpiącym tonem, ale sprawiał wrażenie zafrapowanego jej opowieścią. Poruszyła się niespokojnie.

- Mam nadzieję, że pana nie zanudzam.

- Ależ skąd! Słucham pilnie.

Beth uświadomiła sobie, że Markus jest z nią szczerzy. Luźno trzymał lejce, a konie, bardzo dobrze ułożone i świetnie utrzymane gniadosze, wolnym truchtem szły pustą alejką. Markus skupił na Beth całą uwagę. Poczula się nieswojo, kiedy uświadomiła sobie, ile serdeczności i prawdziwej ciekawości dostrzega w jego spojrzeniu.

- Tak... Na czym skończyłam? Przez sto lat wasza rodzina prosperowała znakomicie, a my ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, lecz wyspa nadal była naszą własnością. - Popatrzyła na Markusa, zapominając na moment, że nie on odebrał Fairhaven jej dziadkowi. Zastłyszane w dzieciństwie straszliwe opowieści o nikczemnych intrygach Trevithicków głęboko wryły jej się w pamięć. - Mój dziadek odziedziczył rodzinne dobra. Postanowił przejść do kontraktaku i wystąpił przeciwko pańskiemu dziadkowi. Śmiało rzucił wyzwanie lordowi George'owi Trevithickowi.

- Dziadek George. Nazywano go Wrednym Lordem. Wiele słyszałem o jego występkach. Podobno w młodości współdziałał z przemytnikami, piratami oraz wszelkiej maści złoczyńcami, dzięki którym mógł ciągnąć wielkie zyski.

- Zapewne tak było. W jednej kwestii nie mam wątpliwości. Nasi dziadkowie byli zażartymi wrogami. W pewną, burzliwą marcową noc mój dziadek płynął w stronę Fairhaven, nie wiedząc, że lord już tam wylądował, a rabusie czekają na łup. Wiatr był silny. W ciemnościach mój dziadek nie zorientował się, że lampy sygnalizacyjne ustawione na brzegu wskazujące drogę do portu zostały rozmieszczone nie przez jego służbę. Wrogowie użyli podstępku. - Beth westchnęła głęboko. - Statek się rozbił, wszyscy marynarze zginęli, skrzynia pełna kosztowności poszła na dno. Mój dziadek jako jedyny dotarł do brzegu, ale

został napadnięty przez Wrednego Lorda i zginął w walce. Tamten ukradł jego miecz zwany Saintonge, który od wieków był w naszej rodzinie, a także zajął wyspę. I co pan na to, milordzie?

Nieco zdyszana Beth skończyła rodzinną historię i spojrzała wyczekująco na Markusa. Ta legenda powinna być opowiadana w ciemną, burzliwą noc, a nie przy dziennym świetle i ładnej pogodzie, w uroczej parkowej alei. Trudno też bytu uwierzyć, że oboje wywodzą się od antenatów, którzy zaledwie pół wieku temu walczyli na śmierć i życie, chcąc się nawzajem pognać. Spór dwu bezlitosnych przeciwników, prymitywny i pozbawiony sensu, byłby dziś nie do pomyślenia. Beth spojrzała ukradkiem na swego towarzysza. Dżentelmen w każdym calu, pomyślała. Po chwili zaczęła się zastanawiać, czy to nie pozory. Wiedziała, że Markus kryje w sobie niezgłębione pokłady bezwzględności. Nie była tak - że pewna samej siebie. Jak daleko byłaby zdolna się posunąć, żeby odzyskać rodową własność? Upór i nieustępliwość Mostynów miała we krwi. Może oboje z Markusem byli nieodrodnymi potomkami swych antenatów?

Earl popędził konie, które przyspieszyły i przeszły w kłus. - Jak pani ocenia tę opowieść? - Z uśmiechem odwrócił się do Beth. - Muszę przyznać, że mój dziadek wyszedł w niej na ostatniego łotra. Mam kilka wątpliwości, droga lady Allerton. Dlaczego stary Mostyn żeglował nocą po niebezpiecznych wodach? Czemu miał ze sobą skrzynię wypełnioną złotem i kosztownościami? Jego postępowanie nie wydaje się pani mocno podejrzane?

Beth patrzyła na niego bez słowa. Wcześniej nie przyszło jej do głowy, żeby kwestionować rodzinną legendę. Doskonale pamiętała nianię Maddy, która przy migotliwym blasku świec opowiadała jej przed zaśnięciem o niedoli dziadka. Beth wyobrażała sobie zwodnicze światło lamp rozstawionych przez rabusiów na klifowym wybrzeżu, trzask rozrywanych ostrymi skałami drewnianych burt, ciepłe refleksy idące od złotych monet, które spadały w morską toń. Nie przyszło jej do głowy zastanawiać się, dlaczego dziadek wziął ze sobą skrzynię złota ani czemu płynął na wyspę nocą, w czasie burzy. Dopóki Markus nie zadał tych pytań, w ogóle nad tym nie myślała.

Zmarszczyła brwi i popatrzyła na niego z namysłem.

- Przyznaję, że to osobliwe...

- W rzeczy samej. Ta sprawa aż się prosi, żeby popłynąć na Fairhaven i tam dojść prawdy. - Markus uśmiechnął się szeroko. - Lady Allerton, czy zechce pani towarzyszyć mi w takiej wyprawie, gdybym o to poprosił?

Beth udawała zaszokowaną.

- Towarzyszyć panu? Ależ skąd, milordzie! To niemoralna propozycja!

- Jakaż szkoda! Nie wątpię, że uczyniłaby pani wszystko, byle tylko Fairhaven znów była wasza.

Spoczywające na kolanach i ukryte w rękawiczkach dłonie Beth zacisnęły się mocno.

- Czuję, że powinnam tego dokonać. Duch mojego dziadka nie zazna spokoju...

- Chyba nie chce pani - przerwał z uśmiechem Markus - ciągnąć rodowej waśni jedynie przez wzgląd na spokój duszy swego dziadka. - Znowu przełożył lejce do jednej ręki, a drugą ścisnął jej palce. Tym razem znieruchomiła pod jego dotknięciem. - Mam wrażenie, lady Allerton, że my dwoje potrafimy zakończyć wreszcie swary naszych rodzin.

- Obyśmy byli w stanie tego dokonać - przytaknęła, udając, że nie pojmuje ukrytego znaczenia jego słów. - Proponuję, żeby na znak dobrej woli zaakceptował pan moją ofertę kupna wyspy, naprawdę bardzo korzystną i...

- Owszem, niemal bajeczną. Fairhaven nie jest tyle warta.

- Czy względy uczuciowe można przeliczyć na pieniądze? Dla mnie Fairhaven jest bezcenna.

- Rozumiem - odparł z namysłem Markus. Twarz mu się wypogodziła - Ta wyspa stała się pani obsesją, prawda, lady Allerton? Zastanawiam się, jak daleko byłaby pani gotowa się posunąć, byle dopiąć swego.

Beth popatrzyła na niego bez słowa. To samo pytanie usłyszała niedawno od Charlotte, ale puściła je wówczas mimo uszu. Kiedy zadał je Markus, a więc zupełnie obcy człowiek, zaczęła się nad tym zastanawiać. Najbardziej niepokoiła ją dwuznaczność niektórych jego sugestii. Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałam, milordzie. Moja oferta została odrzucona?

- Bardziej podobała mi się poprzednia - odparł z namysłem Markus.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Słońce schowało się za chmurę i nagle zrobiło się chłodno. Beth drżała pod peleryną, lecz nie z zimna.

- Upojna noc za akt własności, milordzie? Markus wybuchnął śmiechem.

- Cóż za szczerość! Nie owija pani w bawełnę! Odniosłem wrażenie, że na początku naszej znajomości miała pani wobec mnie całkiem inne zamiary. To pani zaproponowała stawkę w naszej rozgrywce... , .

- Pan przegrał i nie dotrzymał słowa - zachnęła się. - Dlatego musiałam podbić stawkę.

- Ma pani, rzecz jasna, na myśli swoje propozycje finansowe. Jak mówiłem, chciałbym wrócić do pierwszej, zdecydowanie przyjemniejszej oferty.

Beth była na siebie wściekła, bo czuła, że znów się rumieni. Próbowwała zachować spokój, co nie było łatwe, ponieważ w głębi ducha pragnęła tego samego co on. Chętnie

oddalaby się w zamian za akt własności wyspy Fairhaven. Ale to przecież niemoralne! Bezwstydne! A jednak takie kuszące...

Beth spochmurniała.

- Tamta gra była wyłącznie środkiem do osiągnięcia celu. Nie mam zwyczaju się sprzedawać.

- Rozumiem. - Markus zatrzymał powóz pod gałęziami wielkiego dębu, z których opadły już liście. - W takim razie sama gra była dla pani wielce ryzykowna.

- Owszem - przyznała Beth, spoglądając mu prosto w oczy. - Nie ukrywam, że gdybym przegrała, nic by pan na tym nie zyskał, bo nie mogłabym spełnić obietnicy. Pan również nie dotrzymał słowa.

- Słuszna uwaga. - Markus znowu wybuchnął śmiechem. - Muszę przyznać, że byłem zawiedziony. Miałem nadzieję, że jednak da się pani namówić...

- Czyżby? W takim razie źle mnie pan ocenił, milordzie.

W jej oczach dostrzegł ostrzegawcze błyski. - Jak wspomniałam, nie jestem kurtyzaną. Proszę łaskawie odwieźć mnie do domu.

- Doskonale! - W głosie Markusa pobrzmiwał ton rozbawienia i zachwytu. - Nie będę więcej droczyć się z panią, milady. Skoro błędnie panią oceniłem, nie ulega wątpliwości, że musimy się lepiej poznać, ale to przyjdzie z czasem.

Beth wcale nie była zachwycona takim postawieniem sprawy. Przede wszystkim miała osobliwe przeczucie, że Markus w gruncie rzeczy doskonale ją rozumie, choć lubi się przekomarzać. Spore obawy wzbudziła w niej sugestia dotycząca wzajemnego poznania, bo kobiecy instynkt podpowiadał, że może to być proces wielce niebezpieczny.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kolejny kadryl dobiegł końca. Beth radośnie biła brawo, a następnie przyjęła ramię partnera i pozwoliła się odprowadzić do lady Fanshawe. Sala balowa księżnej Calthorpe była gorąca i duszna. Trudno się dziwić, skoro bawiło się tam ponad dwustu gości, wśród których panowała opinia, że to największe wydarzenie jesiennego sezonu. Księżna wybrała biel jako dominującą barwę dekoracji. Miała to być zapowiedź nadciągającej zimy, lecz jak na ironię w sali panował tropikalny upał. Przyczyniały się do tego fale ciepła bijące od setek białych świec. Otwarty ogień zawsze stanowił zagrożenie, więc na wszelki wypadek pod ścianami rozstawiono lokai trzymających w pogotowiu wiadra napełnione wodą.

- Dobrze się bawisz, dziecinko? - zapytała lady Fanshawe, energicznie poruszając wachlarzem. - Okropny ścisk! Ledwie znalazłam wolne krzesło. A ta biel po prostu oślepia!

Beth zachichotała. Oprócz białych świec salę ozdabiała draperie ze śnieżnego muślinu, które łatwo mogły zająć się od ognia, oraz lilie szybko więdnące w gorącym powietrzu.

- Ślicznie dziś wyglądasz, moja droga - dodała lady Fanshawe. - Wśród debiutantek zdecydowanie wyróżnia się jedna panienska. Dobrze zrobiła, wybierając muślin w kolorze bzu. Dziewczęta ubrane na biało wtapiają się w tło. - Żeby się tylko nie rozpułyły się od tego skwaru - odparła Beth, z wdzięcznością przyjmując szklankę lemoniady, którą przyniósł jej pan Porson. Z tym bogatym młodzieńcem przetańczyła ostatniego kadryla. Nie odstępował jej teraz, więc pozwalała sobie asystować, bo w jego obecności czuła się bezpieczna.

- Panie Porson, moim zdaniem... - zaczęła i w tej samej chwili mocno zaskoczona uniosła brwi, bo młodzieniec skłonił się, podziękował za taniec oraz miłe towarzystwo i oddalił się pospiesznie. Kit Mostyn podszedł do pań i usiadł na Wolnym krześle obok kuzynki.

- Na miłość boską! - zawołała zirytowana Beth. - Odkąd to odstraszasz moich wielbicieli?

- Wątpię, żebym potrafił kogoś przestraszyć - odparł drwiąco. - Przed chwilą zjawił się tu Trevithick, więc Porson zwiął, żeby nie narazić się na zarzut, że kłusuje na cudzym terenie łowieckim.

Beth zerknęła ku drzwiom i natychmiast odwróciła wzrok. bo czuła na sobie ciekawskie spojrzenia innych gości. Z bolesną wyrazistością zdawała sobie sprawę, że w ciągu ostatnich dziesięciu dni wszyscy o niej plotkowali, bo Markus Trevithick wyraźnie jej

asystował. Dwukrotnie odbyli przejażdżkę po par - ; ku, wysłuchali razem koncertu i obejrzeni pokaz sztucznych ogni w Vauxhall, spotykali się na wieczorach muzycznych i tańczyli w paru salach balowych. To wystarczyło, żeby języki poszły w ruch. Beth odniosła wrażenie, że Markus nawet nie próbuje dementować plotek. Zachowywał się nienagannie, ale miała świadomość, że pod płaszczykiem konwenansów ukrywa inne zamiary, o wiele bardziej ekscytujące i niebezpieczne.

W eleganckim towarzystwie zainteresowanie ich znajomością było ogromne. Wszyscy wiedzieli o waśni dzielącej oba rody, a nosząca wdowie szary wicehrabina Trevithick nie kryła swej niechęci do Beth. Poprzedniego wieczoru w operze potraktowała ją wręcz opryskliwie. Beth postanowiła na przyszłość unikać Markusa, nie tylko z powodu zachowania jego matki. Poniewczasie odezwał się u niej instynkt samozachowawczy. Zdawała sobie sprawę, że jest zauroczona Markusem, ale nie chciała stać się kolejną jego zdobyczą. Gdyby jednak dotrzymała słowa danego samej sobie i konsekwentnie unikała go podczas balu, plotkarze natychmiast by to spostrzegli i tym bardziej wzięliby ją na języki. Wierciła się w fotelu i bębniła palcami po oparciu, niepewna, jaką podjąć decyzję.

Widziała z daleka, że Markus idzie ku niej przez salę. Przystanął, żeby pogawędzić ze znajomym, ale wzrok nadal miał utkwiony w Beth. To uporczywe spojrzenie wytrąciło ją z równowagi, więc pospiesznie wstała i zwróciła się do kuzyna.

- Bardzo proszę, zatańczmy.

- Muszę? - spytał Kit z kwaśną miną. - Jeśli chcesz się mną zasłonić przed Trevithickiem...

- Kit, jak możesz być taki nieuprzejmy? - Beth spochmurniała, słysząc nietaktowną wymówkę. - Nawet jeśli masz rację, potrzebuję twojej pomocy, więc rusz się i zrób, co do ciebie należy.

- Chciałem cię tylko ostrzec, że Trevithick nie da się tak łatwo zbyć. Trudno, mus to mus. Skoro trzeba zatańczyć, chodźmy.

Podał jej ramię i razem oddalili się, zmierzając w przeciwny kąt sali, żeby uniknąć spotkania z nadchodzącym Markusem.

- Widziałam, że rozmawiałeś z Eleonorą Trevithick, kiedy jej matka na was nie patrzyła - zagadnęła żartobliwie Beth, gdy przyłączyli się do grupy tancerzy. - Jeśli uważasz, że potrzebuję ostrzeżenia, może sam również powinieneś wysłuchać mojej rady. Mam nadzieję, że nie zaangażowałeś się uczuciowo. Obawiam się, że spotkałoby cię wielkie rozczarowanie.

Nagrodą za spostrzegawczość był dla niej lekki rumieniec na gładkich policzkach kuzyna. Kit wyraźnie unikał jej wzroku.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Panna Trevithick jest uroczą dziewczyną, ale nie staram się o nią.

Beth uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Naturalnie. Gadam bzdury. Skąd mi to przyszło do głowy?

- Daj spokój. Wystarczy, że Charlotte nie szczędzi mi dobrych rad - odparł ponuro Kit.

- Byłbym wdzięczny, gdyby stryjeczna siostra nie zadreślała mnie swoją gadaniną. Wystarczy, że rodzonej usta się nie zamykają.

Tańczyli nadzwyczaj zgodnie, ale Beth szybko zorientowała się, że bardziej niż zwykle musi skupiać się na skomplikowanych krokach i figurach. Mimo woli zerkała raz po raz na wysoką postać Markusa Trevithicka, który przecisnął się zręcznie przez tłum gości i podszedł do matki oraz siostry. Stali teraz wszyscy troje przy jednym z wysokich okien wychodzących na taras. Wydawało się Beth, że nawet wówczas, gdy nie patrzy na Markusa, tajemniczy zmysł pomaga jej wyczuwać jego obecność. Odetchnęła z ulgą dopiero, gdy Justin Trevithick podszedł do grupki rodzinnej. Po chwili obaj panowie ruszyli w stronę pokoju, gdzie część towarzystwa zasiadła do kart. Po wykonaniu ostatniej figury Kit podziękował Beth ukłonem i wyruszył na poszukiwania kolejnej partnerki. Za chwilę miał się rozpocząć taniec zwany *boulanger*.

Beth zamierzała wrócić do lady Fanshawe, ale zanim do niej podeszła, Markus niespodziewanie stanął w drzwiach salonu przeznaczonego dla miłośników kart i ruszył w jej stronę przez zatłoczony parkiet. Wybiegła z sali i schroniła się w damskiej gotowalni. Przesiedziała tam dwadzieścia minut, bo miała nadzieję, że znudzi go czekanie w korytarzu. Nie pomyliła się w swoich rachubach. Gdy wyjrzała ostrożnie z gotowalni, targały nią mieszane uczucia. Odetchnęła z ulgą, a zarazem była trochę rozczarowana. Wślizgnęła się do sali balowej. Markus tańczył z Eleonorą. Beth postanowiła wrócić do lady Fanshawe, ale nie zastała jej w rogu, gdzie poprzednio siedziały. Starsza pani zniknęła.

Nieco zakłopotana, usiadła w fotelu i obserwowała Kita. Tańczył z debiutantką w różowej sukni, ale raz po raz odwracał głowę, by popatrzeć na Eleonorę Trevithick. I po co tak się zarzekał, kiedy zapytałam, co do niej czuje, pomyślała z uśmiechem Beth. Najwyraźniej oboje dali się złapać w tę samą uczuciową pułapkę.

W sali balowej zrobiło się nieco luźniej. Część gości wyszła, żeby dopełnić innych towarzyskich zobowiązań. Beth zerknęła przez ramię i spostrzegła, że Markus idzie w jej kierunku. Wystraszona, zerwała się na równe nogi i okrążając parkiet, ruszyła w przeciwną

stronę. Podczas tej ucieczki potknęła się i omal nie upadła. Niech mnie ktoś poprosi do tańca, modliła się w duchu. Królestwo za tancerza... - Zechce pani ze mną zatańczyć, lady Allerton? Niebiosa wysłuchały jej próśb. Odwróciła się natychmiast, gotowa zasypać podziękowaniami swego wybawcę, i zobaczyła uśmiechniętego Justyna Trevithicka. Z deszczu pod rynną... Na pewno zdawał sobie sprawę, że próbowała uciec przed Markusem, nie mogła jednak odmówić mu tańca, ponieważ byłby to ogromny nietakt.

- Owszem, panie Trevithick. Dzięki, że zechciał mnie pan zaprosić.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni Beth kilkakrotnie widziała Justyna. Od razu polubiła go za poczucie humoru i przyjazne nastawienie do ludzi, teraz jednak życzyła mu jak najgorzej, bo podejrzewała, że jest w zмовie z kuzynem. Rozejrzała się, szukając wzrokiem Markusa. Rozmawiał z damą w pasiastej sukni z czerwono - białego jedwabiu. Osoba ta była ostatnimi czasy prawdziwą duszą londyńskiego towarzystwa, a Markus wydawał się nią zauroczony. Beth uznała, że jej mania prześladowcza jest bzdurna i bezsensowna. Najwyraźniej zainteresowanie Markusa było dość powierzchowne, skoro tak szybko znalazł sobie inny przedmiot uwielbienia.

Justyn czekał z pobłażliwym uśmiechem na ustach, więc szybko przybrała obojętny wyraz twarzy i podała mu rękę. Gratulowała sobie, że w czasie poloneza całkiem udanie prowadziła rozmowę i zająknęła się tylko raz, kiedy ujrzała Markusa i pasiastą damę wychodzących razem z sali balowej. Potwierdziły się jej domysły. Markus uznał, że towarzystwo nowej wybranki zdecydowanie bardziej mu odpowiada, więc odszedł, żeby cieszyć się nim na osobności. Beth uświadomiła sobie, że jest o niego zazdrosna, i to wytrąciło ją z równowagi.

Po tańcu udała się z Justynem do salonu.

- Czy mogę zaproponować pani szklanekę lemoniady? Ten napój nie jest szczególnie wyrafinowany, lecz znakomicie gasi pragnienie, zwłaszcza gdy jest gorąco i duszno, jak podczas dzisiejszego balu. Proszę usiąść i odpocząć w tej niszy, a ja postaram się szybko wrócić.

Wdzięczna za troskę Beth opadła na wyściełany poduszkami, niski parapet wykuszowego okna. Nareszcie miała czym oddychać, a powiew powietrza miło chłodził twarz. Dotknęła czołem kamiennej płyty, jednej z wielu tworzących obramowanie okna, i przymknęła oczy. Nie zwracała uwagi na dobiegające z oddali dźwięki muzyki i gwar rozmów.

- Lady Allerton, przyniosłem lemoniadę. Zaskoczona wzdrygnęła się tak gwałtownie, że omal nie uderzyła głową o zimny kamień. To nie był głos Justyna Trevithicka. Poznała

głęboki baryton jego kuzyna. Odwróciła głowę i rzeczywiście ujrzała Markusa stojącego przed nią ze szklanką lemoniady w ręku. Jego twarz przybrała znowu wyraz rozbawienia, który Beth widziała na niej przez cały wieczór. Czuła się niezręcznie, bo żeby na niego patrzeć, musiała wysoko podnosić głowę. Chciała wstać, ale był zbyt blisko. Taka styczność z pewnością nie wyszłaby im na dobre, więc Beth tylko pochyliła się nieznacznie i z pozorną nonszalancją wzięła szklankę.

- Dzięki. Witam pana, milordzie. Jak samopoczucie?

- Jestem w dobrym nastroju, bo udało mi się wreszcie zbliżyć do pani i zamienić kilka słów. A myślałem, że tego wieczoru szczęście nie uśmiechnie się do mnie - oznajmił rozpromieniony.

- Pański kuzyn miał dotrzymać towarzystwa... - zaczęła Beth.

- To znaczy, że moja obecność jest pani niemiła? Przyznaję, że uprosiłem go, aby pozwolił mi zaopiekować się panią w jego zastępstwie. - Markus wzruszył ramionami. - Teraz mam panią tylko dla siebie. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciała pani przez kilka minut siedzieć tutaj i nigdzie nie uciekać. Czeka nas ważna rozmowa.

Ogarnięta poczuciem winy, Beth wierciła się niespokojnie na ławie pod oknem. Nie miała szans, żeby uciec, bo Markus stał u wejścia do okiennej niszy, zagradzając drogę odwrotu.

- W takim razie niechże pan siada - odparła lodowatym tonem - i przestanie spoglądać na mnie z góry, bo to okropnie denerwujące.

Markus uśmiechnął się i usiadł obok niej.

- Zgoda, ale pod jednym warunkiem, a mianowicie, że mi pani nie umknie. Cóż to za farsę dziś tu odegraliśmy! Te wszystkie podchody, krążenie po sali, szukanie kryjówek, unikanie mojego wzroku!

- Kiedy na pana spojrzałam, był pan niesłychanie zaaferowany - odparła drwiąco, nim zdążyła ugryźć się w język. - Dziwię się, że w ogóle raczył mnie pan dostrzec.

Markus wybuchnął śmiechem.

- Domyślam się, że chodzi pani o damę, z którą niedawno wyszedłem na taras. To lady Grace Walters, moja starsza siostra. Tak ją zmęczyła duchota panująca w sali balowej, że postanowiła trochę pospacerować i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Beth odwróciła głowę. Znowu wyszła na idiotkę.

- Nie dbam o to...

- Przeciwnie. Inaczej słowem by pani o tym nie wspomniała. - Usadowił się wygodniej na ławie pod oknem i wyciągnął przed siebie długie nogi. - Wciąż nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Po co było grać tę farsę?

- Postanowiłam pana unikać - odparła szczerze. - Tyle się słyszy plotek dotyczących naszej... - Zawahała się, szukając właściwego słowa na określenie ich wzajemnych uczuć.

- Przyjaźni? - podpowiedział skwapliwie Markus.

- Owszem. Dziękuję. Tyle snuto domysłów na temat naszej przyjaźni, że uznałam za stosowne położyć im kres...

- Snując się po sali balowej jak marna aktorka po scenie? Pani ostentacyjna ucieczka wzbudziła dziś ogromną ciekawość. Wszyscy plotkują, aż miło. Czy pani tego nie spostrzegła?

- Skoro już o tym mowa, nasze sam na sam w tej niszy z pewnością nie przyczyni się do tego, żeby ludzie przestali plotkować - odparła Beth. - Odnoszę wrażenie, że lubi pan wywoływać skandale, milordzie.

- Muszę przyznać, że cudze opinie są mi obojętne. Dlaczego miałbym zaprzętać sobie głowę takimi bzdurami? Czemu pani ma się przejmować gadaniną starych plotkarek? Chętnie pocałowałbym panią tu i teraz. Ciekawe, jak zareagują na to łowcy sensacji.

- Proszę nie żartować, milordzie! - Oburzona Beth cofnęła się gwałtownie.

- Dlaczego pani uważa, że to żarty? Dawniej nie miała pani nic przeciwko moim pocałunkom.

- Milordzie, ciszej, proszę! - syknęła zarumieniona Beth.

- W takim razie porozmawiajmy na osobności. Chciałbym przedyskutować z panią ofertę kupna Fairhaven. Najwyższy czas, żebyśmy doszli do porozumienia.

Beth spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie wierzę! To podstęp. Nie mam do pana zaufania.

- A to czemu? - spytał rozbawiony Markus. - Pewnie dlatego, że podczas ostatniego sam na sam nie tylko rozmawialiśmy, lecz także...

Oburzona Beth zaczęła gwałtownie wymachiwać rękami.

- Pan jest chyba pijany, skoro wygaduje pan takie głupstwa.

Markus jedną ręką chwycił jej dłonie.

- Ależ skąd! Jeśli nie chce pani ze mną rozmawiać, proszę o taniec.

Nie zwlekając, pomógł jej wstać. Gdy szli przez zatłoczoną salę balową, lekko obejmował ją w tali. Całą sobą wyczuwała bliskość jego smukłej postaci. Marszczona spódnica dotykała jego uda. Beth chciała się odsunąć, ale daremnie próbowała zachować

stosowny dystans, ponieważ tłumnie zgromadzeni goście popychali ich ku sobie. Przez muślin sukni czuła żar bijący od jego ciała. Nagle zrobiło jej się gorąco i słabo. Nie miała sił, żeby tańczyć. Gdy rozległy się pierwsze tony walca, niewiele brakowało, żeby odwróciła się i uciekła.

- Nie ma powodu do obaw, kochanie - mruknął jej do ucha zachęcająco i czule. - Moje zachowanie będzie nienaganne. Daję słowo.

Przebiegł ją dreszcz. Nie śmiała spojrzeć na Markusa. Z ociąganiem zrobiła krok w jego stronę i pozwoliła się objąć. Wkrótce odzyskała spokój, bo Markus ani myślał przysunąć się nazbyt blisko.

Zaczęli krążyć po parkiecie w takt śpiewnej melodii. Chwilami patrzyli sobie w oczy. Z pozoru tańczyli jak inne pary: rytmicznie, lekko, radośnie, ale coś ich jednak wyróżniało. Oboje instynktownie wyczuwali zmysłowość ukrytą pod płaszczykiem konwenansów. Na balu u księżnej Calthorpe, wśród stu pięćdziesięciu rozbawionych gości patrzyli sobie w oczy, drżąc z radości i skrywanej rozkoszy.

Muzyka umilkła, a walczące pary rozłączyły się i z wolna opuściły parkiet. Szmer rozmów narastał stopniowo. Zarumieniona Beth posłusznie dała się prowadzić Markusowi, który zręcznie lawirował wśród spacerujących par. Gdy zmierzali w stronę wolnych krzeseł, desperacko próbowała znaleźć temat do rozmowy, bezpieczny dla siebie, zajmujący dla partnera.

- Ogromnie tu gorąco - zaczęła niepewnie i odetchnęła z ulgą, bo twarz Markusa wyrażała znowu rozbawienie, a nie żądzę.

- Słuszna uwaga - przytaknął. - Temperatura naszych uczuć także wzrasta.

Popatrzyła na niego, daremnie szukając odpowiedzi na tę dwuznaczną uwagę. Nim się odezwała, podszedł do nich Justyn towarzyszący lady Fanshawe. Beth nie miała wątpliwości, że natychmiast zorientował się w sytuacji, bo przez moment wodził spojrzeniem po ich zarumienionych twarzach, a następnie pytająco uniósł brwi. Na szczęście lady Fanshawe nie grzeszyła spostrzegawczością.

- Tu jesteś, kochanie! Pamiętasz chyba, że mamy być na raucie u lady Baynton. Na nas już pora. Trzeba się tam pokazać, nim wieczór dobiegnie końca. - Uśmiechnęła się promiennie do Markusa i Justyna. - Panowie jadą z nami? A może zaplanowaliście inne atrakcje?

Beth czuła na sobie natarczywe spojrzenie Markusa. Nietrudno zgadnąć, jakie miał plany względem niej. Starła się zachować kamienną twarz, choć była zirytowana, że w jego obecności rumieni się z byłego powodu.

- Dzięki, łaskawa pani, ale powinniśmy się dzisiaj pokazać w klubie - odparł z uśmiechem Justyn. - Możemy odprowadzić panie do powozu?

Gdy wyszli z dusznej sali, powietrze na zewnątrz wydało się zaskakująco chłodne. Beth, owinięta ciasno aksamitną peleryną, próbowała opanować drżenie. Markus pocałował ją w rękę i zapowiedział przyciszonym głosem, że jutro przyjdzie z wizytą. Sama nie wiedziała, czy się z tego cieszyć, czy uznać za powód do zmartwienia, ponieważ bała się uczuć, które w niej budził. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzuciła kilka zdawkowych słów.

Gdy usadowiła się w powozie, przyszło jej do głowy, że do tej pory w ogóle nie była świadoma, jak znikomą rolę odgrywały w jej życiu namiętność oraz pożądanie. Wyszła za mąż wkrótce po ukończeniu pensji dla panien z dobrych domów. Jako żona Franka Allertona czuła się szczęśliwa. Rzadko korzystał ze swych małżeńskich praw, za to rozpieszczał ją niczym ulubioną kuzyneczkę. Ich związek do końca był wolny od namiętności. Z nielicznych i zawołanych uwag Charlotte wywnioskowała, że małżeństwo to coś więcej niż tylko przyjazne współistnienie dwojga zżytych ze sobą ludzi, ale uznała, że te jego aspekty nie mają dla niej żadnego znaczenia. Kiedy owdowiała, w kręgu jej znajomych pojawiali się interesujący panowie. Cieszyła się ich towarzystwem, lecz nie miała ochoty na romanse. Teraz zdała sobie sprawę, że była wówczas głęboko przekonana, jakoby nie była stworzona do miłości.

Pocałunek Markusa sprawił, że odkryła w sobie zupełnie nowe cechy. Jej zmysłowość i uczucia wreszcie się obudziły. Usadowiona w rogu powozu, słuchała nieuważnie paplaniny lady Fanshawe i myślała o wzbudzonej przez Markusa potrzebie nowych życiowych doświadczeń.

Trudna sprawa. Gdyby chodziło jej wyłącznie o kochanka, bez problemu spełniłaby chwilowy kaprys. Nie musiała daleko szukać. Niemal czuła ciepło i siłę ramion Markusa. Kusilo ją, żeby mu ulec, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Trochę zadziwiona, że uczucia dochodzą wreszcie do głosu, a młode ciało domaga się uwzględnienia swoich praw, nie wiedziała na razie, co o tym myśleć i jak postępować. Wbrew zdrowemu rozsądkowi lubiła Markusa. Dobrze się czuła w jego towarzystwie, chętnie z nim rozmawiała, ceniła sarkastyczne poczucie humoru. Zdawała sobie sprawę, że jest niebezpiecznie bliska pokochania go, a ryzykowna miłość rozkwita zbyt szybko. Beth zawsze była impulsywna, ale tym razem musiała zachować ostrożność i chronić siebie przed realnym zagrożeniem. Wiedziała, że Markus jej pragnie, ale nie sądziła, aby darzył ją głębszym uczuciem. Myślała o tym z przykrością, lecz nie mogła żyć złudzeniami.

- Czy bardzo panią zmartwię, jeśli wymówię się od wizyty u lady Baynton? - zwróciła się przyciszonym głosem do swojej towarzyszki. - Jestem nieco znużona, więc najchętniej wróciłabym do domu, żeby odpocząć. - Oczywiście, dziecinko. - Szczerze zatroskana matka chrzestna przyjrzała jej się uważnie. - Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Zamknęłaś się w tej wiejskiej głuszy i dlatego odwykłaś od wielkomijskich rozrywek. - Lady Fanshawe po-grzebała w woreczku, odchrząknęła i dodała zakłopotana: - Kochanie, bardzo proszę, nie miej mi tego za złe, ale muszę cię ostrzec przed lordem Trevithickiem...

- Nie ma takiej potrzeby - odparła Beth, poprawiając się niespokojnie na kanapie powozu. - Zapewniam, że nie ma powodu do obaw.

- Beth, dlaczego jesteś taka roztargniona? - Charlotte Cavendish odłożyła suknię, którą przed chwilą oglądała, i ze zdumieniem popatrzyła na kuzynkę, przerywając przeglądanie rzeczy kupionych przed południem w najlepszych londyńskich sklepach. - Zapytałam, który kolor bardziej ci się podoba: zielony czy fioletowy, a ty odparłaś, że oba. Nie masz ochoty na buszowanie wśród tych ślicznych fatalasek? Wystarczy mi o tym powiedzieć i wrzucamy je do szafy.

- Najładniej ci w niebieskim, Lottie - oznajmiła pospiesznie Beth, z zachwytem spoglądając na błękitny jedwab, który podkreślał barwę lśniących oczu kuzynki. - Na twoim miejscu nosiłabym także muślin w kolorze kości słoniowej. W szarym też ci do twarzy.

- W takim razie to już wszystko, czego mi potrzeba, ale nie mamy nic dla ciebie - zmartwiła się Charlotte. - To są towary z najlepszego sklepu na Bond Street, a ty sprawiasz wrażenie znudzonej.

Beth przesunęła między palcami seledynowy szal, wstała i podeszła do okna.

- Wybacz. Po wczorajszym balu jestem trochę zmęczona. Późno wróciłyśmy, poza tym źle spałam.

Charlotte nieco spochmurniała.

- Tak mi przykro, że nie mogę chodzić z tobą na bale i przyjęcia. Lady Fanshawe jest kochana i urocza, ale mam wrażenie, że ma na twój temat błędne wyobrażenie. Powiedziała mi niedawno, że byłaby rada, gdyby sir Edmund Netherwood oświadczył się o ciebie, a przecież wiadomo, że to - stary nudziarz i łowca posagów. Miał trzy żony! Biedaczki się wykończyły, a on trwoni ich majątki.

Beth wybuchnęła śmiechem.

- Nie masz powodu do obaw, Lottie. Powtórne zamażpójście nie jest moim życiowym celem. - Po chwili spoważniała. - Oczywiście byłoby przyjemniej, gdybyś wraz ze mną

korzystała z uroków wielkiego miasta. Mnie też jest przykro, kiedy pomyślę, że siedzisz w domu sama jak palec, kiedy ja i Kit bawimy się w najlepsze.

- Skoro mowa o dobrej zabawie, lady Fanshawe wspomniała, że na balu pojawił się lord Trevithick - wpadła jej w słowo Charlotte, sprawdzając szwy cieniutkich skórkowych rękawiczek. - Podobno wytrwale ci asystował.

Beth splonęła rumieńcem. Odwróciła głowę i spojrzała w okno wychodzące na ulicę, gdzie kwiaciarka rozstawiała na trotuarze swój stragan.

- Owszem. Ja... szczerze mówiąc, ciągle szuka mojego towarzystwa. Nie mogę się od niego opędzić.

- A chcesz?

- Właściwie nie - odparła szybko. - Bardzo lubię lorda Trevithicka, ale obawiam się, że...

Charlotte sięgała właśnie po kupon tkaniny, lecz zatrzymała się w pół gestu i położyła dłonie na kolanach. - Czego się obawiasz? Że coś do niego czujesz? - zapytała z chytrą miną.

Beth kiwnęła głową, unikając jej wzroku. - Markus jest całkiem inny niż Frank! - Też mi odkrycie! - Charlotte wybuchnęła śmiechem. Rozmowę przerwał im przenikliwy dźwięk dzwonka. Obie drgnęły. Wkrótce do saloniku wszedł kamerdyner Carrick, niosąc przewiązany sznurkiem pakunek zawinięty w brązowy papier. Wręczył go Beth.

- Lord Trevithick przysłał paczkę. Jest także bilecik.

Zdumiona Beth popatrzyła na Charlotte i rozerwała kopertę. Wewnątrz znalazła pojedynczy arkusik papieru. Natychmiast rozpoznała wyrazisty charakter pisma. Szybko przeczytała kilka linijek tekstu.

„Droga lady Allerton!

W paczce jest pani trofeum. Mam nadzieję, że kiedyś je odzyskam. Dołożę wszelkich starań, żeby tak się stało. Ufam, że nie zamierza pani natychmiast wyjechać z Londynu, żeby jak najszybciej zaszyć się w Devon, bo chciałbym wkrótce panią odwiedzić.

Do zobaczenia Trevithick”

Arkusik opadł na podłogę. Beth nożem do papieru rozcięła szary papier i otworzyła paczkę. Ręce jej drżały. W środku był dokument, na mocy którego leżąca w Kanale Bristolskim wyspa Fairhaven miała odtąd należeć do Elizabeth, lady Allerton oraz jej spadkobierców. Podpisano: Trevithick. Jedno słowo nakreślone tym samym energicznym charakterem pisma. Do aktu własności dołączono plik dokumentów. Były wśród nich łacińskie manuskrypty spisane na pergaminie tak starym i cienkim, że z łatwością przenikały

go promienie światła. Beth oglądała te papiery z niedowierzaniem. Z trudem pojęła, że niespodziewanie trafiły do jej rąk materiały odzwierciedlające historię upragnionej wyspy.

Charlotte podniosła bilecik i go przeczytała. Zerknęła na Beth i raz jeszcze spojrzała na arkusik.

- Niesamowite! Trudno uwierzyć, że lord postanowił spełnić twoje marzenie. Masz obsesję na punkcie tej wyspy.

Beth także nie była pewna, czy to jawa, czy sen.

- Dla niego to błahostka - rzuciła, nie mogąc złapać tchu. - Posiada wiele innych, znacznie cenniejszych posiadłości. Fairhaven ma tylko wartość symboliczną, przede wszystkim dla mnie.

- Zastanawiam się, co chciał ci dać do zrozumienia, pisząc, że jest zdecydowany odzyskać wyspę - powiedziała z namysłem Charlotte - i czego może oczekiwać w zamian za swój dar.

Beth popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Niczego! Uregulował wreszcie dług honorowy. Przegrał w kości...

- Nie przypominaj mi o tamtym incydencie! - Zirytowana Charlotte ściągnęła usta i rzuciła Beth ostrzegawcze spojrzenie. - Czasami bywasz naiwna jak dziecko, kochanie. Z mojego doświadczenia wynika, że niczego nie dostaje się za darmo. Idę o zakład, że Trevithick czegoś od ciebie chce. Dąży do tego, abyś była do niego przychylnie nastawiona, co jest krzepiące, ale nie wykluczam, że jego intencje są podejrzone.

Beth czuła, że się rumieni. Nie wspomniała Charlotte, że Markus złożył jej parę niemoralnych propozycji. Nadmierna szczerość pogorszyłaby tylko sytuację i podsyciła obawy kuzynki.

- O, nie! W to nie uwierzę. - Beth napotkała sceptyczne spojrzenie Charlotte. - Zresztą kto wie...

- Sama żywisz takie podejrzania. Opowiedz mi szczegółowo o tamtej rozgrywce. Co wtedy zaszło?

Beth miała świadomość, że rumieńce na jej policzkach stają się coraz ciemniejsze.

- Nic szczególnego - mruknęła, unikając przenikliwego wzroku kuzynki. - Trochę mi nadszkakiwał... I robi to nadal.

- Zapewne, a skoro tak się rzeczy mają, powinnaś zachować ostrożność. Trevithick nie należy do mężczyzn gotowych zadowolić się salonowym flirtem. Niebezpieczny z niego człowiek.

- Naprawdę? - Zbita z tropu Beth zapomniała o ostrożności. - Nie wiedziałam, że ma tak złą reputację.

- Bo w ogóle nie zwracasz uwagi na takie sprawy. Pamiętasz tego łowcę posagów, który wiosną starał się o twoje względy? Uznałaś, że to przemiły jegomość.

- Owszem, ale lord Trevithick jest całkiem inny.

- Racja. Znacznie bardziej niebezpieczny. Przy nim tamten był całkiem nieszkodliwy - odparła Charlotte, podchodząc do drzwi. - Radzę ci uważać, kochanie.

Gdy wyszła, Beth pozbierała dokumenty i podeszła z nimi do okna. Usiadła na niskim parapecie wyściełanym miękkimi poduszkami, żeby się wygrzewać w promieniach jesienno-słonecznym. Spoglądała na ulicę, gdzie roiło się od handlarzy i przechodniów.

Położyła akta wyspy na kolanach, w zadumie spoglądając na widoczną w oddali gęstwinę wież i spadzistych dachów. Jesienny pobyt w Londynie przyprawiał ją o klaustrofobię, bo pora roku sprzyjała raczej konnym przejażdżkom po łąkach i polach, wyprawom na klifowe wybrzeże, skąd wzrok sięgał daleko w morze, i spacerom po plaży przy akompaniamencie fal, z sykiem ginących w piasku.

Beth popatrzyła znowu na dokumenty. Czuliła się dziwnie, ale nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Być może wszystkiemu winne było zaskoczenie. Nagle stała się przecież właścicielką upragnionej wyspy. Może radosna nowina najpierw ją poraziła. Po chwili uświadomiła sobie jednak, że nie o to chodzi. Musiała omówić tę sprawę z Markusem i zapytać, co on zamierza. Nie wiedzieć czemu poczuła się oszukana. Dopięła swego, ale nie była z tego zadowolona, choć nie umiała powiedzieć, dlaczego tak się dzieje.

Tego ranka w klubowej czytelni panowała zupełna cisza. Dla Markusa była to miła odmiana po burzliwym śniadaniu w Trevithick House. Wicehrabina, oburzona zachowaniem syna podczas wczorajszego balu, skarciła go surowo za jawne lekceważenie rodowych powinności. Według niej Trevithickowie nie po to przez dwieście pięćdziesiąt lat pielęgnowali nienawiść do Mostynów, żeby Markus sprzeniewierzył się rodzinnej tradycji, emablując chętną wdówkę, mniejsza o to, jak bogatą. Markus oburzony jawną niesprawiedliwością matki wobec Beth zmiął serwetkę, rzucił ją na stół i natychmiast wyszedł z domu. Nieco poweselał, gdy na St. James spotkał Justyna. Razem poszli do klubu, gdzie młodszy z kuzynów uciął sobie drzemkę, a starszy pograżył się w lekturze „Morning Chronicle”.

Po godzinie Markus obudził Justyna lekkim szturchnięciem.

- Ile wczoraj wygrałeś? Gdy wychodziłem, Warrender był ci winien dziesięć tysięcy gwinei. Masz dość, żeby zaspokoić tę chciwą śpiewaczkę z opery, którą utrzymujesz?

- W sumie dwadzieścia pięć tysięcy - wymamrotał Justyn, nie otwierając oczu. - Warrender dał mi pieniądze i wziął sobie dziewczynę. Jest słodka, ale zbyt niesforna.

- Korzystna transakcja. Sprzątasz dom, żeby się ustatkować?

- Niedoczekanie twoje! - Justyn ziewnął. Otworzył oczy i spod zmrużonych powiek zerknął na Markusa. - To raczej ty dałeś się złapać w pułapkę.

- Chcesz mnie zniechęcić do małżeństwa, stary draniu? Wczoraj wyśpiewywałeś peany na cześć lady Allerton.

- Nie zaszkodzi wziąć sobie posażną żonkę - odparł poważnie Justyn. - To bogata rodzina, ale jest w nich zła krew. Nie mamy prawa ich krytykować. I my, i oni to banda piratów i złodziei. Jesteśmy sobie warci.

- Możesz mnie nazwać dziwakiem, ale nie ożeniłbym się dla pieniędzy - odparł z namysłem Markus.

Justin obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Chyba mówisz szczerze, ale wygląda na to, że nie będziesz musiał dokonywać takiego wyboru. Wzięło cię, co? Zawróciła ci w głowie do tego stopnia, że podarowałaś jej wyspę.

Markus nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko. Justyn znał go zbyt dobrze, żeby dał się omamić, ale za wcześnie było na rozmowę o ślubie. Myśląc o Beth, Markus niecierpliwie wiercił się w fotelu. Wkrótce zamierzał jechać do niej z wizytą i zabrać na przejażdżkę. Chciał porozmawiać z nią, skłonić do złożenia obietnicy, że nie umknie natychmiast z Londynu, żeby obejrzeć nową posiadłość. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak zareaguje, kiedy się dowie, że oddał jej Fairhaven. Odczuwał zadowolenie, bo sprawił jej przyjemność. To odczucie było dla niego nowością. Dotychczas pomagał ludziom z wielkopańską nonszalancją. Po raz pierwszy w życiu miał potrzebę czynienia dobra i opiekowania się kimś innym. Skwitował to odkrycie kolejnym uśmiechem. Do diabła, chyba się starzeje, bo zachciewa mi się ślubu i własnych pociech, pomyślał.

Podszedł do niego służący, niosąc na srebrnej tacy bilet wizytowy.

- Przepraszam, milordzie. W holu czeka pan Gower. Pyta, czy zechce pan teraz poświęcić mu trochę czasu.

Markus uniósł brwi. Widział się dzień wcześniej z Gowerem i odebrał gotowy dokument poświadczający darowiznę. Prawnik zaklinał go, żeby trochę poczekał, zastanowił się, okazał odrobinę zdrowego rozsądku. Markus spieszył się, bo chciał sprawić radość Beth, więc natychmiast podpisał akt własności i nie zważając na rady prawnika, kazał wysłać papiery. Z pewnością wydarzyło się coś nieoczekiwanego, ponieważ Gower uznał za konieczne

niepokoić go w klubie. Markus zastanawiał się, czy sprawa dotyczy Fairhaven, czy wyniknęły inne problemy.

Prawnik czekał przed drzwiami klubu, na ulicy. Miał w rękach kapelusz, jakby był wystraszony albo zdenerwowany. Po namyśle Markus uznał, że prawnik sprawia wrażenie przygnębionego.

- Milordzie, proszę wybaczyć, że zaprzątam panu głowę, ale sprawa jest pilna - mamrotał, wodząc spojrzeniem od Justyna do Markusa. - Nie zawracałbym panu głowy...

- Rozumiem, Gower - przerwał Markus. - Do rzeczy. W czym problem?

- Milordzie, oto dokumenty, z którymi powinien się pan zapoznać. Wyszły na jaw pewne fakty... - Gower wtulił głowę w ramiona.

- Dotyczące Fairhaven - wpadł mu w słowo zaciekawiony Justyn. Gower kiwnął głową, Markus spochmurniał.

- Chodzi o wyspę... i o lady Allerton.

- Nie będziemy dyskutować o tym na ulicy - burknął Markus. - Gower, pańska kancelaria lepiej niż Trevithick House nadaje się do takich rozmów. Chodźmy tam.

W milczeniu ruszyli na Chancery Lane. Wszyscy trzej czuli się mocno skrepowani. Gower wpuścił ich do środka. W głębi pomieszczenia aplikant pracował przy biurku, ale siedział daleko, więc nie mógł usłyszeć ani słowa. Gower poprzekładał ostrożnie leżące na krzesłach dokumenty i poprosił gości, żeby usiedli, ale Markus nie miał na to ochoty.

- Dzięki, wolę stać - odparł cierpko. - O co chodzi, Gower? Cóż to za ważne informacje?

Prawnik usiadł za wielkim mahoniowym biurkiem i zaczął nerwowo przekładać papiery. Markus był coraz bardziej zaniepokojony.

- Na miłość boską! Człowieku, mów nareszcie, o co chodzi!

Poczuł na sobie karcące spojrzenie Justyna, więc próbował zapanować nad nerwami. Sytuacja nie zmieni się na lepsze, jeśli będzie krzyczał na Gowera, który wykonywał tylko swoją pracę. Markus nie chciał go sobie zrazić, bo potrzebował skrupulatnego prawnika gotowego zatroszczyć się o wszystkie sprawy, którymi on sam nie lubił się zajmować. Z obawą czekał na rewelacje dotyczące Beth. Zrobiło mu się ciężko na sercu.

- Tak, milordzie - powiedział Gower z kamienną twarzą. Włożył na nos półokrągłe okulary, zza których błyskały jasne tęczęwki, wziął ze stosu papierów leżące na samym wierzchu! dokumenty i odchrząknął.

- Jeśli chodzi o Fairhaven, milordzie... Gdy przed paroma tygodniami po raz pierwszy wyniknęła sprawa przekazania wyspy lady Allerton, przeprowadziłem małe dochodzenie. - Gowerowi oczy błyszczały. - Zrobiłem to dla pańskiego dobra.

- Jasna sprawa. Proszę kontynuować - odparł uprzejmie Markus, chociaż korciło go, żeby zacisnąć dłonie na szyi prawnika i mocno nim potrząsnąć.

- Tak, milordzie. W archiwum znalazłem ofertę kupna przekazaną na piśmie przez lorda Franka Allertona, który dwadzieścia lat temu zwrócił się do pańskiego dziadka, ówczesnego lorda...

- I co z tego, Gower? - Zniecierpliwiony Markus przestępował z nogi na nogę.

Prawnik znowu przekładał papiery.

- Jak wiadomo, lord Frank był wybitnym mineralogiem. Zapewne miał podstawy, aby sądzić, że na wyspie znajdują się złoża cennych minerałów, na tyle bogate, że opłaca się inwestować w ich eksploatację.

Justyn gwizdnął cicho.

- Niewiele jest rud metali, których pozyskiwanie warte byłoby tyle zachodu.

- Słuszna uwaga, sir. - Gower pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Rzecz jasna, lord Frank nie informował poprzedniego lorda, dlaczego tak mu zależy na kupnie Fairhaven, ale z dobrze poinformowanych źródeł wiem - ciągnął prawnik z tajemniczą miną - że tym cennym minerałem jest złoto.

Markus głośno wciągnął powietrze. W milczeniu odwrócił się i utkwił spojrzenie w zakurzonej szybie. Po drugiej stronie ulicy gołębie zbierały okruchy z trotuaru. W kancelarii rozległ się głos Justyna, który po dłuższym namyśle zapytał prawnika:

- Czy pańskim zdaniem lord Frank wiedział, jakie bogactwa naturalne występują w tamtym regionie?

Markus odwrócił się natychmiast.

- Oczywiście - przytaknął z naciskiem. - Nawet ja wiem, że był w tej dziedzinie wybitnym specjalistą. Prowadził badania w rodzinnym hrabstwie, a ponadto nadzorował rozwój kopalni węgla w Somerset. Posiadał także liczne koncesje na wydobycie cyny w Cornish.

- Należą teraz do jego żony - przypomniał rzeczowo prawnik.

- Dobrze, Gower. - Markus pochylił się nad biurkiem. - Domyślam się, że teraz wyciągniemy wnioski z pańskiej opowieści.

- Zapewne tak, milordzie. - Prawnik wyraźnie spochmurniał i odetchnął głęboko. - Wie pan doskonale, że mam na względzie przede wszystkim pańskie dobro...

- To nie ulega wątpliwości - przyznał oschle Markus i zacisnął usta. - Proszę mówić dalej.

- Jak pan sobie życzy, milordzie. Wiadomo, że pański dziadek nie miał ochoty sprzedać wyspy lordowi Frankowi, Powtarzał, że nie po to wydarł ją tym cholernym piekielnikom Mostynom, jak był łaskaw ich nazwać, żeby się natychmiast pozbyć zdobywcy. Z braku pieniędzy i ochoty do działania nie eksploatował odkrytych złóż, więc przez długie lata leżały nietknięte. - Gower podniósł wzrok znad dokumentów. - Jest tam stare zamczysko, a także pola uprawne i niewielka wioska. Jak pan zapewne pamięta, na Fairhaven rezyduje pański stryj, John Trevithick. Mieszka w zamku z siostrą, panią Trevithick. Odwiedziłem wyspę dwa lata temu, kiedy zarządca, pan McCrae...

- Do rzeczy, Gower - przerwał znużonym głosem Markus, siadając na krześle obok zasepionego Justyna. Uśmiechnął się do niego. - Proszę mi wybaczyć niecierpliwość, ale chciałbym wiedzieć, jaki charakter mają pańskie zarzuty wobec lady Allerton.

- Tak jest, milordzie - odparł Gower. Dokumenty, które trzymał w ręku, drżały lekko. - Przed dwoma laty, zaraz po śmierci męża, lady Allerton zwróciła się do lorda z ofertą kupna Fairhaven.

- Czyżby? - Markus uniósł brwi. - Wspomniała mi o tym.

- Ach, tak, milordzie - odparł ironicznie prawnik. - Propozycję składała dwukrotnie, a gdy po raz wtóry spotkała się z odmową, oznajmiła na piśmie, że nie cofnie się przed niczym, byle tylko zyskać prawo własności Fairhaven. Pamiętam, że po przeczytaniu jej listu lord śmiał się do rozpuku powtarzał, że ta dzierlatka ma w sobie więcej energii i od - - Wilgi niż wszyscy Mostynowie razem wzięci. Mimo wszystko uznał takie zachowanie za niewłaściwe, bo nie wypada, żeby młoda dama zajmowała się interesami, choćby nawet korzystała z pomocy adwokata. Pełnomocnikiem lady Allerton był ten sam prawnik, który dawniej w imieniu jej zmarłego męża występował o wszelkie górnicze koncesje.

Justyn poruszył się niespokojnie, a Markus zmrużył oczy (popatrzył na Gowera.

Wcale mnie to nie dziwi. Skoro lord Frank był zadowolony z usług tamtego prawnika, na miejscu spadkobierczyni także bym go zatrudnił. Ten człowiek znał stan jej finansów i dlatego okazał się niezwykle pomocny. To, że został przez nią zatrudniony, wcale nie oznacza, jakoby była poważnie zainteresowana... - Markus umilkł, widząc ponurą minę prawnika.

- Racja, milordzie - odparł smętnie Gower. - Kiedy jednak lady Allerton na chwilę wyszła z pokoju, jej prawnik wyznał szczerze lordowi, że jego mocodawczym zamierza urzeczywistnić plan zmarłego męża i przyłączyć Fairhaven do swoich posiadłości - oznajmił

przyciszonym głosem. - Jak panu wiadomo, ten prawnik nazywa się Gough. Kiedy wspomniał mi pan, że wyspa była stawką w grze, od razu nabrałem podejrzeń, a utwierdziłem się w nich, gdy wyszło na jaw, iż Gough jest zaangażowany w tę sprawę.

Markus westchnął przeciągle. Czuł na sobie współczujące spojrzenia Justyna i Gowera. Wzbierał w nim gniew. Okazało się, że przez Beth Allerton wyszedł na idiotę, a teraz zrobił z siebie jeszcze większego głupka, nie chcąc uwierzyć, że działała z niskich pobudek. Przypomniał sobie, ile zapachu było w jej głosie, kiedy wspominała zasłyszane w dzieciństwie rodzinne legendy i opowiadała o planach odzyskania rodowego dziedzictwa. Wyszło na jaw, że to jedynie zasłona dymna skrywająca przyziemne motywy działania. Dzięki ławym opowiastkom sprytna dama zyskała jego życzliwość i oczarowała go, posługując się nie tylko słowami, lecz także spojrzeniem szarych oczu, śliczną figurą i byстрыm rozumem.

- Coś jeszcze, Gower?

- Doszły mnie słuchy, że Christopher Mostyn zbiera fundusze, bo zamierza otworzyć nowe przedsiębiorstwo, ponoć bardzo zyskowne - odparł z namysłem prawnik. - Kiedy się o tym dowiedziałem, uznałem, że muszę poinformować waszą lordowską mość o swoich podejrzaniach. Wiem, że lady Allerton w zamian za udział w zyskach upoważniła kuzyna do korzystania z jej zasobów odziedziczonych po zmarłym mężu.

- Być może sama była inicjatorką tego dochodowego przedsięwzięcia - dodał ponuro Markus. - Czy może chodzić o kopalnię złota na Fairhaven?

- Nie wiem, milordzie - odparł szczerze Gower - ale pańska hipoteza brzmi dość prawdopodobnie.

Zapadła cisza.

- Przykra sprawa - zaczął ostrożnie Justyn, kładąc dłoń na ramieniu kuzyna. - Przykro mi...

Markus strząsnął jego rękę i wstał.

- Nie trzeba. Gower, dzięki za przekazanie informacji. Jestem panu wielce zobowiązany. - Odwrócił się do Justyna. - Powinniśmy chyba złożyć wizytę. Jedziemy na Upper Grosvenor Street. Odbiorę papiery dotyczące Fairhaven i powiem tej podłej wiedźmie, co o niej myślę!

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Przepraszam, milady. - Do czerwonego salonu wszedł Carrick, kamerdyner Beth. Minę miał nietęgą. - Przyszedł lord Trevithick i prosi, a raczej domaga się, żeby pani zechciała go przyjąć. - Kamerdyner jeszcze bardziej spochmurniał. - Nie jest sam. Towarzyszy mu pan Justyn Trevithick. Muszę przyznać, że zastanawiałem się nawet, czy lord nie przesadził z alkoholem, tak natarczywie domagał się, żebym go natychmiast zaprowadził do pań.

Beth odłożyła książkę i ze zdziwieniem popatrzyła na Charlotte. Zegar wskazywał za dziesięć drugą. Trochę za wcześnie na pijaństwo w męskim towarzystwie. Poza tym Markus nie gustował w tego rodzaju rozrywkach.

- Nie sądzę, żeby lord był wstawiony - odparła stanowczo z właściwą sobie bezpośredniością. Jej uwaga została skwitowana karcącym spojrzeniem Charlotte, która najwyraźniej uznała, że dama nie powinna używać takich słów. - Przyjmę go, żeby dowiedzieć się, co jest powodem tak osobliwego zachowania. - Zwróciła się do kuzynki. - Czy mam zaprosić lorda Trevithicka do zielonego gabinetu? Nie chcę ci przeszkadzać. Wolałabym nie narażać cię na nieoczekiwane spotkanie z dwoma obcymi dżentelmenami. Charlotte wstała i drżącymi palcami wygładziła suknię.

- Dzięki za troskę, Beth, ale to żaden problem. Chętnie dotrzymam ci towarzystwa. Jeśli lord Trevithick rzeczywiście jest nietrzeźwy, powinnam z tobą zostać, żeby udaremnić naganne zachowanie, częste w tym oplakany stanie... Nim skończyła zdanie, drzwi otworzyły się szeroko i do salonu wpadł Markus. Justyn deptał mu po piętach. Zwykle pogodny, dziś sprawiał wrażenie zafrasowanego.

- Proszę mi wybaczyć, łaskawa pani - zaczął Markus, kłaniając się Charlotte. - Nie chciałybym zakłócać spokoju, ale muszę rozmówić się z lady Allerton. Sprawa jest pilna, a wasz kamerdyner zniknął na dobre. Gdybym nie wziął sprawy w swoje ręce, mógłbym zapuścić korzenie w oczekiwaniu na jego powrót. - Popatrzył na Beth, która zdumiała się, widząc jego minę. Oczy błyszczały mu gniewnie, usta były zaciśnięte. Nie do wiary! Oddany wielbiciel, który przedwczoraj prawił jej komplementy, zmienił się w bezwzględego złoźnika.

Gdy przyglądała mu się bez słowa, dodał z wyszukaną uprzejmością:

- Rad jestem, że zastaję panią w domu. Już drżałem, że znajduje się pani w połowie drogi do Devon, żeby wziąć w posiadanie nieuczciwie zyskane dobra. Zechce pani rozmówić

się ze mną na osobności czy też będziemy wieść zażarty spór w obecności pani kuzynki oraz służby? Mnie to nie sprawi różnicy, ale pani Cavendish zapewne będzie zdegustowana.

Beth wyprostowała się dumnie, zdziwiona osobliwą uwagą o nieuczciwie zdobytej posiadłości. Dziś rano otrzymała przecież od Markusa komplet dokumentów potwierdzających darowiznę wraz z uroczym i przyjaznym listem. Przez moment zastanawiała się, czy jej gość rzeczywiście jest pijany, jak twierdził Carrick, ale wystarczyło jedno spojrzenie, aby odrzuciła to przypuszczenie. Lord Trevithick sprawiał wrażenie zupełnie trzeźwego. Żadnych oznak upojenia alkoholowego. Przyszedł tu wściekły, co stanowiło poważny powód do niepokoju.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi, milordzie - odparła cichym głosem. - Nie zamierzam również wysłuchiwać pochopnych oskarżeń. Jest pan albo pijany, albo szalony, skoro przemawia pan do mnie w ten sposób. Proszę wyjść i wrócić tutaj, gdy pan się uspokoi. Justyn chwycił Markusa za ramię.

- Lady Allerton ma rację, stary. Ochłoniesz trochę i porozmawiacie spokojnie. Zdrowy rozsądek to lepszy doradca niż gniew. Zostawmy to na razie...

Markus nie zwracał na niego uwagi. Podeszedł do Beth i stanął przed nią na wyciągnięcie ręki. Widziała dokładnie jego twarz wyrażającą niechęć i złość.

- I cóż, milady? - zapytał, jakby rzucał jej wyzwanie. - Co pani wybiera? Rozmowę na osobności czy kłótnię przy świadkach?

Charlotte głośno wciągnęła powietrze, jakby chciała zaprotestować, a Justyn Trevithick stanął u jej boku.

- Proszę o wybaczenie. - Beth usłyszała jego przyciszony głos. - Wtargnęliśmy tu bez zaproszenia. Wiem, że to niewybaczalne, ale kiedy Markus coś wbije sobie do głowy, nie sposób mu przemówić do rozumu. Typowy Trevithick: gwałtowny, porywczy i łatwo wpadający w złość. Poprzedni lord też był z tego znany.

Beth wodziła spojrzeniem od wykrzywionej gniewem twarzy Markusa do zatroskanej kuzynki. Odetchnęła głęboko, żeby dać mu należną odprawę, ale Charlotte ubiegła ją i odezwała się pierwsza.

- Beth, kochanie. Rozumiem, że lord Markus ma z tobą coś ważnego do omówienia. Zaprosz go do gabinetu, a pan Justyn dotrzyma mi towarzysztwa. Carrick, każ podać herbatę.

Charlotte kilkoma rzeczowymi sugestiami uzdrowiła sytuację, która nabrała pozorów normalności. Rysy Markusa złagodniały. Podeszedł do drzwi, otworzył je i z wyszukaną uprzejmością przytrzymał, gestem zachęcając Beth, żeby poszła przodem. Carrick z niezmaconym spokojem oddalił się, żeby przekazać służbie dyspozycje dotyczące herbaty i

przekąsek. Beth zerknęła na Justyna, który ujął dłoń Charlotte, zapewne chcąc się jej oficjalnie przedstawić. Drzwi zamknęły się za wychodzącymi. Beth szła w głąb korytarza sama na sam z Markusem.

- Proszę tedy, milordzie - powiedziała słabym głosem, wskazując gabinet. - Jestem pewna, że dowiem się, o co chodzi, i wspólnie rozwiążemy problem.

Okna gabinetu wychodziły na południe. W kominku płonął ogień. Z samego rana Beth przyniosła tu papiery dotyczące Fairhaven i zostawiła je na biurku. Zamierzała po południu dokładnie przestudiować wszystkie dokumenty, ale najpierw chciała spotkać się z Markusem i porozmawiać o darowiznie. Teraz miała po temu sposobność, ale okoliczności nie sprzyjały rzeczowej dyskusji.

Zorientowała się, że Markus z ponurą miną spogląda na dokumenty, jakby chciał je zabrać i po prostu wyjść. Przez moment wyobrażała sobie absurdalną scenę: dwoje oponentów trzyma plik papierów, starając się je wyrwać drugiemu tak długo, aż żalodne strzępy dokumentów spadają na podłogę.

Ale dlaczego? Beth nadal nie miała pojęcia, co było powodem awantury wywołanej przez Markusa. - Lady Allerton, zjawiłem się tutaj, żeby prosić o zwrot papierów dotyczących Fairhaven - powiedział z jawną niechęcią. - Okazało się, że wyłudziła je pani pod fałszywym pretekstem, a więc naszą umowę w jej obecnym kształcie należy uznać za niebyłą. Gra w kości, darowizna... - Przez chwilę ponuro spoglądał jej w oczy. Poczuli się nieswojo. Wszystko to jest nieważne. Nie zamierzam w przyszłości widywać się z panią ani rozważać prawa własności Fairhaven.

Beth osunęła się na najbliższe krzesło. Podniosła wzrok i spojrzała w ciemne oczy.

- Nie rozumiem, milordzie. Dziś rano podarował mi pan wyspę z własnej i nieprzymuszonej woli...

- Popełniłem błąd - przerwał Markus, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. - Zamierzam anulować darowiznę.

Oburzona Beth spłonęła rumieńcem.

- Nie może pan tego zrobić! Proszę mi podać chociaż jeden powód! Nie ma żadnego! Co z pana za człowiek? Gdzie pańskie poczucie honoru? Najpierw odmówił pan uznania mojej wygranej, a teraz chce pan unieważnić darowiznę.

Markus podszedł do krzesła i pochylił się nad nią. Ich twarze niemal się dotykały.

- Skoro mowa o honorze, zadaję sobie pytanie, jak kłamczucha i oszustka pani pokroju śmie dyskutować o takich prawach. - Odwrócił się i odszedł w głąb pokoju. Gwałtowne ruchy świadczyły o tłumionej wściekłości. Beth wzdrygnęła się, patrząc na niego. - Dowiedziałem

się, że ma pani zamiar czerpać zyski z eksploatacji zasobów wyspy. Proszę mi więcej nie mydlić oczu, twierdząc, że chodzi pani o utracone rodowe dziedzictwo. I pomyśleć' tylko, że uwierzyłem bez zastrzeżeń w tę bajeczkę... - Przystanął i przegarnął palcami ciemne włosy. - Raz jeden dałem się nabrać jak ostatni głupiec, ale więcej nie powtórzę tego błędu.

Beth zerwała się na równe nogi. Zdumiona i zbita z tropu, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

- Zapewniam, milordzie, że nie mam pojęcia... Markus odwrócił się, podszedł bliżej i chwycił ją za nadgarstek.

- Czyżby? Zaprzeczy pani, jeśli powiem, że lord Frank, Allerton chciał kupić Fairhaven, bo zamierzał wydobywać tam złoto? Czy nie jest prawdą, że pani w tym samym celu pragnęła kupić wyspę od mojego dziadka? Nic pani nie wiadomo o tym, że Kit Mostyn szuka wspólników gotowych zainwestować w to przedsięwzięcie, bo nareszcie udało się pani wyłudzić ode mnie wyspę?

- Zaprzeczam! To kłamstwo! - Beth wyrwała rękę z jego uścisku. - Nie miałam pojęcia, jakie interesy robił Frank. Finanse Kita też mnie nie obchodzą. Powiedziałam panu szczerze, dlaczego chcę mieć Fairhaven. W rozmowie z pańskim dziadkiem - Beth starała się powstrzymać szloch - użyłam tych samych argumentów.

Popatrzyła mu w oczy i wyczytała z nich niedowierzanie. Traciła czas, próbując go przekonać.

- Widzę, że pan mi nie ufa - dodała cicho. Markus ruszył w stronę biurka.

- Zabieram dokumenty.

Zanim sięgnął po nie, skoczyła naprzód i mocno oparła się plecami o blat biurka, zagradzając mu drogę. Dłonie zacisnęła na rzeźbionym blacie. Przez moment obserwował ją zaskoczony, a potem kpiąco unióśł brwi.

Tak bardzo pani zależy na tej wyspie? Doskonale pamiętam, co było stawką w naszej grze. Wygląda na to, że jest pani gotowa na wszystko, byle postawić na swoim i zatrzymać wygraną. - Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, które ogarnęło całą postać: od starannie ułożonych ciemnych loków po czubki pantofelków wystających spod bladoniebieskiej muślinowej sukni. Miała wrażenie, że rozbiera ją wzrokiem. Podszedł tak blisko, że znalazła się w pułapce: z tyłu biurko, z przodu on. Czowała rzeźbioną krawędź blatu wrzynającą się w uda, ale gdy Markus zbliżał się jeszcze bardziej, przestała zwracać na to uwagę. Przez muślin sukni poczuła jego napięte mięśnie. Odetchnęła spazmatycznie.

- Milordzie, niech się pan odsunie. Proszę mnie przepuścić. Markus uśmiechnął się ironicznie. Jego gniew nagle stopniał. Smągła twarz przybrała wyraz przewrotnego

rozbawienia, które znacznie bardziej od niedawnej złości przeraziło Beth. Daremnie próbowała się odsunąć; utknęła na dobre między meblem a mężczyzną. Usiłowała wysunąć się bokiem, ale Markus unieruchomił ją bez trudu, opierając ręce na blacie. Kiedy odchyliła się do tyłu, żeby trochę zwiększyć odległość między nimi, popatrzył na jej dekolci i długo nie odrywał od niego wzroku. - Milordzie! - Głos Beth przeszedł w nerwowy pisk. - Jak pan śmie!

Markus pochylił się jeszcze bardziej. Poczula jego oddech na rozgrzanej skórze. Uniósł rękę i przesunął palcem po policzku, a potem po szyi i dekolcie. Oczy pociemniały mu z pożądania.

- W razie przegranej jak byś postąpiła, kochanie? Dotrzymałabyś słowa?

- Nie - zaprzeczyła zdławionym głosem, czując, że jego palec zatrzymał się u nasady szyi, gdzie najmocniej bije puls.

- Cała się rumienisz - powiedział zmysłowym szeptem. - Jesteś tak samo rozpalona jak tamtej nocy podczas balu kurtyzan. Nie ufam pani, lady Allerton. Myślę, że naprawdę jest pani tak zepsuta, jak mi się wtedy zdawało.

Nim ogarnięta wściekłością Beth zdążyła wyrazić oburzenie, pocałował ją zachłannie i namiętnie. Ani śladu łagodnej czułości, której zakosztowała w czasie pamiętnej maskarady. Gdy zmusił ją, żeby rozchyliła wargi i wsunął między nie język, doznała zawrotu głowy. Położyła dłonie na ramionach Markusa i mocno zacisnęła palce, żeby nie upaść. Chciała odepchnąć natręta, lecz pod jego ciężarem straciła równowagę i opadła na biurko. Leżała na plecach wśród rozrzuconych dokumentów, piór i kałamarzy. Zmięta suknia zsunęła się z ramion, szpilki podtrzymujące loki powypadały, a długi: pukle utworzyły wokół głowy ciemną aureolę. Beth nie mogła ani krzyknąć, ani się wyrwać, bo Markus, nie przerywając pocałunku całym swoim ciężarem przycisnął ją do blatu.

Opamiętał się dopiero, gdy z korytarza dobiegł hałas. Niechętnie uwolnił ją z objęć.

Beth próbowała się podnieść i stanąć znowu na własnych nogach. Nagle zdała sobie sprawę, że coś ją uwiera w plecy, szeroko rozrzucone ramiona giną wśród papierów, a suknię ma zsuniętą niemal do talii. Wiła się desperacko, próbując wstać. Markus cofnął się i wyciągnął ręce, jakby chciał jej pomóc. Skrzywiła się wystraszona i sama się podniosła.

- Proszę mnie nie dotykać! - zawołała, przerażona własnym zachowaniem i jego śmiałością. Nie była w stanie wybaczyć mu tej chwili zapomnienia. Odsunął się w końcu. Poczula, że wreszcie ma nad nim przewagę. Wymownym gestem pokazała mu drzwi.

- Lordzie Trevithick, proszę stąd wyjść, i to natychmiast.

Drżącymi rękami pospiesznie upięła rozsypane loki i poprawiła suknię. Markus przegarnął włosy palcami i obciągnął ubranie. W oczach ich obojga nadal kryło się niezaspokojone pożądanie. Beth zapragnęła nagle rzucić się w objęcia Markusa. Chciała, żeby znów dobrze się rozumieli, ale nie pozwoliła uczuciom górować nad rozumem. Dumnie uniosła głowę i czekała, aż Markus się do niej odezwie.

- Beth... - zaczął, wyciągając rękę. Odwróciła się do niego bokiem i nie widzącym wzrokiem patrzyła w okno. - Beth, ogromnie mi przykro...

- Nie. - Oczy miała pełne łez. Nie wiedziała, czemu dręczą go wyrzuty sumienia: z powodu niedawnej napaści czy wcześniejszych podejrzeń. Mniejsza z tym. Najgorsze było to, że czuła łzy napływające do oczu. Lada chwila się rozplacze. - Nie chcę tego słuchać. Usłyszała kroki Markusa i odgłos otwieranych drzwi.

Nim wyszedł, uznała, że powinien poznać całą prawdę, żeby miał właściwy obraz sytuacji.

- Milordzie - zaczęła drżącym głosem. Nie była w stanie powstrzymać łez. Westchnęła głęboko i oznajmiła: - Lordzie Trevithick, wyruszam do Devon. Wyspa jest moja, więc postanowiłam niezwłocznie zaprowadzić tam swoje porządki.

Pełna wątpliwości, obserwowała Markusa, który popatrzył na nią z rozbawieniem. Kpiąco uniósł brwi i skłonił się z przesadną kurtuazją.

- Doskonale, milady, skoro pani wybiera się na Fairhaven, wkrótce się tam spotkamy. Zobaczymy, kto pierwszy zdoła ją dla siebie zagarnąć!

Wyszedł z gabinetu, nim Beth zdążyła odpowiedzieć.

Charlotte okazała się aniołem dobroci. Nie pytała, skąd na błękitnej sukni Beth wzięły się ciemne plamy z atramentu i dlaczego jej ciemne włosy, rano starannie ułożone *a la Greque*, teraz są w nieładzie. Powstrzymała się również od komentarzy, gdy kuzynka na kilka godzin zamknęła się w swoim pokoju, a wieczorem zeszła na kolację chorobliwie blada. Poglaskała Beth po rękę i oznajmiła, że w razie potrzeby chętnie wysłucha jej zwierzeń. Następnie udała się do kuchni, żeby omówić z kucharką menu.

Kit usiadł z nimi do stołu. Już miał spytać kuzynkę, dlaczego tak marnie wygląda, lecz dobrze wymierzony szturchaniec Charlotte zniechęcił go do zadawania takich pytań.

Beth czuła się znużona, jakby od tygodnia nie zmrużyła oka. Przede wszystkim jednak była wściekła na Markusa i nie mogła mu darować niesprawiedliwych pomówień. Oskarżył ją bez powodu i nie chciał słuchać tłumaczeń. Miała wrażenie, że ofiarował jej Fairhaven jedynie po to, żeby wkrótce podjąć starania o odzyskanie wyspy. Zachował się przy tym w

sposób niegodny dżentelmena. Na wspomnienie tego Beth spłonęła rumieńcem i starała się myśleć o czymś innym.

Po kolacji poszła do czerwonego salonu, gdzie Charlotte lubiła przesiadywać nad haftem. Tak było i tego wieczoru. Pochylona nad białym muślinem, starannie wyszywała skomplikowane wzory. Beth z pobłażliwym uśmiechem pomyślała o własnych robótkach. W tej dziedzinie nie była szczególnie utalentowana. Usiadła na kanapie, podwijając nogi i dziecinnym gestem przytuliła mocno poduszkę z czerwonego aksamitu.

- Charlotte, długo o tym myślałam - zaczęła. - Jutro opuszczam Londyn i jadę do Devon. Pora wrócić do domu. Wiem, że interesy zatrzymują Kita w Londynie, ale mam już dość rozrywek. Nudzą mnie przyjęcia i bale. Chcę wcześniej wrócić do domu, żeby mieć więcej czasu na przygotowania do świąt. Nasz pobyt w Londynie niczemu nie służy...

Beth poczuła na sobie badawcze spojrzenie niebieskich oczu kuzynki.

- Chcesz wyjechać, bo masz nadzieję, że w ten sposób unikniesz kolejnego spotkania z lordem Trevithickiem - powiedziała spokojnie Charlotte, odcinając nitkę. - Nie wiem, co was poróżniło. Justyn Trevithick jest zbyt dobrze wychowany, żeby mówić o tym wprost, zwłaszcza w mojej obecności. Skoro postanowiłaś uciec przed kłopotami, twoja sprawa.

- Popatrzyła surowo na kuzynkę. - Pamiętaj jednak, że ucieczka to nie jest wyjście z trudnej sytuacji. I Beth mocniej przycisnęła do siebie miękką czerwoną poduszkę.

- Owszem. Przyznaję, że masz rację, ale rozmowy z lordem Trevithickiem do niczego nie prowadzą, bo on jest głuchy na moje tłumaczenia. Szczerze mówiąc, w ogóle nie dopuszcza mnie do głosu. To okropne! Po raz pierwszy mam do czynienia z człowiekiem tak bezczelnym i zadufanym w sobie.

- Niemożliwe! Jego kuzyn jest wyjątkowo uprzejmy - odparła Charlotte, uśmiechając się lekko. - Pan Trevithick to prawdziwy dżentelmen.

Charlotte mówiła takim tonem, że Beth nagle zapomniała o swoich problemach i z ciekawością popatrzyła na kuzynkę.

- Wpadł ci w oko?

- Ależ skąd! - protestowała z godnością zarumieniona Charlotte. Pochyliła głowę nad tamborkiem. - Mniejsza z tym. Rozmawiamy teraz o twoich problemach, Beth, więc odłóżmy na bok moje sprawy.

Nie uszły uwagi Beth ciemne rumieńce na policzkach kuzynki.

- Wolałabym dyskutować o zaletach szarmanckiego pana Trevithicka niż o wadach jego kuzyna.

- Ach, tak. - Zawsze opanowana Charlotte wydawała się, zmieszana. - Wiem, że żartujesz ze mnie, moja droga.. Pan Trevithick jest czarujący, ale wątpię, żeby nadarzyła się nam sposobność do kolejnego spotkania. Zapewne więcej go nie zobaczę. Wspomniałaś o powrocie do Devon, ale co będzie celem podróży: Mostyn Hall czy Fairhaven?

Beth zmrużyła oczy. Przenikliwość kuzynki bywała czasami niepokojąca.

- Muszę przyznać, że zamierzałam najpierw odwiedzić wyspę. Lord Markus przysłał mi akt własności, a więc jest j moja. Chciał wprawdzie anulować darowiznę, ale nie zamierzam mu tego ułatwić.

Charlotte wyjęła motek nici z otwartego kuferka stojącego obok niej.

- Rozumiem. W takim razie co planujesz? Wziąć Fairhaven szturmem i w razie kontrataku bronić się do upadłego?

Beth, bądź realistką! To dziewiętnasty wiek, a nie czasy wojen domowych.

Beth wstała i podeszła do okna. Nie zamierzała się do tego, przyznać, ale ironiczne sugestie Charlotte trafiały jej do przekonania. Życie byłoby prostsze, gdyby dysponowała oddziałem żołnierzy i mogła zbrojnie stawić czoło wrogowi. Zapewne jej życie byłoby prostsze, gdyby przyszła na świat w innym stuleciu, ale i teraz nie zamierzała rezygnować z wyspy.

- Trzeba to wszystko inaczej urządzić - oznajmiła, nadržając miną. - Jestem pewna, że wyspa jest bez nadzoru. Kto chciałby mieszkać na takim odludziu? Nie wątpię, że tamtejsi wieśniacy będą radzi, gdy ktoś wreszcie zainteresuje się ich losem.

Zniecierpliwiona, odsunęła czerwoną aksamitną zasłonę i wyjrzała przez okno. Zrobiło się ciemno, więc latarnik wraz z pomocnikiem zapalał uliczne lampy, raz po raz podając do napełnienia pojemnik na olej. Chłopiec ostrożnie lał gęstą ciecz z dużego naczynia, w skupieniu przygryzając koniuszek języka. Beth obserwowała go z uśmiechem.

- Mam w ręku akt własności Fairhaven z własnoręcznym podpisem Trevithicka - dodała w zadumie. - To oficjalny dokument. Gdyby przyszło do procesu, lord miałby poważne trudności z jego unieważnieniem.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz iść z tym do sądu! - Charlotte była przerażona. - Myśl o kosztach. Poza tym wybuchłby skandal. Nie mówiłaś tego poważnie, prawda?

Beth odwróciła się w stronę jasnego wnętrza.

- Ależ skąd, Lottie. Nie posunę się do tego, ale jestem zdecydowana przejąć Fairhaven. - Złożyła dłonie i zacisnęła je mocno. - Boli mnie tylko niesprawiedliwość Trevithicka. Postąpił ze mną niegodnie. Jestem wściekła, że przez niego znalazłam się w nieprzyjemnym położeniu.

- To się dało zauważyć - skomentowała ironicznie Charlotte. - Posłuchaj mojej rady i przestań zaprzętać sobie tym głowę. Jeżeli naprawdę jesteś przekonana, że nie zdołasz porozumieć się z lordem, machnij na to ręką, wycofaj się z twarzą i wracajmy do Mostyn Hall.

Zapadła cisza, w której słychać było trzask ognia na kominku.

- Chcesz powiedzieć, że gdybym zdecydowała się odwiedzić Fairhaven, nie pojedziesz tam ze mną? - zapytała po chwili Beth. - Wiem, że nie podoba ci się...

- Masz rację, Beth! - przerwała Charlotte, spoglądając jej prosto w oczy. - Bardzo nie podoba mi się ten pomysł. Dlaczego musisz tam jechać?

- Dla zasady. - Beth wydawała się przygnębiona. - Nie mogę pozwolić, żeby Trevithick mnie pokonał!

- To nie jest powód. On i tak wygra. Jest lordem, ma w rękę wszystkie atuty, wyspa stanowi jego własność. To walka z wiatrakami!

- Zapewne, lecz postanowiłam spróbować. - Beth zacisnęła usta.

- Dlaczego? - Charlotte podniosła głowę, przyglądając się kuzynce. - Upór nie przystoi młodej damie.

Beth wybuchnęła śmiechem.

- Znam swoje wady: jestem uparta, impulsywna. Och, Lottie, od lat próbujesz mnie zmienić! Nie mam pojęcia, dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, bo prawdziwej damy i tak nigdy ze mnie nie zrobisz. - Nagle spowaźniała. - Jeśli nie chcesz ze mną jechać, zrozumieć. Dlaczego miałabyś zmienić swoje zasady tylko dlatego, że taka ze mnie niespokojna dusza?

Charlotte gwałtownie odłożyła tamborek i zerwała się na równe nogi.

- Też coś! Mam pozwolić, żebyś włączyła się sama jedna, robiąc kolejne głupstwa? Wykluczone! Idę się pakować. Uradowana Beth podbiegła i uściskała ją serdecznie.

- Dzięki, kochanie.

- Tylko nie myśl, że udzieliło mi się twoje wariactwo.

- Charlotte oddała uścisk. - Podróż zajmie nam co najmniej sześć dni, bo o tej porze roku...

- Moim zdaniem za trzy dni dotrzemy na miejsce, a pogoda wcale nie jest taka zła.

- Zajazdy będą podłe, morze wzburzone, a u kresu podróży trafimy do więzienia. Kochanie...

- Wszystko pójdzie jak z płatka - przerwała Beth, nadrabiając miną. Postanowiła zataić na razie przed kuzynką, że lord Trevithick również wybierał się na Fairhaven, więc następna konfrontacja jest nieunikniona. - Mam już plan działania. Najpierw dopilnuję, żeby Gough

oficjalnie zgłosił darowiznę. Wtedy nie będzie żadnych wątpliwości, do kogo należy wyspa. On wie, jak się do tego zabrać, i wszystkiego dopilnuje.

- Moim zdaniem jesteś zbyt optymistką. Nadal mam sporo wątpliwości, ale jednego możemy być pewne: Gough niewątpliwie stanie na wysokości zadania i od strony prawnej zadba o wszystkie szczegóły. - Charlotte trochę się rozchmurzyła. - Skoro musimy poczekać, aż dopełni formalności...

Beth pokręciła głową. Wiedziała, że Charlotte ma rację. Bezpieczniej byłoby wyruszyć w drogę po oficjalnym załatwieniu sprawy. Wiedziała, że Trevithick nie zaniedba żadnej sposobności, żeby jej utrudnić życie, a walka o przejęcie nowej posiadłości może trwać miesiącami. Przyznała w duchu, że potwierdzone prawo własności to dziewięćdziesiąt procent sukcesu, ale...

- To nie dla mnie, Lottie. Urzędy działają opieszale. Będziemy czekać wieki!

Charlotte westchnęła ciężko, godząc się z tym, co nieuniknione.

- No dobrze, ale w drodze spróbuję jeszcze przemówić ci do rozsądku. Może zmienisz decyzję.

- Wszystko zaplanowałam - odparła z uśmiechem Beth. - Kit może zatrzymać dom, póki nie zakończy w Londynie swoich interesów. Wyślę do Mostyn Hall list z prośbą o wyprawienie kilku służących na Fairhaven. Zaraz po przybyciu ogłosimy mieszkańcom nowinę, że wyspa zmieniła właściciela. Kiedy to nastąpi, zyskam te same prawa co oficjalny nabywca.

- Niezupełnie - odparła kpiąco Charlotte. - Kwestionowana darowizna to jednak co innego niż umowa kupna - - sprzedaży, ale widzę, że w tej kwestii trudno ci będzie przemówić do rozumu. Twój plan jest bardzo pokrętny i nic dobrego z niego nie wyniknie. Zapamiętaj sobie moje słowa.

Na pierwszy nocleg zatrzymały się w bardzo przyzwoitej gospodzie „Pod pałacem i piłką” w Marlborough, którą nawet wymagająca Charlotte uznała za całkiem przyjemne miejsce. Panie miały własny salonik z dala od głównej sali oraz cichą sypialnię, żeby mogły wypocząć od hałasów gościńca i stajni.

Charlotte radziła zatrzymać się w Newbury i upierała się, że nie ma powodu, żeby pędzić na złamanie karku aż do Marlborough, lecz uparta Beth zdecydowała, że pierwszego dnia powinny zajechać jak najdalej. I tak opóźniły wyjazd o dwa dni, bo przygotowania do podróży bardzo się przeciągnęły. Najpierw trzeba się było rozmówić z prawnikiem, który narzeka, że akt własności potwierdzający darowiznę z prawniczego punktu widzenia da się podważyć na wiele różnych sposobów. Następnie Beth musiała wyprawić posłańca do Mostyn Hall z poleceniami dla tamtejszego zarządcy, który zgodnie z jej zamierzeniem miał

wysłać grupę służących na Fairhaven. Wyobrażała sobie, jakie zdziwienie wzbudzi w domu Mostynów jej list. Po załatwieniu tych wszystkich spraw wzięła się do pakowania, które potrwało dwa razy dłużej, niż sądziła. Kiedy obie panie były już gotowe do podróży, Kit zaczął nagle zgłaszać poważne zastrzeżenia. Niewiele brakowało, by udaremnił im tę wyprawę. Doszło do kłótni. W końcu Beth usłyszała od niego, że jest uparta jak osioł, wręcz szalona, a Charlotte skarciła oboje, mówiąc śmiało, że są siebie warci. Podróż zaczęła się pechowo, co źle wróżyło na przyszłość.

Beth westchnęła. Zegar wybił siódmą. Panie wyruszyły o ósmej rano i jechały prawie dziewięć i pół godziny z króciutką przerwą na skromny posiłek i łyk ciepłego napoju w czasie, gdy zmieniano konie. Charlotte boczyła się, że Beth tak pędzi. Im dłużej jechały, tym bardziej czuły się znużone i rozdrażnione, ale kiedy stanęły w Marlborough, wystarczyło, że umyły się w gorącej wodzie i zmieniły ubrania, żeby nastrój im się poprawił. Zapowiedź smacznej kolacji także zrobiła swoje. Beth miała nadzieję, że po dobrze przespanej nocy nazajutrz będą w pełni sił. Charlotte zajrzała do sypialni.

- Schodzimy na kolację? Jesteś gotowa? Służąca mówi, że podano do stołu.

W korytarzu unosiła się miła woń pieczonej jagnięciny. Beth poczuła wilczy głód. Weszły do saloniku, gdzie obsługiwał im właściciel gospody. Stół był już nakryty, świece zapalone. Pokój wyglądał bardzo przytulnie. Beth bardzo się ucieszyła, bo Charlotte sprawiała wrażenie pogodnej i zadowolonej z warunków, w których przyszło im odpoczywać i spożywać posiłek. Miały wszystko, czego potrzeba zdrożonym damom.

Przez dziesięć minut jadły i piły w milczeniu. Charlotte z wdzięcznością przyjęła drugi kieliszek wina i dokładkę pieczeni. Uśmiechnęła się wreszcie do kuzynki.

- Dzięki Bogu! Znowu czuję się jak istota ludzka. Ten zajazd jest naprawdę przyzwoity. Bardzo przyjemne miejsce. Obawiałam się, że potraktują nas lekceważąco, bo podróżujemy same, bez mężczyzn, którzy mogliby załatwić wszystko w naszym imieniu.

Beth wierciła się na krześle. Podobnie jak kuzynka miała świadomość, że ich przybycie wywołało sporą ciekawość, bo w podróży towarzyszyła im tylko służba. Zdawała sobie sprawę, że Charlotte czuje się dość niezręcznie i wolałaby podróżować z Kitem. Podczas wspólnych wypraw to on rozmawiał o pokojach, posiłkach i rachunkach. Beth nie czuła się kobietą - powojem, która zdaje się we wszystkim na panów sprawujących nad nią opiekę, ale nie była doświadczoną podróżniczką, więc musiała improwizować. Na szczęście gospoda, w której stanęły na nocleg, cieszyła się dobrą sławą, a poza tym arystokratyczny tytuł lady Allerton i jej widoczne bogactwo stanowiły dodatkowe ułatwienie. Obie panie traktowano z należnym respektem. Beth nie przewidywała żadnych kłopotów.

Służba zabrała naczynia i podała deser. Beth zastanawiała się, czy poprosić o drugi kieliszek wina, ale z żalem doszła do wniosku, że lepiej tego nie robić, bo zaśnie przy stole. Charlotte ziewnęła uroczo.

- Możemy jutro wyjechać trochę później? - spytała błagalnie. - Po dzisiejszej podróży ledwie żyję, choć powóz jest bardzo wygodny. Mogłybyśmy przenocować w Trowbridge albo Frome. Nie ma powodu, żebyśmy pędziły jak szalone.

Beth w milczeniu bawiła się widelczykiem do ciasta. Charlotte nie wiedziała jeszcze, że lord Trevithick także wybiera się na Fairhaven i zamierza dotrzeć tam pierwszy. Beth postawiła sobie za główny cel nie dać się wyprzedzić. Przed wyjazdem z Londynu upewniła się, że Trevithick nadal bawi w stolicy. Poprzedniego wieczoru Kit spotkał go na balu. Zadawała sobie pytanie, czy lord rzeczywiście planuje wyjazd i odwiedziny na wyspie. Do tej pory w ogóle się nią nie zajmował, a obecne zainteresowanie wynikało głównie z przekory. Nie chciał, żeby Beth postawiła na swoim. Doszła do wniosku, że oponent mnoży przeszkody, bo gdyby przegrał z kobietą, ucierpiałaby na tym męska duma. Może jednak sprawa jest na tyle błaha, że nie będzie mu się chciało pędzić za konkurentką. Czas pokaże. Na razie Beth zdana była na domysły.

Sięgnęła po naczynie z bitą śmietaną i nałożyła trochę na ostatni kęs ciasta.

- Chciałabym jutro stanąć w Bridgwater, więc...

- Jak to? - Nienagannie uprzejma Charlotte rzadko przerywała rozmówcom, ale tym razem była tak wytrącona z równowagi, że zapomniała o dobrych manierach. Z niedowierzaniem wpatrywała się w kuzynkę. - Zamierzasz przejechać ponad sto dwadzieścia kilometrów? Na miłość boską, po co ten pośpiech?

Beth westchnęła głęboko.

- Chcę po prostu jak najszybciej dotrzeć na Fairhaven. Podczas naszej ostatniej rozmowy lord Trevithick zapowiedział, że również się tam wybiera, a zatem...

- Trevithick chce odwiedzić Fairhaven? - przerwała znowu Charlotte. Przestała jeść i wolno odłożyła widelczyk. - Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Beth machinalnie przesuwiała na talerzyku kawałek ciasta.

- Nie chciałam cię martwić. Wygląda na to, że zamiast spokojnie podróżować, uczestniczymy w szalonym wyścigu. Wołałam nie pogarszać sytuacji.

- Rozumiem, ale obecność Trevithicka na Fairhaven znacznie upraszcza sprawę.

Beth nieufnie zerknęła na kuzynkę. Przez moment podejrzewała, że wino uderzyło jej do głowy, ale trudno uznać różowe policzki oraz błyszczące oczy za objaw upojenia alkoholowego. Charlotte sprawiała wrażenie zupełnie trzeźwej.

- Co ty wygadujesz, Lottie? Dlaczego uważasz, że byłoby dla nas dobrze, gdybyśmy się wszyscy spotkali na wyspie? Jestem innego zdania. Po dziesięciu minutach dojdzie do kolejnej awantury.

- Jeśli lord tam będzie albo zjawi się razem z tobą, nasz przyjazd nie zostanie odebrany jak bezprawne wtargnięcie na cudze terytorium. Można powiedzieć, że złożymy kurtuazyjną . wizytę. - Charlotte wróciła do jedzenia.

- Też coś! Jak ty to sobie wyobrażasz? Moim zdaniem obecność Trevithicka jedynie pogorszy sprawę.

- Ależ nie! Jeśli usiądziemy przy jednym stole i spokojnie omówimy wszystkie aspekty tej sprawy, wkrótce dojdziemy do rozsądnych wniosków.

Beth wpatrywała się w kuzynkę z niedowierzaniem. Ciekawe, która z nich jest bardziej szalona.

- Lottie, sama widziałas, jak zachowywał się lord, kiedy przyszedł do naszego domu w Londynie. Naprawdę sądzisz, że potrafi spokojnie dyskutować?

Zafrasowana Charlotte zmarszczyła brwi.

- Zauważyłam, że był wtedy mocno poruszony. Zapewne z natury jest porywczy, ale w normalnych okolicznościach niewątpliwie panuje nad sobą.

Beth skwitowała te słowa, robiąc kwaśną minę. Według niej cała ta sytuacja była daleka od normalności, a Charlotte niepotrzebnie łudziła się, że dzięki rzeczowej i spokojnej rozmowie można ją uporządkować. Zważywszy na okoliczności, byłoby co najmniej dziwne, gdyby lord szukał teraz porozumienia. Gdyby nawet do tego doszło, traktowałyby go dość podejrzliwie. W głębi ducha miała nadzieję, że nie będzie mu się chciało opuszczać stolicy i przy marnej pogodzie gnać do Devon, podczas gdy w Londynie bawiono się na całego. Nastąpiła pełnia jesiennego sezonu, a nadchodzące Boże Narodzenie absorbowало uwagę i mogło zniechęcić lorda do uciążliwych podróży.

Nim Beth wyłożyła kuzynce swoje racje, z dziedzińca dobiegł turkot kół, a za oknami salonu mignęły w ciemności mocne latarnie.

- Stajenny! - rozległ się niski męski głos. - Do mnie! Beth wstała od stołu, podeszła do okna i wyjrzała przez okno z niewielkimi szybkami. Na zewnętrznym dziedzińcu stał wspaniały powóz pomalowany na kolor granatowy oraz ciemnozielony, zaprzężony w cztery dorodne konie. Zerknęła na powożącego, który rzucił lejce pasażerowi i zeskoczył . na ziemię. Poczuli nagle, że coś ją ściska w żołądku, jakby była głodna, choć przed chwilą zjadła obfity posiłek.

Odwróciła się do Charlotte, która zaczęła się już niepokoić.

- Wkrótce sama będziesz mogła ocenić, ile zdrowego rozsądku ma lord Trevithick - powiedziała z pozornym spokojem. - Wygląda na to, że już tu jest.

W trosce o dobrą reputację Charlotte poleciła kuzynce odejść od okna i starannie zaciągnęła zasłony. Wezwała służbę, kazała sprzątnąć naczynie i podać herbatę. Z filiżankami w rękach zasiadły obie w wygodnych fotelach ustawionych przed kominkiem i spoglądały na siebie, daremnie próbując ukryć zdenerwowanie. Były świadome, że dobre wychowanie nakazuje powitać znajomych, ale żadna nie kwapiła się tego uczynić.

Przyjazd nowych gości wywołał w gospodzie spore zamieszanie. Beth słyszała donośny głos Markusa gawędzącego z parobkami i stajennymi, którzy zachwycali się jego końmi. Błyskały latarnie, trzaskały drzwi. Beth stwierdziła złośliwie, że lord jak zwykle robi wokół siebie mnóstwo zamieszania. Wolno piła herbatę, zastanawiając się, jak zdołał w jeden dzień dojechać do Marlborough, skoro w czasie podróży nie zmienił swojej czwórki na konie pocztowe. Wkrótce uznała jednak, że nie chce tego wiedzieć. Nie miała też ochoty z nim rozmawiać. Najchętniej zataiłaby, że zatrzymała się w tym zajeździe. Nie chciała kolejnej kłótni, a zapał do walki całkiem ją opuścił.

Z korytarza dobiegł głos Justyna Trevithicka, zamawiającego pokoje i kolację dla dwóch podróżnych. Charlotte, która właśnie dolewała kuzynce herbaty, także go usłyszała, i od razu się zarumieniła. Potem rozległo się skrzypienie drzwi prowadzących do głównej sali. Buchnął stamtąd gwar i tubalny śmiech. Beth uznała, że są uratowane, a przybysze nie będą ich niepokoić, bo idą do baru na coś mocniejszego. W chwilę później niemiło się rozczarowała.

- Stajenny wspomniął, że oprócz nas zatrzymali się tu dzisiaj inni podróżni. - Beth znowu usłyszała Markusa, który szedł korytarzem. Słowa brzmiały dość wyraźnie, bo służąca wychodząc, zostawiła uchylone drzwi. Beth na wszelki wypadek podbiegła o nich i przyłożyła ucho do szpary.

- Tak, milordzie - odparł właściciel zajazdu, przekrzykując hałas dochodzący z głównej sali. - Stanęły u nas na nocleg dwie wytworne damy.

- Beth! - rzuciła półgłosem oburzona Charlotte, która przykładowie siedziała w fotelu. - Co ty wyprawiasz?

- Cicho! - Beth położyła palec na ustach. - Podsluchuję.

- Prawdziwe damy czy... takie farbowane, które tylko się pod nie podszywają? - W głosie Markusa słyszała drwinę. Właściciel najwyraźniej poczuł się urażony takim tonem, bo odparł, nie kryjąc oburzenia:

- Za pozwoleniem, milordzie! U mnie nie znajdzie pan żadnej wywłoki. Gospoda jest porządna. Tamte panie to prawdziwe arystokratki, żadne farbowane lisy!

- Przepraszam - zreflektował się Markus. Beth usłyszała szelest. Właściciel gospody podziękował wylewnie, a Markus dodał: - Rzecz w tym, że nasze znajome także wyruszyły dziś w podróż, ale trochę nas wyprzedziły. Próbujemy je dogonić. W ciągu dnia zatrzymaliśmy się w zajeździe, gdzie one wcześniej były, więc mamy szansę wkrótce je spotkać. - Szelest rozległ się ponownie. - Dwie śliczne młode damy. Młodsza jest przepiękna: ciemnowłosa ze srebrzystoszarymi oczami...

Beth zrobiło się ciepło na sercu, ale sama przed sobą udawała oburzenie jego swobodnym tonem. Jak śmiał tak rozmawiać o niej z obcym mężczyzną! Z drugiej strony jednak zarumieniła się, słuchając z ukrycia miłych komplementów. Nie była całkiem odporna na pochlebstwa. Właściciel zajazdu najwyraźniej rozpoznał ją w tamtym wizerunku. Chrząknął znacząco i oznajmił nader skwapliwie:

- Tak, milordzie. Myślę, że damy, o których pan mówi, goszczą tutaj. Jedna z nich to prawdziwa piękność.

Beth westchnęła cicho. W żadnym z zajazdów, w których się dziś zatrzymywały, nie było potrzeby zachowywania incognito, ale powinna była przewidzieć, że właściciele i służba, zachęteni napiwkami, ochnoczo udzielą wszelkich informacji na temat gości. Tutejszy gospodarz paplał jak najęty, chcąc zadowolić hojnego ofiarodawcę.

- Panie są teraz w saloniku. Tam je pan znajdzie. Ośmielę się zauważyć, że wkrótce udadzą się na spoczynek. Są już po kolacji, a cały dzień podróżowały.

- Rozumiem - odparł Markus. Beth poznała po krokach, że zbliża się do drzwi saloniku. - Sądzę jednak, że gdy dowiedzą się o naszym przyjeździe, chętnie spędzą z nami wieczór przy kominku.

Beth odskoczyła od drzwi jak oparzona. Charlotte obrzuciła ją karcącym spojrzeniem.

- Co się dzieje? - szepnęła.

Beth przymknęła oczy i natychmiast otworzyła je szeroko.

- Lottie, wracajmy do naszych pokoi, bo oni zaraz tu przyjdą!

Zza drzwi dobiegł odgłos kroków i głos Justyna.

- Markusie, chodź na chwilę do stajni. Stephens mówi, że ma problem z naszymi końmi.

Gdy panowie wyszli na dziedziniec, przez uchylone drzwi do salonu wpadło zimne powietrze. Podeszwy męskich butów głośno stuknęły o kamienie brukowanego dziedzińca. Beth chwyciła Charlotte za rękę, pomogła jej wstać i natychmiast pociągnęła za sobą.

Błyskawicznie przecięły korytarz i wbiegły schodami na górę. Gdy znalazły się w pokoju Beth, zdyszana i oburzona Charlotte opadła na wielkie łożo z baldachimem i kolumnkami. Beth zamknęła za sobą drzwi i ciężko dysząc, oparła się o nie plecami.

- Kochanie, co to ma znaczyć? Nie możesz przywitać się, jak nakazuje dobre wychowanie? - wykrztusiła z trudem Charlotte.

Beth nie była pewna, co jej na to odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że teraz czuje się zbyt wyczerpana, aby stawić czoło Markusowi. Wołała z tym poczekać do jutrzejszego ranka. Wtedy będzie silniejsza i lepiej przygotowana. Teraz nie miała pojęcia, co mu powiedzieć i jak zakończyć dzielący ich spór. Jednego była pewna: nie wróci do domu jak potulna owieczka tylko dlatego, że ją dogonił.

Ktoś zapukał do drzwi. Beth miała gardło ściśnięte ze strachu. Kuzynki spojrzały na siebie.

- Śmiało! Otwórz - powiedziała trochę zniecierpliwiona Charlotte. - Nie sądzę, żeby lord Trevithick przy całej jego nonszalancji odważył się nachodzić damę w jej sypialni.

Beth miała wrażenie, że właśnie taki postępek byłby w jego stylu, lecz darowała sobie tę uwagę. Podeszła do drzwi i uchyliła je lekko. Odetchnęła z ulgą na widok stojącej w korytarzu pokojówki, która dygnęła uprzejmie. W rękach miała tacę, a na niej dwa kubki z parującą zawartością. Zaproszona do środka weszła i umieściła je na stoliku przy oknie.

- Pozdrowienia i poczęstunek od jego lordowskiej mości, który ma nadzieję, że zechcą panie skosztować przed nocą tego napitku łagodzącego wszelkie dolegliwości drożonych podróży.

Beth podejrzliwie spoglądała na kubki pachnące przyjemnie grzany winem i korzennymi przyprawami. Charlotte podeszła bliżej i zerknęła na nie ponad ramieniem kuzynki.

- Doskonały pomysł! Podziękuj jego lordowskiej mości w naszym imieniu, moja droga.

Służąca znowu dygnęła i wyszła. Charlotte wzięła kubek, upiła łyk i westchnęła.

- Och, jakie to pyszne! Beth, musisz spróbować.

Rzeczywiście napój był ciepły i łagodny w smaku. Usuwał zmęczenie, dodawał sił po długiej podróży. Pokojówka mówiła prawdę. Beth uznała, że była wobec Markusa nadmiernie podejrzliwa. Wypiła grzane wino do ostatniej kropli.

- O Boże! Jestem straszliwie zmęczona. Idę spać - Charlotte ziewnęła szeroko i pocałowała Beth w policzek. - Nie zapomnij starannie zaryglować drzwi. Gdyby coś się działo, pamiętaj, że jestem w sąsiednim pokoju. Jutro znajdziesz sposób, żeby porozumieć się

z lordem Markusem. Dobranoc. Beth zamknęła za nią drzwi i zasunęła rygiel. Przez moment zastanawiała się, czy wezwać pokojówkę, lecz po namyśle postanowiła sama się rozebrać. Byle jak włożyła nocną koszulę, z trudem wdrapała się na wielkie łóżko, zdmuchnęła świecę i natychmiast zasnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy Beth się obudziła, było jej ciepło i wygodnie. Promienie słońca wpadały przez okna, rzucając na ściany ruchome cienie. Wczoraj zasnęła, nim przyłożyła głowę do poduszki. Nie zaciągnęła ciężkich zasłon łóżka, ponieważ była okropnie zmęczona. Nic dziwnego, skoro przez cały dzień podróżowała bez wytchnienia. Teraz czuła się cudownie wypoczęta. Mała dość sił, żeby stanąć oko w oko z Markusem Trevithickiem. Spuściła stopy na podłogę i zadzwoniła na służbę. Potrzebowała gorącej wody.

Gdy wezwana pokojówka wyszła z sypialni, Beth usłyszała, że zegar w saloniku na dole bije dwunastą. Znieruchomiała, trzymając w ręku szczotkę do włosów, uważnie wsłuchując się w uderzenia zegara umieszczonego na wieży kościelnej. I tym razem było ich dwanaście. Rzuciła szczotkę i podbiegła do okna.

Okno wychodziło na niewielki warzywnik z równymi grządkami. Po ścieżkach chodziły kury rozgrzebujące piasek. Jasne słońce stało już wysoko na niebie, a późnojesienne promienie mocno grzały przez szyby. Beth upewniła się ostatecznie, że przespala piętnaście godzin.

Zmarszczyła brwi. Śniadanie planowała na pół do ósmej, a punkt ósma zamierzała ruszyć w drogę. Jeżeli mają dotrzeć do Bridgwater... Niemożliwe! Nawet Glastonbury było teraz poza ich zasięgiem. Powinny się cieszyć, jeśli uda im się przejechać pięćdziesiąt kilometrów. W tym czasie Markus będzie już w połowie drogi do Devon. Wyruszył pewnie z samego rana.

Zerknęła podejrzliwie na pusty kubek po grzonym winie.

Czyżby dosypał do niego środków nasennych? Powąchała resztkę napoju, ale poczuła jedynie słodką woń miodu i przypraw korzennych, która skusiła ją wczoraj wieczorem. Służąca miała rację. Grzane wino usuwało zmęczenie wywołane podróżą, a ponadto sprowadzało głęboki sen.

Rozległo się pukanie do drzwi i do sypialni weszła służąca z dużym dzbanem gorącej wody.

- Dzień dobry, milady. Mamy piękny dzień i...

- Czy moja kuzynka już się obudziła? - Zniecierpliwiona Beth przerwała jej w pół zdania. - Ależ zasnęłam! Od kilku godzin powinnam być w drodze.

Postawna wiejska dziewczyna, niezbyt schludna, ale za to rezolutna, położyła dłonie na biodrach i popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Dobry Boże! Łaskawa pani, w taki śliczny dzień nie ma co gnać jak do pożaru - mówiła śpiewnie. - Pani Cavendish też dopiero przed chwilą się obudziła. Założę się, że bez obiadu nie pojedzie.

Beth w zadumie bawiła się sznurem od zasłon. Charlotte zwykle wstawała późno i potrzebowała dużo czasu, żeby oprzytomnieć, więc będzie gotowa do wyjazdu najwcześniej za godzinę. Zniecierpliwiona Beth miała wielką ochotę wpaść do pokoju kuzynki, żeby ją popędzić, ale powstrzymała się od tego. Wiedziała, że nie warto zmuszać Charlotte do pośpiechu, bo i tak robi wszystko we własnym tempie.

Służąca zerknęła na nią z zaciekawieniem, a potem nalała wody do miednicy.

- Jego lordowska mość przesyła pozdrowienia. Kazał zapytać, czy zejdzie pani do salonu. Ma tam czekać. Oczywiście dopiero, jak się pani wyszykuje.

- Jego lordowska mość? Lord Trevithick jest jeszcze w zajeździe?

- Tak, milady. - Dziewczyna odstawiła dzbanek. - Podobno ma kłopot z koniem. Zresztą i tak nie warto się spieszyć, prawda, milady? Powiem, że pani niedługo zejdzie.

Markus uprzejmie poprosił o spotkanie, ale to pozór, bo w gruncie rzeczy nie miała wyboru i musiała się stawić na rozmowę. Nadal trzymał w ręku ważne atuty.

Piętnaście minut później zbiegła po schodach na parter. Miała na sobie starannie wyprasowany kostium podróżny, włosy zaplotła w warkocz. Drzwi salonu były zamknięte, a ze środka nie dobiegały żadne dźwięki, więc po chwili namysłu uznała, że nie ma ochoty walczyć z Markusem w jaskini lwa. Lepiej wyjść na świeże powietrze.

W Marlborough przy High Street tego dnia odbywał się targ, więc poczuła nagłą ochotę na pospacerowanie między straganami. Pośpiech był niewskazany. Wieki miną, nim Charlotte będzie gotowa do wyjazdu. Poza tym Beth podświadomie odwlekała spotkanie z czekającym w gospodzie Markusem.

Mnóstwo wieśniaków przywiozło na targ swoje warzywa. Skrzynki pełne rzepy, cebuli i ziemniaków stały na prowizorycznych drewnianych straganach. Między nich wcisnęli się handlarze oferujący sznurowadła, dziadki do orzechów, pastylki na kaszel, plastry na odciski oraz setki innych niezbędnych przedmiotów. Beth zastanawiała się, jak do tej pory radziła sobie bez większości z nich. Mijała stragany, zatrzymując się raz po raz, żeby podziwiać wystawione towary i zachwycać się diamentami właścicieli. Obrótne handlarzomal nie przekonał jej do kupna rozpaczliwie miauczącego kotka. Serce się krajało na myśl, że stworzonko może źle skończyć, ale rozsądek podpowiadał, że kocie maleństwo wymaga opieki, więc byłoby wielce uciążliwym towarzyszem podróży. Gdy tłumaczyła sprzedawcy, że powinien oddać kotka w dobre ręce, stanął obok niej jakiś mężczyzna. Spojrzała na niego i

zobaczyła Markusa, który najwyraźniej nie mógł się doczekać kolejnego spotkania. Przerwała tyradę, bo nagle straciła wątek.

Markus obserwował ją z wyrazem pobłażliwego rozbawienia na twarzy. Nie włożył kapelusza, a czarna, gęsta i lśniąca czupryna w promieniach jesiennego słońca wyglądała na ciemnogrnatową. Znakomicie się prezentował w dopasowanych spodniach i eleganckim surducie z doskonałego niebieskiego sukna. Skórzane buty lśniły jak lustro. Można było się w nich przejrzeć. Gdy Beth patrzyła bez słowa, Markus dał właścicielowi kotka monetę i przykazał surowo: - - Zanieś to stworzenie do zajazdu „Pod Pałacem i Piłką”. W stajni harują myszy. Ten kotek będzie miał tam pole do popisu. W ten sposób zarobi na swoje utrzymanie. Odwrócił się do Beth i podał ramię. - Dzień dobry, lady Allerton. Wypełniła już pani swoją misję? Są tu inne zwierzęta, które zamierza pani uratować od poniewierki? Widziałem prosię na straganie po lewej stronie. Niezawodnie trafi do garnka, jeśli go pani nie kupi. Beth niechętnie wzięła go pod rękę.

- Dzięki, milordzie. Na razie nie zamierzam tworzyć schroniska dla zwierząt. Świec, sznurowadeł oraz innych tego rodzaju towarów również nie potrzebuję.

- A co z plastrami na odciski? Cynowa taca także nie jest potrzebna? - wpadł jej w słowo i uśmiechnął się szeroko. - Kupiłem pudełko cygar i laskę. Sam nie wiem, kiedy sięgnąłem po portfel.

Minęli kipiący życiem rynek i szli wolno ulicą biegnącą po zboczu w stronę rzeki, która płynęła zakosami wśród pól. Beth zastanawiała się, ile czasu minie, zanim poruszą drażliwy temat. Nie mogli w nieskończoność udawać, że spotkali się przypadkiem. Markus uparcie milczał. Kiedy zerknęła na niego ukradkiem, zauważyła, że przyglądał się jej z namysłem i uwagą.

Przystanąła na moście, żeby popatrzeć na kaczki pluskające się na płycznach.

- Jak tu pięknie! - powiedziała zachwycona. - Chętnie zostałabym... - Podniosła wzrok i napotkała jego badawcze spojrzenie. Ugryzła się w język, nie chcąc zdradzić swoich myśli.

Uśmiechnięty Markus oparł się o balustradę mostu.

- Pani wyprawa nie pozwala chyba na dłuższy pobyt w tych stronach - przypomniał. - Lady Allerton, proszę mi szczerze powiedzieć: wraca pani do Mostyn Hall? A może celem podróży jest Fairhaven? Moim zdaniem to drugie.

Beth śmiało patrzyła mu w oczy.

- Zamierzamy odwiedzić wyspę - powiedziała, nie owijając w bawełnę, i wyprostowała się dumnie. - Mam w ręku dokument potwierdzający darowiznę, więc uważam ją za swoją własność. Zapowiedziałam, że nie pozwolę jej sobie odebrać. Będę walczyć,

milordzie. - Szczerze mówiąc, czułbym się zawiedziony, gdyby zdecydowała pani inaczej - odparł cicho. Od rzeki szedł zimny powiew. Wzburzona Beth drżała lekko. Kilka liści opadło na powierzchnię fal. Uniósł je bystry nurt. Beth zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie oderwać wzroku od hipnotyzujących oczu Markusa, który po chwili poruszył się lekko.

- Nie jest pani łatwo. Na drodze do celu piętrzą się przeszkody - ciągnął rzeczowo. - Czyżby sądziła pani, że będę spokojnie patrzeć, jak zmierzacie na Fairhaven, żeby zająć posiadłość? Uprzedzam, że postanowiłem również się tam wybrać.

- Przysięgłam sobie, że pana wyprzedzę - oznajmiła stanowczo. Pod wpływem jesiennego wiatru policzki jej poróżwiały. - Nie przypuszczałam, że do tego stopnia zależy panu na tej wyspie. Będzie pan o nią walczyć, milordzie?

- Muszę bronić swojej własności przed najazdem. - Markus roześmiał się głośno.

- Niech pan nie będzie taki melodramatyczny - odcięła się Beth. Stała plecami do niego i z ponurą miną obserwowała wodne wiry. - Prawda jest taka, że nie umie pan przegrywać, milordzie. Sama wyspa nic dla pana nie znaczy, ale wbił pan sobie do głowy, jakobym była oszustką, i stąd to uporczywe dążenie, żeby udaremnić moje zwycięstwo.

- Przyznaję, że początkowo czułem się przez panią oszukany, lady Allerton. - Markus wsunął ręce w kieszenie.

- Używa pan mocnych słów, milordzie. - Beth odwróciła się. Jej szare oczy lśniły gniewnie. - Śmiało! Proszę mnie nie oszczędzać. Doskonale wiem, co pan myśli na mój temat. Nieraz dawał mi pan to do zrozumienia.

- Miałem przeciwko pani mocne dowody. - Spojrzał jej - prosto w oczy. - Uznałbym panią za winną, gdyby przeczucie nie podpowiadało mi, że jest inaczej.

- Nie zamierzam z panem o tym dyskutować. Szkoda czasu. Przedtem nie raczył pan przedstawić dowodów świadczących rzekomo na moją niekorzyść, a teraz ja nie zamierzam słuchać, co pan ma do powiedzenia.

Markus lekko wzruszył ramionami.

- Ma pani do tego prawo. Jak rozwiążemy ten konflikt, lady Allerton? Pani chce przejąć Fairhaven, ja zamierzam panią powstrzymać. Oboje tkwimy w tym po uszy. A zatem...

Beth zacisnęła usta. Znalazła się w trudnej i zarazem dość zabawnej sytuacji. Mogłaby natychmiast wrócić do gospody i kazać stangretowi, by zaprzęgał konie, ale Markus niewątpliwie pospieszyłby za nią bezzwłocznie. Nie miał jednak takiej mocy, żeby nakazać jej powrót do Mostyn Hall. Sytuacja była patowa.

- Zaoszczędzilibyśmy sobie problemów, gdyby się pan tak nie pośpieszył! - wybuchnęła. - Wczoraj z samego rana był pan w Londynie, a wieczorem spotykamy się w Marlborough. Na domiar złego jedzie pan własnym powozem i ma swoje konie... - Przerwała tyradę i spojrzała na niego tak groźnie, że nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Obawiam się, że źle panią poinformowano. Wczorajszego ranka nie spędziłem w Londynie.

- Ale Kit widział pana poprzedniego dnia wieczorem na balu u lady Paget! - Beth spochmurniała.

- To się zgadza. Po balu pojechaliśmy z Justynem do Bradbury Park. To mój dom niedaleko Reading. Konie odpoczęły parę godzin i ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie mogliśmy pozwolić, żebyście nas za bardzo wyprzedziły.

Zła i urażona Beth zmierzyła go wrogim spojrzeniem.

i - Skąd pan wiedział, gdzie nas szukać?

- Nie mieliśmy pewności, ale po drodze rozpytywaliśmy w zajazdach pocztowych o dwie urocze damy podróżujące bez męskiej opieki, które pędzą na złamanie karku. - Wzruszył ramionami. - Mogliśmy trafić na inne panie, ale wiele wskazywało, że to jednak wy. Zgadzał się kierunek podróży, bo wiedziałem od pani, że zmierzacie do Devon. Przeczuałem, że będzie pani pędzić co koń wyskoczy, więc i to wskazywało na was. - Uniósł dłoń, dotknął policzka Beth i dodał łagodniej: - Poza tym kto raz panią ujrzał, niełatwo zapomina, kochanie. Wystarczyło opisać urodziwą damę o kruczoczarnych włosach i srebrzystoszarych oczach, a natychmiast wiedzieli, kogo mam na myśli.

Beth, oczarowana czułymi słówkami i łagodnością głosu, wpatrywała się w niego jak zahipnotyzowana. Do tej pory nie uważała się za piękność. W głowie jej nie powstało, że inni zachwycają się jej urodą. Niechętnie odwróciła wzrok, stanęła znów przy balustradzie mostu i położyła na niej rękę, wyczuwając przez rękawiczki chłód kamienia. Peszyła ją zmienność nastrojów Markusa. Zbyt łatwo przechodził od jawnej niechęci do serdeczności i sympatii. Nie wiedziała, co o nim myśleć. Trudno jednak go było nie lubić. Mimo to nie mogła mu ufać. Nazwał ją oszustką! Wściekał się bez powodu.

- Moim zdaniem pańskie komplementy są nieszczerze, milordzie - oznajmiła lodowatym tonem. - Mam wrażenie, że w ogóle nie można panu ufać. A to grzane wino, które wczoraj kazał pan nam przysłać? Czyżby przypadek sprawił, że Charlotte i ja przespałyśmy kilkanaście godzin?

Markus znowu parsknął śmiechem.

- Moim zdaniem całą winę należy przypisać zmęczeniu, lady Allerton. Nic dziwnego, gnały panie jak do pożaru.

- Tak się złożyło, że zasnęliśmy po tym, jak pański koń okulał i potrzebował wypoczynku. A przecież niedawno oznajmił pan, że nie pozwoli nam wysforować się do przodu.

- Owszem - przytaknął pogodnie Markus. - W przeciwnym razie jak moglibyśmy z Justynem dotrzymać paniom towarzystwa w tej podróży?

Beth popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Wiatr targał jedwabiste ciemne włosy, a na zmysłowych ustach pojawił się uśmiech.

- Towarzyszyć nam? - powtórzyła z ponurą miną. - Jak pan to sobie wyobraża?

- Właśnie przyszedł mi do głowy ten pomysł. - Markus jeszcze bardziej się rozpromienił. - Czy podróż nie byłaby dla was przyjemniejsza, gdybyśmy z Justynem zajęli się wszystkimi przyziemnymi kłopotami?

Beth uniosła brwi. I tak, i nie, brzmiałaby jej odpowiedź. Trudności byłoby zdecydowanie mniej, ale w towarzystwie Markusa czuła się kompletnie wytrącona z równowagi. Poza tym jako oponenci nie powinni trzymać się razem.

- To bardzo miło z pańskiej strony, milordzie, ale...

Markus dotknął jej dłoni spoczywającej na balustradzie.

- Proszę nie odmawiać. Dla mnie to wielka przyjemność.

Kurtuazyjne, uprzejme słowa nabrały głębszego znaczenia, gdy Beth napotkała zmysłowe spojrzenie czarnych oczu. Daremnie próbowała wysunąć dłoń spod palców Markusa. - To byłoby niewłaściwe, milordzie. Dlaczego miałby nam pan towarzyszyć? Nie da się ukryć, że nasza podróż jest swoistym wyścigiem. Chodzi o to, kto pierwszy dotrze na wyspę, więc nie możemy jechać razem.

- Czy naprawdę musimy rywalizować? - zapytał cicho Markus, ściskając jej rękę. - Z pewnością potrafimy znaleźć inne wyjście.

- Na przykład? - Beth wstrzymała oddech. - Mamy późną jesień, morze jest burzliwe, więc odłożmy przeprawę na inny czas. Nadchodzi Boże Narodzenie. Justyn i ja odwieziemy panie do Mostyn Hall... Beth wyrwała dłoń z jego uścisku.

- Rozumiem, w czym rzecz! Chce pan, żebym porzuciła swoje dążenia i przerwała podróż. Już panu mówiłam, że tego nie zrobię. Doskonale pamiętam każde pańskie słowo wypowiedziane podczas naszej ostatniej rozmowy. Zapewniam, że nie jest pan osobą, którą w czasie tej wyprawy wypada mi prosić o opiekę.

Przemknęła obok niego i ruszyła pod górę. Pędziła, co sił w nogach, starając się nie poślizgnąć na nierównym bruku. Wiedziała, że Markus idzie za nią krok w krok, podtrzymując usłużnie, ilekroć potykała się na wilgotnych liściach. Tego się właśnie obawiała. Gdy dotarli do głównej ulicy, policzki miała czerwone z wysiłku. Była zgrzana, zakłopotana i zła.

Idący obok niej Markus oddychał spokojnie i wydawał się ubawiony sytuacją.

Beth przeszła przez ulicę i omal nie wpadła pod wóz jadący z turkotem między targowymi straganami. Otworzyła szeroko drzwi zajazdu „Pod Pałacem i Piłką”, zdecydowana skłonić Charlotte do natychmiastowego wyjazdu. Usłyszała jej głos dobiegający zza drzwi małego salonu. Natychmiast wpadła do środka.

Charlotte i Justyn Trevithick jedli śniadanie. Na stole były jeszcze dwa nakrycia, a także półmisek z zimnym mięsem, pieczywo, ciasto i owoce. Charlotte podniosła głowę i uśmiechnęła się do kuzynki. Wyglądała ślicznie. Policzki miała zarumienione, twarz rozpromienioną.

- Witaj, Beth! O, jest i lord Trevithick! Siadajcie z nami do stołu. - Odsunęła sąsiednie krzesło i uśmiechnęła się do Beth. - Mam wspaniałą nowinę! Pan Trevithick i lord Markus zgodzili się towarzyszyć nam do końca podróży. Co o tym sądzisz, kochanie?

- To śmieszne! - mruknęła Beth, wsparta o miękkie poduszki z zielonego aksamitu. Przez okno powozu obserwowała mijane krajobrazy. - Jak mamy się ścigać, skoro jesteśmy teraz pod opieką tych samych dżentelmenów, których miałyśmy zostawić w tyle? Zastanów się, Charlotte. Przecież to kompletny idiotyzm.

Kuzynka przyglądała się jej z niezmaconym spokojem. Sprawiała wrażenie znacznie bardziej zadowolonej z życia. Nie pociągały jej wielkie wyzwania, nie lubiła ryzyka. W obecności lorda, a zwłaszcza jego kuzyna, nabrała otuchy, bo nie musiała się troszczyć o codzienne życiowe sprawy. Beth westchnęła z rezygnacją.

- Moim zdaniem wcale nie musimy się ścigać. To był głupi pomysł - odparła pogodnie Charlotte. - Teraz wszystko ułoży się znakomicie.

Zirytowana Beth poruszyła się niespokojnie.

- Oczywiście! Rzecz w tym, że jeśli nie pozbędziemy się lorda, zamiast dotrzeć na Fairhaven, zostaniemy odstawione prosto do domu. - Wyjrzała znowu przez okno i ujrzała Markusa jadącego na karym rumaku, więc natychmiast odwróciła wzrok. Szkoda, że dla zabicia czasu nie wzięła ze sobą książki. Co prawda, pogoda była tak piękna, że wolała podziwiać widoki. Niestety, na tle pejzażu ciągle widziała postać galopującego lorda Threviticka.

Justyn powoził, bo jego kuzyn wołał jechać konno. Beth musiała przyznać, że ten ostatni na końskim grzbiecie prezentuje się wspaniale, a wierzchowca dosiada z wrodzoną pewnością i elegancją. Po chwili odwróciła wzrok i skupiła się na urokach krajobrazu Wiltshire. Drzewa zrzuciły niemal wszystkie liście, lecz widoki zachwyciły ascetycznym pięknem. Dzień był pogodny, niebo jasnobłękitne, a blask słońca ożywiał sielskie pejzaże. Od kilku tygodni nie padało, więc drogi były suche i wygodne. Na łąkach pasły się krowy. Gdy mijali przydrożne osady, widzieli dzieciarnię bawiącą się przed drzwiami chat. Charlotte drzemała, siedząc naprzeciwko Beth, która uświadomiła sobie, że tylko ona jest dzisiaj w ponurym nastroju.

Minęli kolejną budkę, w której pobierano opłaty za użytkowanie drogi, a potem zbieżyli do zajazdu pocztowego, aby zmienić konie. Markus podszedł do drzwi powozu.

- Lady Allerton, jest piękna pogoda. Nie zechciałaby pani przesiąść się do mojego powozu? Zostawiam tu wierzchowca. Jest własnością zajazdu „Pod Pałacem i Piłką”. Justyn chętnie zajmie pani miejsce. I cóż?

- Daj się namówić - wtrąciła Charlotte, nim Beth zdążyła się odezwać. - Lubisz przebywać na świeżym powietrzu, jesteś ciepło ubrana. Nie widzę przeszkód.

To prawda, ale Beth podejrzewała, że kuzynce chodzi raczej o miłe sam na sam z Justynem. Markus otworzył drzwi! przed Beth i wyciągnął rękę, czekając, aż wysiądzie z powozu, jakby uznał jej zgodę za pewnik. Postanowiła tym razem oszczędzić sobie kłótni.

Mieli w powozie gorącą kawę, żeby się ogrzać. Beth nie życzyła sobie rozgrzanej cegły pod stopy, bo uznała, że takie wygody są zbędne przy stosunkowo ciepłej aurze. Nim ruszyli, Markus zadbał o wszelkie wygody. Otulił ją kocem i dopilnował, żeby włożyła szal, kapelusz i rękawiczki, dobrze chroniące przed zimmem. Wkrótce Beth przekonała się, że jazda otwartym powozem ogromnie się różni od podróżowania w pudle karety. Upajała się szybkością i pędem powietrza, który powodował jednak, że trochę marzła.

Przejechali w milczeniu kilka kilometrów. Przerwał je Markus. Odwrócił się do Beth z szerokim uśmiechem.

- Mam nadzieję, że podoba się pani taki sposób podróżowania. Gdyby chłód za bardzo dokuczał, proszę mi powiedzieć. Natychmiast wróci pani do swojego powozu.

Gdy spojrzała na niego, oczy jej się śmiały z radości.

- Och, nie, nie! - Popatrzyła wokół. - Na świeżym powietrzu inaczej chłoniemy wrażenia.

- Zgadzam się całkowicie - przytaknął z powagą Markus. - Zna pani te strony?

- Niestety, nie. Mało podróżuję. Czasami jeżdżę do Londynu i z powrotem. Wtedy chętnie podziwiam widoki. - - Beth z wielką ciekawością przyglądała się niewysokim, kształtnym pagórkom w pobliżu gościńca.

- Proszę spojrzeć na te dziwne wzgórza. To są pewnie słynne kurhany. Kiedyś o nich czytałam. Mają... tysiące lat.

Fascynujące, prawda?

Markus roześmiał się na cały głos.

- Ciekawi panią historia, lady Allerton? Dzieliła pani z mężem te zainteresowania?

Beth odwróciła głowę. Z niejasnych powodów czuła się nieswojo, kiedy rozmawiała z Markusem o Franku Allertonie i swoim małżeństwie. Zbywała go ogólnikami, a mimo to umiał ją przejrzeć i z wymijających odpowiedzi wydobyć istotę rzeczy. Zresztą nie miała nic do ukrycia. Jej związek nie był gorszy od innych. Jesień życia połączona z wiosną... Trudno wtedy o miłość, ale wzajemny szacunek to już coś. - Frank nie miał zrozumienia dla sztuki i humanistyki - tłumaczyła. - Ja z kolei nie lubię matematyki oraz nauk przyrodniczych.

- Przeciwnie zainteresowania także bywają inspirujące - zauważył Markus. - Tyle jest tematów do rozmowy.

- Zapewne ma pan rację. - Wydawało jej się, że mówi bez przekonania, więc dodała, ogarnięta nagłą potrzebą szczerości: - Frank był do tego stopnia pochłonięty swoim badaniami, że nie miał czasu rozmawiać o nich ze mną.

- Była pani rozczarowana z tego powodu? - zapytał Markus. Unikała jego wzroku, ale czuła, że patrzy na nią uważnie.

- Raczej nie. Kobiety nie mają specjalnych oczekiwań, kiedy... - Podniosła głowę i zamilkła, bo patrzył na nią ze współczuciem.

- Z pewnością i rozsądnie, i właściwie jest zakładać w małżeństwie wspólnotę dążeń i zainteresowań, nie sądzi pani? W przeciwnym razie życie staje się diabelnie jałowe i puste.

Beth skrzywiła się, jakby ją coś zabolalo. Gdy Frank wyjeżdżał na długie tygodnie, czuła się w Allerton bardzo samotna. Jeśli był w domu, niewiele się zmieniało, bo żyli w przyjaźni, ale obok siebie. Słowa Markusa sprawiły, że nagle wyobraziła sobie inne życie, w którym dużo się rozmawia, chętnie dyskutuje i dzieli wszystkim ku obopólnej radości. O takiej bliskości opowiadała czasami Charlotte, ale Beth nie znała jej z własnego doświadczenia. Nagle poczuła się równie osamotniona jak dawniej w Allerton, ale nie dała tego po sobie poznać i wybuchnęła z pozoru radosnym śmiechem.

- Ma pan, milordzie, niekonwencjonalną wizję małżeństwa. Mogłabym wymienić nazwiska wielu pań i panów, którzy byliby wstrząśnięci, gdyby oznajmił pan, że mają ze sobą rozmawiać.

- I cóż z tego? Każdy ma prawo do własnej wizji małżeństwa. Mojej przyszłej żonie postawię bardzo wysokie wymagania. Powinna być śliczna, mieć umysł subtelny i starannie uformowany, a także poczucie humoru, łagodność i wdzięk. Myśli pani, że daremnie szukam swego ideału?

- Taka kobieta nie istnieje. - Beth odwróciła głowę. Poczula się nieswojo, gdy Markus wspomniał o przyszłej żonie.

- Minęło już trochę czasu, odkąd została pani wdową, lady Allerton. Nie myślała pani o powtórnym zamążpójściu? - Markus nie dawał za wygraną. - Z pewnością adoratorów miała pani sporo.

Beth wzruszyła ramionami, próbując ukryć zmieszanie.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż. Mam dom, kuzynów, mnóstwo zainteresowań. Czego jeszcze mogłabym pragnąć?

To miało być pytanie retoryczne, niewymagające odpowiedzi. Beth pożałowała natychmiast, że je zadała, bo Markus potraktował jej wątpliwość całkiem serio.

- Przyjaźni? Miłości? - Zniżył głos do szeptu. - Namiętności?

Beth wierciła się niespokojnie na wyściełanym siedzeniu.

- Miłość i namiętność nie dają w życiu oparcia. Są ulotne i szybko przemijają - oznajmiła tonem osoby wszystkowiedzącej. - Nie sądzę, żeby mi były potrzebne do szczęścia. Poza tym uważam, że jestem oziębła...

Zerknęła na Markusa, który na znak niedowierzania wysoko uniosł brwi. Znowu pożałowała wypowiedzianych pochopnie słów. Odwróciła wzrok i zaczęła się rozglądać po okolicy.

- Jakie miasto widać w oddali, milordzie? Czy to Trowbridge, do którego zmierzamy?

Gawędzili przyjaźnie aż do kolejnego postoju. Zrobiło się ciemno i wyraźnie pochłodziło, więc Markus zaproponował, żeby Beth przesiadła się do karety, bo w otwartym powozie na pewno zmarznie. Bez protestu zamieniła się miejscami z Justynem. Godzinę później dotarli do zajazdu „Pod Królewską Kompanią” w Shepton Mallet.

Gospoda była mniejsza od tej w Marlborough, lecz sam budynek wydawał się uroczy, a wnętrze czyste i zadbane. Beth spostrzegła, że Charlotte z uznaniem kiwa głową, spoglądając na towarzyszącego jej Justyna, ale nie zważała na to, ponieważ kuzynce wszystko się ostatnio podobało. Wynajęli dwa pokoje z podwójnymi łóżkami. Gdy się w nich rozgościli

się, dobry nastrój Beth nagle zniknął. Nalegała wcześniej, żeby jechać aż do Wells, lecz Markus uznał, że zrobili dziś kawał drogi. Miała nadzieję, że jutro wyjadą o świcie, lecz z niefrasobliwym uśmiechem zapowiedział późną pobudkę, bo jego zdaniem rano nie należy się spieszyć. Coraz bardziej lękała się, że wbrew swojej woli zostanie odwieziona do Mostyn Hall i nie będzie miała w tej sprawie nic do powiedzenia.

Olśnienia doznała po kolacji, gdy wraz z Charlotte czekała na panów, żeby wypić z nimi herbatę. Zaciekawiona kuzynka wypytywała, w jaki sposób Markus i Justyn zdołali ich dogonić. Wyjaśniła, że wyruszyli późnym wieczorem i jechali przez całą noc. Kiedy o tym mówiła, przyszło jej do głowy, że jeśli Markus mógł się na to zdobyć, dlaczego nie miałyby pójść w jego ślady? Trzeba tylko uprzedzić stangreta Fowlera, że nocą w sekrecie opuszczają zajazd. Zadowolona z siebie, uznała, że to doskonały plan.

Nim udała się na spoczynek, pobiegła do stajni, żeby ustalić szczegóły ze stangretem, który kręcił nosem na fanaberie jaśnie pani, ale obiecał, że jej nie wyda. Postanowiła, że wyruszą o drugiej w nocy.

Gdy wracała do swego pokoju, spostrzegła, że zajazd, który przedtem wydawał się spokojny i schludny, mimo wczesnej pory zmienił się na gorsze. Zaraz po ich przyjeździe korytarze były zamiecione i jasno oświetlone. Teraz na podłodze wały się śmieci, lampy przygasły, wszędzie czuło się zapach dymu i marnego piwa, a z głównej sali dobiegały chrapliwe wrzaski kobiet i mężczyzn. Beth przebiegła dziedziniec i ruszyła ku schodom. Szukała zacienionych miejsc, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Bała się spotkania z Markusem, a nie miała pojęcia, gdzie on teraz jest.

Pokonała zaledwie trzy stopnie, gdy na zakręcie schodów dostrzegła cień. Po chwili ujrziała idącego ku niej mężczyznę.

Serce w niej zamarło, ponieważ był to Markus Trevithick.

Beth uznała, że prześladuje ją fatum. Nie mogła się uwolnić od tego człowieka.

Był wyraźnie odprężony. Zapewne wraz z Justynem wychylił już kilka kieliszków porto w zaciszu swego pokoju. Zdjął tużurek i rozpiął guziki śnieżnobiałej koszuli podkreślającej ciemne oczy i oliwkową karnację. Beth czuła niespokojne kołatanie serca. Dręczyło ją poczucie winy, nie dawały spokoju inne uczucia, które bała się nazwać. Wstrzymała oddech. Zastanawiała się, czy uda jej się minąć Markusa bez słowa. Niestety, wątpiła, żeby pozwolił jej odejść, nie żądając wyjaśnień. Daremne nadzieje. Wystarczyło, że wyciągnie muskularne ramię i przejścia nie ma. Kiedy się zrównali, niespodziewanie wyciągnął rękę.

Beth cofnęła się odruchowo i poczuła za plecami drewnianą balustradę. W przyćmionym świetle nie widziała twarzy Markusa, ale czuła na sobie uporczywe spojrzenie

czarnych oczu. Pewnie zastanawiał się, dlaczego jest zarumieniona. Ciekawe, ile wypił z Justynem. Przed dziesięcioma minutami łudziła się nadzieją, że siedząc przy butelce porto, nie zauważą gorączkowych przygotowań do ucieczki. Teraz istniało poważne niebezpieczeństwo, że sprawa się wyda.

- Chwileczkę, lady Allerton - powiedział Markus podejrzanie łagodnym głosem. - Przed chwilą zapukałem do waszego pokoju, żeby zapytać, czy przypadkiem czegoś nie potrzebujecie. Pani Cavendish powiedziała, że jest sama. Dlaczego pani wyszła? Moim zdaniem nie wypada damie włączyć się samotnie po korytarzach podrzędnej gospody, zwłaszcza o tej porze. Jakież to pilne sprawy zmusiły panią do ryzykownej wędrówki?

Beth spojrzała na niego z miną niewiniątka.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy powóz jest gotowy do drogi i czy służba rozlokowała się wygodnie na nocleg, milordzie - wyjaśniła.

Zapadła cisza. Markus zmierzył Beth nieufnym spojrzeniem. Miała wrażenie, że jej nie dowierza.

- Rozumiem. Na przyszłość proszę łaskawie pamiętać, że w takich sprawach chętnie panią wyęcę. - Przynął się bliżej, więc odruchowo zrobiła krok do tyłu. Niewiele na tym zyskała, bo chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. - Proszę uważać, milady, żeby pani nie wypadła przez barierkę. Jest trochę rozchwiana.

Uwolniła ramię z jego uścisku.

- Dziękuję za ostrzeżenie. Będę uważać, choć nic mi nie grozi.

- Nie byłbym taki pewny - odparł z uśmiechem i znów przyjrzał się jej z niepokojącym zainteresowaniem. - A teraz odprowadzę panią do pokoju, lady Allerton. Gospoda nie jest odpowiednim miejscem na samotne spacerowanie. Wieczorami ściąga tu dosyć... podejrzana klientela. - Jakby na potwierdzenie jego słów z otwartych drzwi głównej sali chwiejnym krokiem wyszła roześmiana i czule objęta para. Beth odwróciła wzrok.

- Nie musi pan mnie odprowadzać - powiedziała nagle. - Sama trafię. Dobranoc, milordzie.

Markus uklonił się w milczeniu. Minęła go i biegiem ruszyła na górę. Kiedy się obejrzała, nadal ją obserwował z kpiącym błyskiem w oku. Uniósł rękę.

- Dobranoc, lady Allerton. Pięknych snów.

- Panu również życzę dobrej nocy - odparła uprzejmie. Uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Justyn i ja będziemy spać jak zabici. Wypiliśmy całą butelkę porto.

Zniknął w korytarzu. Po chwili usłyszała, jak otwiera i zamyka za sobą drzwi.

Odetchnęła z ulgą i oparła się ciężko o balustradę, która skrzypnęła złowieszczo pod jej ciężarem. Była pewna, że Markus coś podejrzewa, ale nie zamierzała rezygnować z urzeczywistnienia swego planu. Teraz albo nigdy... Popędziła do swego pokoju. Miała nadzieję, że Charlotte już śpi, bo musiała jeszcze spakować rzeczy do kufra.

Ciemno, że oko wykol! Uczępiona barierki, skradała się w dół po schodach, uważając, żeby nie upaść. Każde skrzypnięcie brzmiało jak wystrzał armatni. Bała się, że lada chwila ktoś stanie w otwartych drzwiach i zacznie jej wymyślać za nocne hałasy, a wtedy plan spali na panewce. Z trudem wlokła ciężki kufer boleśnie objijający się o nogi. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że próbując bezszelestnie zejść na dół, straci równowagę i z łoskotem polecą za nim w ciemną czeluść parteru.

W korytarzu słychać było jedynie chrobot myszy harcujących pod podłogą oraz regularne tykanie zegara w głównej sali.

Beth podeszła do drzwi i ostrożnie odsunęła rygiel. W stajni paliło się migotliwe światło, ale wbrew swoim zaleceniom nie zobaczyła na dziedzińcu powozu gotowego do drogi. Może Fowler uznał, że zacznie zaprzęgać dopiero wtedy, gdy ona zejdzie? Beth zadrżała. Księżyc był wysoko na rozgwieżdżonym niebie. Chłodny wiatr obracał kurka na dachu stajni. Czuło się przymrozek.

Zamknęła za sobą drzwi zajazdu i przebiegła dziedziniec. Księżyc świecił jasno, więc bez trudu znalazła drogę. Minęła cysterne na wodę i wpadła do mrocznej stajni. W głębi paliła się jedna latarnia. Konie, spłoszone jej wtargnięciem, dreptały nerwowo, objijając się o ściany boksów. Skrzypiały rzemienie. Beth przystanąła na moment, a następnie przez szerokie drzwi weszła do wozowni.

Tu również paliła się jedna latarnia, umieszczona wysoko na ścianie. Powóz stał na kamiennej podłodze dokładnie tam, gdzie znajdował się, kiedy przed pięcioma godzinami przyszła tu, żeby wydać Fowlerowi polecenia. Drzwi były otwarte, ale stangret się nie pokazał. Beth zaczynała podejrzewać, że zamiast ruszyć w dalszą drogę, będzie musiała wrócić do łóżka. Ogarnięta złością i rozczarowana, żałowała zmarnowanej szansy na ucieczkę. Mogłaby przejechać kawał drogi, nim Markus i jego kuzyn obudzą się po wczorajszej pijatyce. Zastanawiała się przez moment, czy sama dałaby radę zaprzęć konie, ale uznała, że to głupi pomysł. Kto miałby powozić? Jeździła czasami dwukółką, ale nie poradziłaby sobie z ciężkim, czterokołowym powozem. Niewiele brakowało, żeby zaczęła tupać ze złości.

Już miała opuścić wozownię, gdy z powozu dobiegły jakieś hałasy. Znieruchomiała, wpatrzona w ciemne wnętrze. Nikt się tam nie poruszył, lecz odgłos rozległ się ponownie. Ktoś był w powozie.

W pierwszym odruchu chciała wziąć nogi za pas, lecz po chwili doszła do wniosku, że to zmęczony pracą Fowler zdrzemnął się lub za dużo wypił i teraz odsypia swoje wybryki. Podeszła do opuszczonych schodków i zajrzała przez otwarte drzwi.

- Fowler! Obudź się natychmiast. Ośmielasz się spać, gdy ciebie potrzebuję? Bierz się do roboty i...

Nim dokończyła zdanie, silne ramiona wciągnęły ją do wnętrza. Zabrakło jej tchu, więc nie mogła krzyżeć, chociaż powinna. W ułamku sekundy znalazła się na wyściełanej aksamitem kanapie. Leżała bezradnie, przygwożdżona do poduszek ciężarem potężnego męskiego ciała. Daremnie próbowała wyrwać się z uścisku, który stawał się coraz mocniejszy. Po chwili została całkiem unieruchomiona. Podczas zażartej walki pukle włosów wysunęły się z luźno splecionego warkocza i opadły jej na twarz, więc nie widziała napastnika. zacerpnęła powietrza, żeby wrzasnąć na całe gardło albo przynajmniej jęknąć boleśnie, ale nie wydała żadnego dźwięku, bo nagle uświadomiła sobie, że jej prześladowcą jest Markus Trevithick.

Słyszała jego oddech i czuła charakterystyczny zapach zmieszany z wonią tytoniu i porto. Kiedy przyłgnął do niej całym ciałem, uległa dziwnej słabości, która nie przystoi damie i może być dla niej kompromitująca.

- Lordzie Trevithick!

Mocny uścisk natychmiast zelżał. Usłyszała odgłos krzesania ognia, a potem ujrzała słaby płomyk, przechodzący w nikłą poświatę. Usiadła i rozejrzała się wokół.

Wnętrze niewielkiego powozu w blasku latarni wydawało się jeszcze mniejsze i bardziej przytulne. Markus poprawił knot lampy i usiadł w rogu. Z namysłem i rozbawieniem obserwował Beth.

- Intrygujące... Skąd pani wiedziała, lady Allerton, że to ja? Nie zmierzała się przyznać, że rozpoznała go wszystkimi zmysłami, bo z pewnością wykorzystałby tę informację przeciwko niej. Zwróciła się ku drzwiom, ale zatrzymał ją, chwytając za nadgarstek.

- Chwileczkę. Jeszcze nie teraz. Chyba jest mi pani winna wyjaśnienie.

- Ja? - Popatrzyła mu prosto w oczy. - To pan musi się przede mną tłumaczyć, milordzie! Ukrywa się pan w ciemnej wozowni, napada bezbronną kobietę...

- I to wszystko w środku nocy! - dokończył rzeczowo Markus. - Proszę mówić, lady Allerton. Mogę też zrobić to za panią, zgoda? - dodał sarkastycznym tonem - Kiedy się ostatnio widzieliśmy, sprawdzała pani, czy stangret ma zapewnione wszelkie wygody. Słusznie zakładam, że tym razem miała pani podobne intencje? O drugiej w nocy wstaje pani, żeby upewnić się, czy służba ma wszystko, czego potrzebuje. Moim zdaniem to przykład wyjątkowej troskliwości!

Beth sapała gniewnie.

- Przyszłam tu z innych powodów i pan jest tego świadomy.

Markus usiadł wygodnie. Nadal mocno trzymał ją za rękę. Była niemal pewna, że nie rozluźni palców dopóty, dopóki nie usłyszy zadowalającego wyjaśnienia.

- W takim razie co pani zamierzała? Dowiem się wreszcie?

Splonęła rumieńcem, słysząc jego karcący ton. Czowała się okropnie z potarganymi włosami opadającymi na twarz.

Markus przyglądał się jej uważnie. Zbił ją z tropu tym badawczym spojrzeniem. - Jakim prawem wypytuje mnie pan, milordzie? Nikt parni nie upoważnił do oceniania moich postępów. Zapadło krępujące milczenie. Markus wzruszył ramionami. - Owszem, lady Allerton, ale tak się składa, że znam powód, który panią skłonił, żeby tutaj przyjść. O tej porze stangret miał być gotowy do wyjazdu. Chciała nas pani wyprzedzić - ciągnął z uprzejmym uśmiechem. - Przykro mi, że nie udało się zrealizować tego planu. Uznałem, że Fowler po całym dniu ciężkiej harówki zasłużył na szklaneczkę brandy. Na jednej się nie skończyło. Niestety... - Znowu wzruszył ramionami. - Lepiej, żeby I po pijanemu nie powoził w ciemnościach. Beth była wściekła.

- Spoił mi pan stangreta, a na domiar złego rzucił się pan na mnie jak szalenciec! Jak pan śmiał dotykać damy! Słuchając tych oskarżeń, Markus zachował spokój i irytująco pogodną twarz.

- Użyłem siły dla pani dobra, lady Allerton. Jazda powozem w środku nocy to fatalny pomysł. Pewna katastrofa! Sta - ram się panią od niej uchronić. Mamy dziś przymrozek, więc drogi są śliskie. A jeśli chodzi o rzekome dotykanie... - Zmierzył ją taksującym spojrzeniem. - Myśl jest kusząca... Beth próbowała się od niego odsunąć.

- Źle mnie pan zrozumiał.

- Doskonale wiem, o co pani chodzi. - Wydawał się zawiedziony. - Dała mi pani do myślenia...

Znowu odsunęła się nieco. Na samą myśl, że Markus wypełni zawołowaną obietnicę, ogarnęło ją przyjemne podniecenie, ale starała się je zdusić w zarodku.

- Mówi pan głupstwa, milordzie. To przecież wozownia, środek nocy. Siedzimy w powozie...

- Racja - odparł z westchnieniem. - Musimy być rozsądni. Trzeba wrócić do gospody.

Puścił dłoń Beth, którą ogarnęło rozczarowanie, a jednocześnie złość na samą siebie. Wziął latarnię, wyskoczył z powozu i szarmancko wyciągnął rękę, żeby jej pomóc przy wsiadaniu.

- Proszę uważać. Ciemno tu, a schodki są wąskie. Beth nie miała pojęcia, czy sama się potknęła, czy Markus zbyt mocno pociągnął ją za rękę, dość, że ledwie wypowiedział te słowa, zachwiała się i padła mu w ramiona. Znakomicie sobie poradził, chwytając ją w objęcia. Przez kilka chwil znowu czuła siłę muskularnych ramion. Potem rozluźnił uścisk, pozwalając jej zsunąć się po swoim ciele i dotknąć stopami kamiennej podłogi. Stali nadal bardzo blisko siebie. Beth cofnęła się o krok, ale przybliżył się znowu. Za plecami miała bok powozu. Markus oparł na nim obie dłonie. Była unieruchomiona.

- Milordzie! - pisnęła nerwowo.

- Tak, pani? - odparł głosem niższym do szeptu i pocałował ją za uchem, gdzie skóra była ciepła i wrażliwa.

- Obiecał pan zostawić mnie w spokoju. - Daremnie próbowała skarcić go surowo. Łamiący się głos zdradzał oszołomienie. - Miał pan mnie nie dotykać.

Markus cofnął się, rozłożył ramiona i uniósł je do góry, jakby ogłaszał kapitulację.

- Ręce trzymam przy sobie. Zafrasowana lekko, zmarszczyła brwi.

- A zatem...

Markus pochylił głowę i dotknął ustami jej warg.

Równie dobrze mógłby dolać oliwy do ognia. Beth odruchowo rozchyliła wargi i oddała pocałunek. Łagodne, zachęcające dotknięcie ustąpiło miejsca namiętnej pieszczocie. Beth zarzuciła mu ramiona na szyję, więc bez wahania wziął ją w objęcia. Westchnęła, oszołomiona rozkoszą, a wtedy natychmiast skorzystał z okazji. Jego pocałunki stały się bardziej zaborcze i zmysłowe. Beth zapomniała o wstydzie, poddała się nowym odczuciom.

Ale nie była to ostateczna kapitulacja. Beth nadal opierała się urokowi Markusa. Instynktownie odrzuciła zachętę do całkowitego zatracenia się w otchłani pragnień i pożądań, która się przed nią otworzyła. Mimo wszystko niewiele brakowało, żeby zapomniała, gdzie się znajduje.

W środku nocy przysła do stajni, lecz nie po to, żeby od - dać się Markusowi na wiązce siana, choć bez wątplenia za jej przyzwoleniem doprowadziłby sprawę do takiego końca. Wsunęła się z jego objęć. Niechętnie opuścił ramiona.

- O co chodzi, kochanie?

- Nie wypada, milordzie. - Zmarszczyła brwi i spiorunowała go wzrokiem. - Uchodzimy za oponentów... jesteśmy stronami w sporze o Fairhaven, więc nie jest rzeczą właściwą, żeby... - Zamilkła, daremnie szukając odpowiednich słów.

W przyćmionym świetle latarni spojrzała na jego usta. Ich kąciki uniosły się lekko do góry. Tajemniczy uśmiech sprawił, że zapomniała, co chce powiedzieć.

- Chodzi o pocałunek?

- Tak! Nie wolno nam pozwalać sobie na taką poufałość. Ja nie powinnam się tak... zapominać.

- To znaczy?

- Muszę być nieustannie świadoma tego, co pan o mnie wygadywał, i pamiętać, że z tego powodu jestem na pana bardzo zagniewana. A poza tym dzieli nas spór o Fairhavena.

- Ach, tak - odparł pogrążony w zadumie Markus. - Sądzę, że powinniśmy machnąć na to ręką.

- Nie podzielam pańskiego zdania. Teraz nie mogę sobie przypomnieć... - Beth daremnie próbowała zebrać odporne myśli. - Gdy sobie to wszystko poukładałam w głowie...

- Beth? Na miłość boską! Co się dzieje? - usłyszeli płaczliwy głos Charlotte, która stała w drzwiach wozowni. - Obudziłam się, a ciebie nie było w pokoju, więc... - Na widok Markusa umilkła. Po chwili dodała niepewnie: - Och! Lord Trevithick! Co pan tutaj robi?

- Lady Allerton wszystko pani wyjaśni - odparł skwapliwie i wyprowadził damy na dziedziniec. Gdy podeszli do tylnych drzwi zajazdu, uprzejmie otworzył je przed nimi. - Moim zdaniem powinniśmy teraz wrócić do pokoi i natychmiast zasnąć. Nie ma mowy o wczesnym śniadaniu. Zresztą pośpiech wcale nie jest konieczny. Będziemy podróżować wolno i spokojnie. Dobranoc... raz jeszcze, lady Allerton.

Gdy panie zamknęły za sobą drzwi pokoju, Charlotte zapytała natarczywym szeptem:

- Co się stało? Strasznie zmarzłaś, drżysz jak osika. Dlaczego byłaś w wozowni... i to z lordem Trevithickiem? Nie do wiary!

Beth krótko i rzeczowo opowiedziała o niedawnych wydarzeniach. Milkła jedynie wówczas, gdy Charlotte wydawała okrzyki niedowierzania.

- Fowler dzięki hojności lorda był kompletnie pijany - oznajmiła z goryczą Beth, zbliżając się do końca opowieści. - Domyślasz się, kto czekał na mnie w powozie.

Zdumiona Charlotte wstrzymała oddech i zasłoniła usta ręką.

- Och, kochanie! Co zaszło między wami?

- Nic - skłamała Beth. - Niech to diabli! Miałam taki dobry plan.

- Jestem innego zdania - odparła stanowczo Charlotte - i cieszę się, że spał na panewce. Do czego to podobne? Jak można wyjeżdżać w środku nocy? Ciekawe, co jeszcze wymyślisz? - Twarz Charlotte złagodniała. - Nie pora na rozmowy, obie jesteśmy zmęczone i zdenerwowane. Jutro wrócimy do tej sprawy.

Dziesięć minut później smacznie spała, natomiast Beth długo leżała, nie mogąc zasnąć. Była wściekła, bo nie udało jej się wyjechać zgodnie z planem, a nie miała pojęcia, kiedy znów nadarzy się sposobność, żeby umknąć. Przede wszystkim jednak myślała o Markusie, który zrobił na niej piorunujące wrażenie. Była pod jego urokiem, więc tym bardziej powinna jak najszybciej znaleźć sposób, by się od niego uwolnić. Nie miała do niego zaufania; nie ufała też samej sobie. Gdy leżała z szeroko otwartymi oczami, niemal czuła ciepło jego rąk. Wzbudzał w niej pragnienia, których już nie potrafiła stłumić. Jęknęła cicho, położyła się na boku i zwinęła w kłębek. Nie przywykła leżeć bezsennie w środku nocy i cierpieć z powodu niezaspokojonej żądzy. Te doznania były dla niej nowością, lecz wcale nie czuła się przez to bogatsza i chętnie by się bez nich obyła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po południu zmieniła się pogoda. Nim czwórka podróżnych opuściła Shepton Mallet, niebo było zachmurzone, a gdy mijali Glastonbury, padał już deszcz i wiał silny zachodni wiatr.

- Nie zazdroszczę panom - mruknęła Charlotte, spoglądając przez okno karety na zacinający deszcz. - W otwartym powozie zmokną i okropnie zmarzną. Jeśli utrzyma się taka pogoda, drogi rozmokną i trzeba się będzie zatrzymać w najbliższej gospodzie.

Beth milczała. Spała zbyt krótko i w głębi ducha podejrzewała, że Markus obudził całe towarzystwo dość wcześnie, żeby jej dokuczyć. Przez niego była teraz zmęczona i senna. Sam powiedział wczoraj wieczorem, że nie ma pośpiechu, lecz wbrew temu pól do ósmej zapukał do ich drzwi.

Osowiała i poirytowana Beth nie chciała się wyżywać na Bogu ducha winnej kuzynce. Dziś rano już się posprzeczały, bo Charlotte czuła się dotknięta, że Beth postanowiła wyjechać sama, zostawiając ją na łasce losu. Pogodziły się w końcu, lecz Charlotte omal wszystkiego nie zepsuła, stwierdzając autorytatywnie, że plan kuzynki był idiotyczny i niedopracowany, więc nie dałby żadnych efektów. Beth miała na końcu języka złośliwą uwagę, lecz wolała się nie odzywać. Wiedziała, że racja jest po stronie Charlotte, która powtarzała często, że prawdziwa dama nie toleruje pośpiechu i wszystko toni z namysłem. Beth sama gotowa była także przyznać, że ma obsesję na punkcie Fairhaven, co również nie licowało z godnością arystokratki.

Zirytowana i zmęczona, wierciła się na wyściełanej kanapie powozu, który dziś z niewiadomych przyczyn wydawał jej się niewygodny. Wielogodzinna bezsenność zamiast odkrywczych przemyśleń i wniosków przyniosła tylko znużenie. Beth nadal nie miała pojęcia, jak przechytryć Markusa i przybyć na Fairhaven, zanim on tam dotrze. Wzdychała, spoglądając na strugi deszczu. Nic już nie szło zgodnie z planem. Wyprawa na Fairhaven, która przed kilkoma dniami wydawała się ekscytującą i romantyczną przygodą, wyglądała teraz na marną farsę. Markus trzymał w ręku wszystkie atuty, więc rozsądek nakazywał wycofać się z gry i ustąpić miejsca oponentowi, na co tamten zapewne liczył w głębi ducha.

Sam Markus także był dla niej nie lada problemem. Im dłużej przebywała w jego towarzystwie, tym większe groziło jej niebezpieczeństwo. O miłości wiedziała tyle, co niewinne dziewczątko debiutujące w wielkim świecie. Uciekała przed Markusem, ale odpychając go, próbowała także stłumić uczucie, którym go darzyła. W pewnym sensie

walczyła sama ze sobą. Przyciągał ją niczym magnes. Chętnie by ją uwiódł, gdyby się na to zgodziła, ale nie miała pojęcia, czy naprawdę mu na niej zależy. Z ponurą miną obserwowała krople deszczu na szybie. Być może Markus uznał, że musi ją zdobyć, bo takie są reguły gry, którą ze sobą prowadzili.

Ledwie ta myśl przemknęła jej przez głowę, powóz stanął i w oknie ukazała się jego smagła twarz. Spływały po niej krople deszczu, mokre włosy przylepiły się do skóry, płaszcz nasiąkł wodą. Beth opuściła szybę.

- Miłe panie, pogoda jest fatalna, nie sprzyja podróżowaniu. Niedaleko stąd leży osada zwana Ashlyn. Mieszka tam mój znajomy. Jeśli nie mają panie nic przeciwko temu, pojedziemy do niego na plebanię i poprosimy, aby zechciał udzielić nam schronienia, przynajmniej dopóki nie przestanie padać.

Wyraziły zgodę i oba powozy natychmiast ruszyły.

- Lord Trevithick przyjaźni się z duchownym - powiedziała z uznaniem Charlotte. - Nie może być nikczemnikiem, skoro taki człowiek przyjmuje go w swoim domu.

Beth roześmiała się głośno.

- Daruj, Charlotte, ale czasami bywasz naiwna jak pensjonarka, chociaż jesteś ode mnie starsza. Nie brak duchownych, którzy mają na sumieniu znacznie więcej grzechów, niż plotkarze przypisują lordowi Markusowi. W porównaniu z fałszywymi świętoszkami jest prawdziwym wzorem cnót.

Charlotte naburmuszyła się, ale nie protestowała. Powóz minął solidną bramę i zatrzymał się przed masywnym kamiennym budynkiem znacznie bardziej okazałym od plebani, które znała Beth.

- Widzę, że przyjaciele lorda Trevithicka ładnie się tu urządzili - odezwała się, gdy wszyscy czworo podeszli do ozdobionych tympanonem frontowych drzwi.

Podobne wrażenie odniosła, gdy znaleźli się w środku. Schludna gospodyni natychmiast pobiegła zawiadomić wielbego Marcha, a tymczasem goście podziwiali wykładany marmurem hol, szerokie schody i kolekcję rodzinnych portretów w złotych ramach. Beth przyglądała się wizerunkowi uroczego chłopca, gdy z bocznego korytarza wybiegł niewysoki dżentelmen w grubych okularach. Mrugał oczyma jak typowy krótkowidz. Na widok Markusa uśmiechnął się z rozrzewnieniem i wyciągnął rękę.

- Mój chłopcze! Jak miło znów cię widzieć! A to Justyn! Wielbny March z równym entuzjazmem uściskał dłoń młodszego z Trevithicków. - Twoja droga matka bardzo się ucieszy z tych odwiedzin. Niedawno byłem u niej na herbacie. Jej zdaniem najwyższy czas, żebyś się ożenił. - Duchowny odwrócił się i dostrzegł Charlotte oraz Beth. - Och, cóż za

nietakt! Ale ze mnie gbur! Zechcą panie wybaczyć, ale tak słabo widzę, że z daleka nie dostrzegłem miłych gości. Proszę się na mnie nie gniewać. Witam w moich skromnych progach.

Markus podszedł bliżej i uśmiechnął się lekko.

- Lady Allerton, oto wielebny Theophilus March, mój nauczyciel sprzed lat. Taką pokutę niebiosą wyznaczyły mi za dawne grzechy. Sir, chciałbym przedstawić lady Allerton i jej kuzynkę, panią Cavendish. Jesteśmy w drodze do Devon, ale fatalna pogoda utrudnia podróż, więc proszę nam okazać trochę miłosierdzia...

- Ależ naturalnie! - Theo March ujął dłoń Beth i mocno nią potrząsnął. - Allerton? Cavendish? Mam nadzieję, że nie jest pani krewną Hugo Cavendisha - zwrócił się do Charlotte.

- To daleki kuzyn mojego męża - odparła nieco rozbawiona. - Nie widziałam go nigdy na oczy.

- Niestety, uczyłem tego gagatka. - Wielebny Theo March załamał rękę. - Beznadziejny przypadek. W dzieciństwie był krnąbrny i nieprzewidywalny, a gdy osiągnął wiek męski, sam ściągnął na siebie zgubę. Chwała Bogu, że nie łączą z nim pani więzy krwi.

- Wszyscy doprowadzaliśmy pana czasem do rozpacz - odparł ugodowo Markus. - Pamiętam, że wiedza niełatwo wchodziła mi do głowy.

- Matematyka całkiem nieźle, ale z greki pała - oznajmił belferskim tonem wielebny Theo i zwrócił się do Beth. - Znałem pani męża, lady Allerton. To był człowiek wielkiego umysłu, całkowicie oddany nauce. Bardzo nas zaskoczył - wiadomością o ślubie. Wróćmy jednak do naszych spraw. Pani Morland wskaże państwu pokoje. Na pewno chcecie trochę odpocząć przed kolacją.

- Przepraszam, jeśli poczuła się pani dotknięta uwagami wielebnego Theo - szepnęła Markus do ucha Beth, gdy duchowny poszedł naradzić się z gospodynią. - Brak mu taktu, ale ma złote serce.

Beth uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Zapewniam, że podobnie jak Charlotte nie żywię do niego urazy. Wygląda na oryginała. To bardzo zacnie z jego strony, że zechciał udzielić nam schronienia.

Nie uszło jej uwagi, że zafrasowany Markus od razu się rozchmurzył.

- Cieszę się, że tak pani do tego podchodzi. Wielu ludzi obraża się na niego, bo głosząc kazania, nie przebiera w słowach i mówi szczerze, co myśli. Niektórzy chętnie by go stąd przepędzili, ale pochodzi z zamożnej rodziny, do której należy ta parafia, więc nie da się go stąd usunąć.

Wkrótce zjawiała się pani Morland, która zaprowadziła ich na górę i wskazała pokoje. Beth przypadła ładna, wygodna sypialnia z oknami wychodzącymi na południe. Widziała przez nie odległe wzgórza. Popatrzyła na zegar. Do kolacji zostało jeszcze parę godzin, więc szybko zdjęła wilgotne ubranie i położyła się do łóżka, żeby uciąć sobie drzemkę. Siennik był miękki, kołdra lekka i ciepła. Na wygodnym posłaniu Beth szybko zasnęła. Wkrótce przyśnił jej się Markus. Biegł za nią po plaży, a potem rzucił się w morskie fale. Obudziła się zgrzana i wystraszona, na zmiętej pościeli. Nie wypoczęła jak należy. Za pół godziny miała zejść na kolację, więc niechętnie podniosła się z łóżka, umyła twarz i włożyła wyjściową kreację. Miała ze sobą tylko jedną, ze srebrzystego jedwabiu i koronki. Suknia była trochę pognieciona, więc Beth wezwała pokojówkę, która najpierw zabrała się do prasowania, a potem ułożyła jej włosy i wplotła w nie srebrzystą wstążkę.

Gdy Beth zeszła na dół, całe towarzystwo zebrało się już w salonie. Ucieszyła się, że zadała sobie tyle trudu, aby mimo zmęczenia podróżą ładnie wyglądać tego wieczoru. Panowie w czerni i bieli prezentowali się znakomicie, a Charlotte jak zwykle sprawiała wrażenie osoby, która przed chwilą wyszła z najlepszego salonu mód na Bond Street. U jej boku puszył się Justyn Trevithick, zdecydowany bronić swej wybranki przed wyimaginowanymi adoratorami. Beth pomyślała, że ta feralna podróż ma swoje dobre strony: jedna zakochana para z pewnością stanie na ślubnym kobiercu. Beth była gotowa o to się założyć.

Markus podszedł bliżej i ujął jej dłoń, patrząc z nieukrywanym podziwem, więc tym bardziej cieszyła się, że zadbała o wygląd.

- Lady Allerton, jak zawsze piękna. Czy mogę zaproponować kieliszek znakomitej ratafii? Theo wie, co dobre.

Wkrótce stało się dla wszystkich oczywiste, że wielebny Theo ma nie tylko świetnie zaopatrzoną piwniczkę, lecz także doskonale karmi. Potrawy były znakomite, wina przednie, a uroczy duchowny bawił gości anegdotami z życia parafii i opowiastkami o młodzieńczych wybrykach Markusa. Nim panowie wyszli, żeby wypić porto, wszyscy czuli się jak przyjaciele. Nawet Beth zapomniała o zażartym sporze dotyczącym prawa własności Fairhaven. Pomyślała o tym przelotnie, gdy szykowała się do snu, lecz zdecydowanie odsunęła od siebie ten problem. Uznała, że dopiero jutro stawi mu czoło i dzięki temu spała spokojnie, głęboko, bez męczących snów.

- Fatalnie się czuję! Co za ból! - jęczała Charlotte następnego ranka, siedząc na łóżku. Skrzywiona z bólu śliczna twarzyczka w obramowaniu koronkowego czepka wyrażała obawę i rozpacz. - Sama jestem sobie winna. Nie powinnam jeść deseru. Nasączone sherry ciasto biszkoptowe z owocami i bitą śmietaną to dla mnie zabójcza mieszanka. Przecież wiem, że po

takich słodkościach mam zawsze migrenę. No i proszę! Głowa mi pęka. - Skrzywiła się, gdy Beth uchylili nieco zasłony i promień światła padł na łóżko. - Błagam, nie!

Beth natychmiast zaciągnęła zasłony, podeszła do łóżka i usiadła na brzegu pościelenia. Poranek był śliczny, więc miała ochotę wyjść na świeże powietrze. Chętnie otworzyłaby okna w sypialni chorej, ale wiedziała, że Charlotte nie toleruje światła, kiedy boli ją głowa. Miała też poczucie winy, bo zdawała sobie sprawę, że nie tylko biszkopt z owocami był przyczyną migreny. Wywołały ją również trudy podróży oraz konieczność zawierania nowych znajomości, co wrażliwą kuzynkę całkiem wytrącało z równowagi. Gdyby nie fanaberie i kaprysy Beth, teraz spędzałyby miło czas w swoim londyńskim domu.

- Co ci przynieść, kochanie? Może wodę różaną albo jakiś napój? - spytała troskliwie. Charlotte krzywiąc się z bólu, pokręciła głową. - Naprawdę? W takim razie dam ci spokój.

Beth wyszła z sypialni i cicho zamknęła za sobą drzwi. Po ostrym ataku migreny Charlotte co najmniej jeden dzień dochodziła do siebie, a więc nie było mowy o rychłym wyjeździe. Beth zdawała sobie sprawę, że musi zdobyć się na cierpliwość. Nie miała jej zbyt wiele, lecz znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Nie mogła zostawić kuzynki w potrzebie. Miała tylko nadzieję, że wielebny Theo zechce ich nadal gościć.

W domu panowała cisza. Beth zeszła do jadalni na śniadanie. Zastała tam jedynie Markusa, który siedział przy kominku i czytał gazetę. Na widok Beth natychmiast przerwał lekturę. Wstał z fotela i pomógł młodej damie usiąść przy stole. Przez cały czas czuła na sobie jego przenikliwy wzrok.

- Witam, lady Allerton. Mam nadzieję, że dobrze pani spała.

- Znakomicie. - odparła zgodnie z prawdą. - Niestety, moja kuzynka czuje się fatalnie i dlatego dzisiaj nie opuści pokoju.

- Ogromnie mi przykro - odparł z powagą Markus. - Rozumiem, że nie będzie pani nalegała, abyśmy jak najszybciej ruszyli w dalszą drogę. Co za ulga! Tak się składa, że Justyn pojechał odwiedzić matkę mieszkającą w Nether Stowey, a wielebny Theo został wezwany do chorego parafianina, który podobno dwa razy w miesiącu żegna się z życiem. Moim zdaniem dla obu panów te odwiedziny stały się niezbędnym rytuałem. Theo zabiera parę butelek czerwonego wina, które sączą we dwóch, czekając, aż krowy wrócą z pastwiska. Należy przypuszczać, że nasz gospodarz pojawi się dopiero na kolacji.

- A więc jesteśmy zdani tylko na siebie - podsumowała, spoglądając na niego dość niepewnie.

- We wszystkim - przytaknął z kpiącym uśmiechem. - Nie będę narzucać pani swego towarzystwa, jeśli nie będzie miała pani na nie ochoty, ale byłbym zachwycony, gdybyśmy mogli spędzić razem cały dzień. Co pani na to?

Zawahała się, ukrywając uśmiech, ponieważ jego propozycja wydała jej się nadzwyczaj interesująca. Sięgnęła po grzanekę i wolno smarowała ją masłem.

- Kto wie? Może dam się przekonać...

- Znakomicie! - Markus uśmiechnął się szeroko i podał jej filiżankę herbaty. - Theo, jak przystało na urodzonego ziemianina, posiada nie tylko zadaną piwniczkę, lecz także kilka dobrych koni. Ma pani chęć na konną przejażdżkę?

Beth oczy się zaświeciły. Przy tak pięknej pogodzie grzechem byłoby siedzieć w domu. Uznała, że przejażdżka po okolicy to doskonały pomysł.

- Zgoda. Jestem pewna, że czeka nas bardzo przyjemny dzień, milordzie, jeśli powstrzymamy się od kłótni o Fairhaven.

Uradowany Markus zerwał się na równe nogi.

- W takim razie od tego momentu nie rozmawiamy o wyspie. - Podeszedł do drzwi. - Przepraszam. Dopilnuję, żeby osiodłano konie.

Beth pospiesznie dokończyła śniadanie i pobiegła do swego pokoju, żeby włożyć amazonkę. Poczowała miły dreszcz, przenikający ją łagodnie niczym promień słońca. Nie mogła doczekać się przejażdżki.

Dzień z Markusem bez kłótni o Fairhaven wydawał się nierealną sielanką. To jedynie chwilowy rozejm, nie zaś ostateczne rozstrzygnięcie sporu, ale dobre i to, pomyślała.

Przez jakiś czas jechali konno wiekową zieloną aleją biegnącą z Ashlyn w stronę wybrzeża. Rzadko się odzywali. Słowa nie były potrzebne. Słońce przygrzewało, ptaki śpiewały. Krajobraz przybrał jesienne barwy. Wszechobecny jesienny dym wypełnił powietrze. Beth odczuwała osobliwe zadowolenie oraz spokój, jakiego dotąd nie zaznała. Cieszyła się towarzystwem Markusa, serdecznością jego uśmiechu, brzmieniem głosu oraz lekkim dotknięciem ręki, którym bez słów zwracał jej uwagę na piękny widok albo ciekawostkę. Zamiast ustawicznego niepokoju, który pojawiał się w obecności Markusa, ogarnęło ją poczucie harmonijnego współlistnienia, ale zdawała sobie sprawę, że to ukojenie jest pozorne. Oboje byli świadomi silnego magnetyzmu, który nieustannie ich do siebie przyciągał.

Wkrótce zaczęli się częściej odzywać i chętniej rozmawiali. Markus opowiedział, jaka była jego reakcja na konieczność porzucenia kariery dyplomatycznej i przejęcia rodowej schedy. Beth odwzajemniła się, mówiąc o Mostynach, i a także o swojej przyjaźni z Charlotte

i Kitem. Czas mijał szybko i wkrótce nadeszła pora drugiego śniadania. Markus zaproponował powrót do Ashlyn. Beth ze zgrozą stwierdziła, że mimo wczesnej pory jest okropnie głodna. Zapewne ruch na świeżym powietrzu zwiększył jej apetyt. Trochę żałowała, że wyprawa we dwoje dobiega końca, ale przed nimi jeszcze popołudnie i być może kolejna przejażdżka. Zastanawiała się, czy nie namówić Markusa na grę w bilard. Dawniej często ćwiczyła pod nieobecność Franka i była niemal pewna zwycięstwa. Westchnęła ponuro. Oczywiście ktoś mógłby powiedzieć, że takie rozrywki nie przystoją damie. Pani Morland przygotowała dla nich prosty posiłek złożony z pieczywa, serów i młodego jabłecznika. Charlotte nadal walczyła z migreną, więc jedli tylko we dwoje. Markus był zamyślony i milczący. Kiedy Beth spoglądała na niego, wydawał się niedostępny i zamknięty w sobie. Poważnie zaniepokojona, zadawała sobie pytanie, czy uroczy poranek nie stanowił przypadkiem oryginalnego wstępu do nieprzyjemnej rozmowy, która miała po nim nastąpić. A jeśli Markus oznajmi, że postanowił oddać sprawę do sądu i jest zdecydowany udowodnić przed trybunałem, że ona nie ma żadnych praw do Fairhaven?

- Lady Allerton? - Pytający ton wyrwał ją z zadumy. Natychmiast wróciła do rzeczywistości. - Chciałbym z panią omówić jedną sprawę. Ustaliliśmy wprawdzie, że nie będziemy wspominać o Fairhaven, ale...

Beth aż podskoczyła na krześle, bo jej przecucia tak szybko okazały się prawdą.

- Powiem krótko: chciałem poinformować panią, że nie zamierzam więcej utrudniać pani wejścia w posiadanie tej wyspy - ciągnął Markus. - Wygrała ją pani uczciwie, choć sytuacja była... niecodzienna. - W jego głosie brzmiał ton rozbawienia. - Wiem, że ta posiadłość wiele dla pani znaczy.

Beth zacisnęła powieki, po czym je uniosła. Markus obrzucił ją zagadkowym, trochę kpiącym spojrzeniem.

- Lady Allerton? Nic pani nie jest?

- Mnie... Ależ skąd! Doskonale... się czuje - wykrztusiła z trudem.

To była ostatnia rzecz, której by się po nim spodziewała, i dlatego zabrakło jej słów.

- Tak postanowiłem - mówił dalej poważnie i stanowczo. - Oczywiście nadal chciałbym dotrzymywać pani towarzystwa w czasie tej podróży. Moja obecność bardzo się przyda, kiedy będzie pani wprowadzać na wyspie swoje porządki. Mam nadzieję, że to pani odpowiada.

- Tak, tak, naturalnie. - Beth wiedziała, że sprawia wrażenie mocno roztargnionej i całkiem zbitej z tropu. Wietrzyła podstęp, bo nie była w stanie uwierzyć, że Markus poddaje się bez walki.

- Doskonale! - Uśmiechnął się do niej i wstał od stołu. Przepraszam, że na chwilę zostawiam panią samą, ale wydaje mi się, że pani Morland dostała wiadomość od wielbnego Theo.

Gdy zamknął za sobą drzwi, patrzyła przed siebie niewiającym wzrokiem. W uniesionej dłoni trzymała zapomniany kawałek sera. Postanowienie Markusa tak ją zaskoczyło, że nie była w stanie zebrać myśli i wypytać go o wszystkie szczegóły, aby natychmiast rozwiązać wszelkie nękające ją wątpliwości. Nie miała pojęcia, czy mówił szczerze, czy to kolejny podstęp, który miał uspić jej czujność. Do niedawna była pewna, że spróbuje namówić ją, aby zrezygnowała z wyprawy i wróciła do domu, więc teraz miała w głowie kompletny zamęt.

Zatopiona w myślach, żuła machinalnie kawałek sera. Czy mogła zaufać Markusowi? Z doświadczenia wiedziała, że raczej nie. Do tej pory nie był wobec niej uczciwy: kłamał, cofał dane słowo, oszukiwał. Chciała mu jednak wierzyć. Instynkt podpowiadał, że powinna odrzucić wątpliwości i zdobyć się na całkowite zaufanie. To był dla niej niebezpieczny wybór. Zbyt wiele ryzykowała, a teraz nie mogła sobie na to pozwolić. Musiałaby dać wyraz tłumionym dotąd uczuciom, które do niego żywiła, a wówczas stałaby się bezbronna. Miała wrażenie, że stoi nad przepaścią, a wewnętrzny głos zachęca, żeby śmiało w nią skoczyła. Wrodzona ostrożność nakazywała jednak cofnąć się i przemyśleć sprawę.

Beth westchnęła ciężko. Co za pech, że Charlotte źle się czuje. W przeciwnym razie można by poprosić ją o radę. Po namyśle uznała, że nie warto zwracać się z tym do kuzynki, bo odpowiedź była łatwa do przewidzenia. Charlotte od początku uważała ją za nawiedzoną i kręciła głową na szaloną wyprawę. Dlatego niewątpliwie przykłaśnie Markusowi. Zrobi to z ulgą, więc nie należy przejmować się jej sugestiami, ponieważ była stronniczka. Beth spochmurniała. Poza Charlotte nie miała nikogo, kto mógłby jej doradzić, więc sama musiała podjąć decyzję.

Zafrasowana i pogrążona w smutnych myślach, poszła na górę, żeby sprawdzić, jak się czuje chora. Spała mocno, więc Beth cicho wymknęła się z pokoju. Gdy zeszła do holu, natknęła się na panią Morland.

- Dobrze, że panią widzę, lady Allerton - powiedziała zaaferowana gospodyni. - Mam wiadomość od wielbnego Marcha. Kazał przekazać, że spędzi w Hoveton całe popołudnie. Bardzo prosi, żeby pani nie miała mu tego za złe. - Uśmiechnęła się i dodała: - Zależało mu również, aby lord Trevithick odszukał w piwnicy kilka butelek znakomitego czerwonego bordeaux. Mają je państwo wypić do obiadu. Życzył sobie, żeby jego lordowska mość

przyniósł też słodkie wino do deseru oraz trochę porto. Mówię o tym, bo chcę, aby pani wiedziała, dlaczego lord Markus zniknął na tak długo. Buszuje teraz w piwnicy.

- Dziękuję pani - mruknęła Beth. Odprowadziła spojrzeniem gospodynię, która pobiegła do kuchni, a potem ruszyła wolno ku drzwiom salonu, nieustannie rozmyślając o Fairhaven. Położyła dłoń na klamce i nagle doznała olśnienia. Pomysł był nader śmiały, wręcz szokujący. Nie wiedziała, czy starczy jej odwagi, żeby.

Musiała wybierać: Fairhaven albo Markus. Zaufać mu czy zachować ostrożność... Trudna decyzja.

Na palcach zbiegła po schodach wiodących do piwnicy. Ciężkie dębowe drzwi otwarte były na oścież, a za nimi kamienne stopnie majaczyły niewyraźnie i ginęły w mroku.

i W głębi pomieszczenia o łukowatym stropie migotał płomień świecy. Beth słyszała brzęk szkła. To Markus przekładał butelki, żeby co do joty wypełnić instrukcje wielebnego Theo.

Podczas wczorajszej kolacji duchowny zwierzył się gościom, że ma tylko jeden klucz do piwnicy z obawy, że duplikaty mogą dziwnym trafem dostać się w ręce przyjaciół. Nie wątpił, że ci jako wytrawni koneserzy bez skrupułów podbieraliby mu najlepsze wina. Popatrzyła na drzwi. Klucz tkwił w zamku.

Długo mu się przyglądała, a następnie podkradła się do drzwi i pchnęła je lekko. Chodziły gładko na dobrze naoliwionych zawiasach i zamknęły się bezszelestnie. Obróciła klucz w zamku, wyjęła go i schowała do kieszeni.

Ogarnięta szaloną radością, omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Wbiegła po schodach i popędziła do swojego pokoju. Na szczęście nie rozpakowała się, więc szybko zebrała najpotrzebniejsze przedmioty i wrzuciła je bezładnie do sakwojażu. Zamknęła go na kluczyk. Napisała jeszcze krótki Ust do Charlotte, nasłuchując pilnie, czy z piwnicy nie dobiegają desperackie wrzaski oznaczające, że jej podstęp został odkryty. Żadnych odgłosów. Zupełna cisza. Zeszła po schodach, niezdarnie dźwigając ciężki sakwojaż. Najszybciej, jak się dało, pobiegła do frontowych drzwi i wypadła na ganek. Cieszyła się jak dziecko, że przechytryła Markusa i mimo przeszkód zdołała mu uciec. Teraz ona była górą.

Wioska Ashlyn leżała niedaleko plebanii. Beth szła forsownym marszem, raz po raz oglądając się przez ramię z obawy, że ktoś ją śledzi i zaraz spróbuje zawrócić. Początkowo zamierzała odnaleźć Fowlera i kazać mu zaprzęgać, ale doszła do wniosku, że byłoby przy tym zbyt wiele zachodu. Przygotowanie powozu do drogi jest czasochłonne, a stangret i konie robią dużo hałasu. Od morza dzieliło ją przecież tylko kilka kilometrów. Zakładała, że w Ashlyn wynajmie dwukółkę z woźnicą, który dowiezie ją do portu Bridgwater.

Nie pomyliła się w swoich rachubach. Przed kuźnią stał częściowo załadowany chłopski wóz. Łaciaty wałach leniwie skubał trawę, a jego pan gawędził z kowalem. Obaj z ciekawością przyglądali się maszerującej w ich kierunku Beth.

- Przepraszam bardzo! Dobry człowieku, moglibyście zawieźć mnie do Bridgwater? Dobrze zapłacę...

Furman miał już swoje lata i nie lubił się spieszyć. Popatrzył na kowala. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Zdjął kapelusz, podrapał się w głowę i ponownie go włożył.

Beth omal nie tupała ze złości.

- Dobra - mruknął po długim namyśle. - Niech będzie. Mogę zawieźć jaśnie panią.

Wrzucił sakwojaż na furę, wdrapał się na kozioł i wyciągnął rękę do Beth. Z jego pomocą usadowiła się na ławeczce. Trzepnął lejcamy zad konia i cmoknął na niego. Beth miała wrażenie, że wałach, niezadowolony z nagłej zmiany planów, celowo porusza się w zwolnionym tempie, żeby ją wyprowadzić z równowagi.

- Wydaje mi się, że od morza dzieli nas zaledwie osiem kilometrów. Czy to prawda? - zagadnęła ostrożnie, gdy wyjechali na gościniec.

- No.

- Jedziemy najkrótszą drogą?

- No.

Beth obejrzała się niespokojnie. Wioska oddalała się z wolna. Nikt nie pędził drogą, wrzeszcząc na całe gardło, żeby ją zatrzymać, więc odetchnęła z ulgą i odprężyła się nieco. Kto miałby ją ścigać? Na plebanii została tylko Charlotte i kilkoro służących. Kuzynka zasnęła głęboko, znużona cierpieniem, i obudzi się dopiero za kilka godzin, a kuchnia pomieszczenia dla służby znajdowały się daleko od piwnicy. Sporo czasu minie, nim domownicy zorientują się, że Markus jest w opresji, a i wtedy nieprędko zostanie uwolniony, bo jedyny klucz od piwnicy wielebnego Theo spoczywał w jej kieszeni. Czowała wyraźnie przyjemny ciężar metalu. Furmanka wlokła się wiejską drogą. Zrezygnowana Beth opadła na drewniane oparcie i westchnęła ciężko. Gdy ochłonęła po szalonej radości, poczuła nagle bolesną pustkę. Wmawiała sobie, że to obawa przed samodzielnym decydowaniem o sobie, do którego nie była przyzwyczajona, lecz serce podsuwało inną odpowiedź. Doświadczyli dziś z Markusem stanu idealnej harmonii. Spędzili razem cudowny poranek. Usłyszała od niego, że w sprawie Fairhaven nie będzie się jej sprzeciwiał, ale... nie uwierzyła w te zapewnienia i zniszczyła powstałą nagle więź, decydując się na ucieczkę. Pełna wątpliwości zacisnęła zęby i starała się myśleć tylko o rychłym zwycięstwie. To bez znaczenia, czy mówił

szczerze, cedując na nią prawa do wyspy, czy chciał ją znowu wprowadzić w błąd. Teraz sama mogła wziąć w posiadanie ziemię, która słusznie jej się należała.

Z uporem powtarzała sobie, że nareszcie przechytrzyła Markusa. Powinna być z tego dumna. Dopięła swego... ale za jaką cenę? Nagle zdała sobie sprawę, że ma zamęt w głowie. Targały nią sprzeczne uczucia. Bała się, że lada chwila zacznie płakać.

Wóz posuwał się wolno w stronę wybrzeża. Beth pojęła wkrótce, że wynajęcie furmanki i szybka podróż prosto do celu to sprzeczności nie do pogodzenia. Woźnica zbaczał raz po raz z głównej drogi, żeby dostarczyć towar do okolicznych gospodarstw. Bez pośpiechu wyładowywał przywiezione worki i przyjaźnie gawędził z rolnikami. Zniecierpliwiona Beth miała wrażenie, że na tych pogaduszkach schodzą mu całe godziny. Wkrótce chmury zakryły słońce, zerwał się chłodny wiatr i zaczęło padać. Skuliła się na koźle. Daremnie szukała wzrokiem plandeki albo peleryny od deszczu. Okropnie zmarzła, bo rękawiczki, kapelusz i szal wrzuciła do sakwojażu, a lekki płaszczyk nie stanowił dostatecznej ochrony przed chłodem. Zimne powietrze bez trudu przenikało cienką tkaninę. Zapadał już zmierzch, gdy pożegnała furmana na portowym nabrzeżu w Bridgwater. Opuszczona i bezradna, nie miała pojęcia, co dalej robić. Od dawna nie czuła się tak podle.

- Jak mogła? Co ją skłoniło do takiego postępków? - łkała Charlotte Cavendish, przyciskając do oczu koronkową chusteczkę, zbyt małą, żeby wchłonęła potoki łez. - Wiem, że bywa nieobliczalna, wręcz szalona, lecz nigdy dotąd nie posunęła się tak daleko.

- Moim zdaniem pani kuzynka jest krnąbrna niczym rozkapryszony bachor - wycedził Markus przez zaciśnięte zęby, próbując oczyścić ubranie z lepkich pajęczyn. Obawiał się, że eleganckiego surduta szytego na miarę u najlepszego londyńskiego krawca nikt już nie dopierze.

- Wszystko przez dziwną obsesję na punkcie Fairhaven - rozpaczła Charlotte. - Wydaje mi się, że kiedy w grę wchodzi ta wyspa, Beth przestaje myśleć. Gdyby udało nam się czymś ją zająć, żeby przestała nieustannie o niej marzyć...

- Już ja się o to postaram, kiedy ją dogonię!

Markus popatrzył na zboląłą twarz Charlotte i rysy mu złagodniały. Chora zaledwie pół godziny temu odważyła się wstać z łóżka i natychmiast usłyszała nowinę, że kuzynka opuściła ją w potrzebie, a lord Markus cudem wy dostał się z piwnicy, gdzie został zamknięty na klucz. Niewiele brakowało, żeby zgnębiona Charlotte dostała spazmów, ale jak przystało na kobietę roztropną i dojrzałą, szybko wzięła się w garść, choć nadal była okropnie blada. Markus podziwiał jej dzielność i opanowanie.

- Proszę się nie obawiać - zapewnił spokojniejszym tonem. - Odnajdę lady Allerton, popłynę z nią na Fairhaven, a ja z czasem zamierzam nawet ją poślubić, więc nie musi się pani zamartwiać, co ludzie powiedzą na wspólną eskapadę.

- Chce pan się ożenić z Beth? - Charlotte była zaskoczona i oszołomiona niespodziewaną deklaracją. - Jeśli mam być szczerą, nie mogę pojąć, co pana do tego skłoniło.

- W tej chwili ja również mam z tym pewne trudności - odparł szczerze - ale sądzę, że to nieuniknione. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Czy mogę prosić o nożyczki? Widzę tutaj wystające nitki.

Charlotte postanowiła sama się tym zająć i przez chwilę starannie przycinała sterczące tu i ówdzie luźne strzępki tkaniny.

- Skąd pan wiedział, że w piwnicy jest tylne wyjście? Markus roześmiał się głośno.

- Ta wiedza została mi z czasów pierwszej młodości. Byłem wówczas znany z szaleńczych wybryków. Wielebny March wspomniał mimochodem podczas lekcji, że z piwnicy do ogrodowej lodowni wiedzie podziemny korytarz. Pewnego dnia tak długo szukałem, aż odkryłem to przejście. Wydawało mi się wtedy znacznie obszerniejsze, ale miałem czternaście lat.

Charlotte zadrżała.

- Boję się myśleć, co powie wielebny March, kiedy usłyszy, że zniknął jedyny klucz od jego piwnicy.

- Mam nadzieję, że pani go jakoś ułagodzi - odparł pogodnie Markus i popatrzył na Justynę, który stanął w drzwiach salonu. - Powóz gotowy?

• Stoi przed gankiem - potwierdził z uśmiechem Justyn i podszedł bliżej. - Wyprawiłem posłańca do Bridgwater, żeby McCrae był przygotowany na twój przyjazd i natychmiast wszczął poszukiwania. Proszę się nie obawiać, łaskawa pani. - odwrócił się pospiesznie do Charlotte. - Mój kuzyn na pewno odnajdzie lady Allerton i zadba o jej bezpieczeństwo. Markus poklepał go po ramieniu.

- Wybacz, stary, że nie zabieram cię ze sobą, ale ktoś musi tutaj zostać. Ty najlepiej poradzisz sobie z wielebnym Theo i dopilnujesz, żeby pani Cavendish bezpiecznie wróciła do domu. - Nie uszło jego uwagi, że tamci dwoje, wyraźnie uradowani i trochę zakłopotani, ukradkiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Uśmiechnął się i podszedł do drzwi.

- Trzeba ruszać, bo konie marzną. Aha, jeszcze jedno, kuzynie - rzucił na odchodnym. - Mogę się założyć, że nasz wielebny najbardziej zmartwi się chwilowym brakiem dostępu do ukochanej piwniczki. Możesz go zapewnić w moim imieniu, że klucz zostanie mu odesłany

niezwłocznie przez umyślnego, gdy tylko zdołam wydostać ten bezcenny przedmiot z zaciśniętej piąstki lady Allerton.

Mimo późnego popołudnia i zapadającego zmierzchu nabrzeże w Bridgwater tętniło życiem. Rzeką przyływały niezliczone barki. Beth musiała lawirować wśród beczek pełnych śledzi i węglowych usypisk. Nie zwracała uwagi na spojrzenia ciekawskich żeglarzy oraz rzucane od czasu do czasu grubiańskie zaczepki. Nim tu przybyła, wydawało jej się, że bez trudu wynajmie łódź, żeby popłynąć na Fairhaven, na miejscu uświadomiła sobie jednak, że nie ma pojęcia, jak się do tego zabrać. Przy nabrzeżu cumowało wiele statków, ale nie mogła przecież wejść na pokład i zapytać, czy kapitan zechce z nią popłynąć w taki rejs. Z trudem dźwigała sakwojaż, który wydawał się teraz dwa razy cięższy niż przedtem. Gdy doszła niemal na skraj północnego nabrzeża i nie miała pojęcia, co ze sobą dalej począć, dostrzegła rozładowywaną właśnie brygantynę. Załoga wynosiła na brzeg cytryny w ogromnych koszach, a kapitan zwijał grube liny. Uśmiechnął się do Beth i uchylił czapki. Zachęcona odrobiną kurtuazji, odważyła się do niego podejść.

- Przepraszam pana, chciałabym zapytać, czy jakiś statek odpływa wkrótce na Fairhaven. Muszę się tam dostać.

- Jutro płynie jeden - odparł kapitan, wytyczając wzrok w zapadającym zmierzchu. - Stoi przycumowany trochę dalej, za kwadratowym żurawiem. O tam... pani zobaczy. - Wskazał łódź znajdującą się w odległości pięćdziesięciu metrów. - Piękna sztuka - ciągnął z podziwem. - Starannie wykonana. Doskonała robota. Podobno zbudowano ją dla francuskich korsarzy, więc ma już swoje lata, ale trzyma się świetnie i jest bardzo szybka.

Zaintrygowana Beth z ciekawością obserwowała statek. Prezentował się znakomicie na tle ciemniejącego nieba. Burtę ozdabiał wizerunek mewy w locie oraz wymalowana starannie nazwa jednostki: „Marie Louise”. Powrócił z przeszłości głos niani, która przed łąty opowiadała jej w Mostyn rodzinne legendy.

- Twój dziadek miał śliczny statek, który nazywał się „Marie Louise”, bo takie imię nosiła jego mama, która była Francuzką. Na burcie wymalowano mewę, po francusku *la mouette*...

Wredny Trevithick zagarnął nie tylko wyspę oraz miecz, lecz i ten piękny statek. Beth westchnęła spazmatycznie, a kapitan popatrzył na nią, wyraźnie zaniepokojony.

- Źle się pani czuje?

Milczała, nie mogąc wykrztusić słowa. Przy burcie „Marie Louise” stali na kamiennym nabrzeżu dwaj rozmawiający z ożywieniem mężczyźni. Jeden był szczupły, niemal wychudzony. Miał na sobie staromodną kamizelkę i czarne spodnie. Tłumaczył coś

wysokiemu brunetowi, który wydawał się niezwykle elegancki, chociaż ubranie miał nieco zniszczone. Na białą lnianą koszulę narzucił zwykły płaszcz z grubo tkanej wełny. Morska bryza rozwiewała mu ciemne włosy. Beth przycisnęła dłonie do ust, odruchowo cofnęła się o krok i omal nie straciła równowagi, potknąwszy się o zwiniętą linę. Jej dziwne zachowanie zwróciło uwagę chudego jegomościa, który położył dłoń na ramieniu swego rozmówcy, a ten odwrócił się natychmiast.

Beth nie mieściło się w głowie, że mężczyzna, którego przed kilkoma godzinami zamknęła w piwnicy, stoi teraz na nabrzeżu w Bridgwater i wydaje dyspozycje dotyczące załadunku „Marie Louise”. Ten piękny statek był zapewne jego własnością. Jak Markus wydostał się ze swego więzienia? W jaki sposób pierwszy dotarł do portu? Takie wątpliwości kłębiły się w jej głowie, gdy wykonała nagły zwrot, gotowa do panicznej ucieczki. Markus był szybszy. Błyskawicznie pokonał dzielącą ich odległość, a gdy Beth wpadła na słup i omal się nie przewróciła, mocnym ramieniem objął ją w tali i porwał na ręce.

Przez moment szlochała ze strachu i złości, ale w głębi ducha poczuła ulgę.

- Lordzie Trevithick...

- Lady Allerton? - rzucił groźnie.

Wychudzony jegomość podbiegł do nich, dysząc ciężko.

- Milordzie...

- Wszystko w porządku, McCrae - przerwał Markus zmienionym głosem, nie wypuszczając Beth z objęć. - Niech pan odwoła poszukiwania. Tu jest sakwojaż lady Allerton. Proszę go wziąć. Zobaczymy się później w gospodzie „Pod Śpiącym Żeglarzem”.

Popatrzył na Beth, a ciemne oczy załśniły gniewnie. Skuliła się odruchowo.

- Jeśli chodzi o panią, lady Allerton, rozmówimy się od razu. Na osobności. Zda mi pani sprawę ze wszystkich swoich postępów. Ostrzegam, że to nie będzie przyjemna pogawędka.

Gospoda „Pod Śpiącym Żeglarzem” nie przypominała zajazdów, w których Beth zatrzymywała się w podróży. Mimo dość wczesnej godziny powietrze w lokalu cuchnęło piwem i tytoniem. Hałas był ogłuszający. Zewsząd dobiegał tubalny śmiech i głośne rozmowy, które przeszły w lubieżny wrzask gdy Markus torował sobie drogę w zatłoczonej sali, niosąc na rękach Beth.

- Fajną lalunię pan sobie przygruchał, milordzie. Jak pan z nią skończy, też się chętnie zabawimy!

Beth próbowała się wyrwać z żelaznego uścisku.

- Lordzie Trevithick, dość tego! Jak pan śmie wystawiać mnie na pośmiewisko? Dlaczego muszę znosić haniebne uwagi tych prostaków?

- Sama pani jest sobie winna. Trzeba było nie robić głupstw - odparł surowo Markus. - Będę wdzięczny, jeśli przestanie się pani wrywać. W przeciwnym razie posadzę panią na kolanach pierwszego lepszego spośród tych obwiesiów. Niech robią z panią, co chcą! Po usłyszeniu tej groźby Beth przytuliła policzek do jego - rumienia i starała się nie słyszeć plugawych wrzasków gawiedzi. Wkrótce odniosła wrażenie, że naprawdę cichną. Rzeczywiście tak było, ponieważ opuścili główną salę. Markus szedł na górę po schodach, niosąc ją dość nonszalancko. Można by pomyśleć, że zamiast wytwornej damy trzyma w objęciach worek kartofli. Z powodu jego nieuwagi ocierała się stopami o szorstką ścianę, a łokciem boleśnie uderzała w balustradę. Otworzyła oczy i już miała zaprotestować, lecz jedno spojrzenie Markusa wystarczyło, żeby grzecznie zamknęła usta i zacisnęła powieki.

Bezlitosny prześladowca otworzył drzwi ciasnego pokoiku i bezceremonialnie rzucił ją na łóżko. Podskoczyła kilkakrotnie na sprężystym, dobrze wypchanym sienniku, a potem wyzuta z godności, znieruchomiała ze spódnicą owiniętą wokół kostek i włosami rozsypanymi na poduszce, bo wypadły z nich wszystkie szpilki.

- Au! Czy naprawdę musi pan zachowywać się tak grubiańsko, milordzie? Dlaczego zawłókl mnie pan do tej jaskini rozpusty? Chcę natychmiast wrócić do Ashlyn...

- O, nie, milady - przerwał Markus z ponurą miną. - Postawiła pani wszystko na jedną kartę, żeby tutaj dotrzeć. - Kopniakiem zamknął drzwi i odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Ciemne oczy ciskały błyskawice.

- Nie mam ochoty z panią rozmawiać - ciągnął gniewnie - ale jest kilka spraw, które musimy sobie wyjaśnić. Pomijam sztubacki wybryk, przez który spędziłem trochę czasu zamknięty w piwnicy Theo Marcha. Najbardziej przeraża mnie, że uciekła pani z Ashlyn, próbując za wszelką cenę dostać się na Fairhaven. Sama jedna! - Gwałtownie przegarnął dłonią ciemne włosy. - Proszę tylko pomyśleć, co przeżywała pani kuzynka, gdy prawda wyszła na jaw. Czy to pani w ogóle nie obchodzi? Ma pani tyle rozumu co rozkapryszony bachor. Za takie psoty należy się porządne lanie. Beth zarumieniła się jak piwonia.

- Milordzie!

- Milady! - Popatrzył na nią gniewnie. - Najwyższy czas, żeby ktoś powiedział pani kilka słów prawdy. Nie spotkałem dotąd kobiety równie irytującej i nieobliczalnej jak pani. Teraz wychodzę, bo czeka na mnie McCrae. Muszę z nim przedyskutować ostatnie szczegóły dotyczące jutrzejszej przeprawy. Zamknę drzwi na klucz. Robię to dla pani bezpieczeństwa. Jakież uwagi?

Beth patrzyła na niego bez słowa. Była tak wystraszona że wołała milczeć. Po chwili zebrała się na odwagę i mruknęła potulnie:

- Ja... Markusie, bardzo przepraszam...

- Nie chcę tego słuchać - przerwał i ruszył ku drzwiom. Stojąc w progu, odwrócił się do niej. - Zarygluję drzwi tak, jak zapowiedziałem. A skoro już o tym mowa, proszę mi natychmiast oddać klucz do piwnicy Theo.

Beth niezdarnie pogrzebała w kieszeni, coraz bardziej zdenerwowana, bo Markus obserwował ją z bezlitosnym wyrazem twarzy. Gdy położyła klucz na jego wyciągniętej dłoni, prychnął z oburzeniem, unikając jej wzroku i znowu podszedł do drzwi.

- Porozmawiamy później, o ile uda mi się zapanować nad złością. Wolałbym na panią nie krzyczeć. Do mego powrotu niech pani stara się nie zwracać na siebie uwagi. Proszę ale podchodzić do okna. Odradzam błagalne jęki, skargi na hańbiącą niewolę i prośby o ratunek. Chyba nie byłoby dobrze, gdyby ci obwiesie ruszyli hurmem na górę i wyłamali drzwi. Najwyższy czas okazać trochę zdrowego rozsądku, lady Allerton.

Zakończył gniewną tyradę i trzasnął drzwiami. Beth usłyszała chrzęst klucza obracającego się w zamku.

Dochodziła jedenasta, a Markus jeszcze nie wrócił. Po jego wyjściu sterana pracą zaufana służąca przyniosła miskę tłustego gulaszu z wołowiny. Beth jadła bez apetytu, wsłuchana w hałasy dobiegające z dołu. Miała wrażenie, że rubasznych biesiadników ciągle przybywa, a ich zabawy stają się coraz bardziej hałaśliwe. Pokoik był zimny i brudny, lecz do głowy jej nie przyszło, żeby z niego uciec. Zdawała sobie sprawę, że taka eskapada mogłaby się dla niej źle skończyć. Snuła najrozmaitsze domysły, bo intencje Markusa były dla niej niewiadomą. Raczej nie zamierzał wykorzystać dzisiaj sam na sam, żeby ją skompromitować, ale w tej kwestii niczego nie była już pewna, irytowało ją własne poczucie bezradności. Po raz kolejny straciła panowanie nad sytuacją... przez własną głupotę i niechęć do racjonalnego myślenia. Żałowała teraz, że dała się ponieść emocjom i uciekła w najmniej odpowiednim momencie. Mogła zyskać o wiele więcej, gdyby rzeczowo i spokojnie rozmówiła się z Markusem. Musiała teraz wypić piwo, którego nawarzyła. Lord Trevithick był na nią okropnie zły. I słusznie.

Drżąc z zimna, uznała jednak, że istniały powody, aby mu nie dowierzać. Gdyby od początku postępował honorowo, miałby prawo robić jej wyrzuty. W sumie byli sobie wari. Oboje mieli nieczyste sumienie. U Markusa do głosu doszła także urażona męska duma. Jeśli ostatnia jego obietnica została złożona w dobrej wierze, o czym solennie zapewniał, szkody

wynikające z ucieczki Beth okażą się zapewne nie do naprawienia. Markus był tak zagniewany, że nie dopuszczał jej do głosu i nie chciał przyjąć szczerych przeprosin.

Ogień na kominku dawno zgasł. Beth szykowała się do snu przy marnej świeczce. Pościel była przybrudzona. Beth przewróciła ją na drugą stronę. Gdy zdejmowała prześcieradło, miała wrażenie, że z siennika wyskoczyła pchła. Położyła się w ubraniu, lecz mimo to drżała z zimna. Przez te wszystkie niewygody drzemała tylko, a nie spała głębokim snem, więc gdy Markus wszedł do pokoju, natychmiast się ocknęła.

- Lady Allerton? Pani już śpi?

Otworzyła oczy i próbowała ocenić, czy jest pijany, czy trzeźwy. Biła od niego mocna woń alkoholu, lecz gdy w migotliwym blasku świecy zerknęła na ponurą twarz, wyglądał dość przytomnie. Jego głos był równie donośny, dźwięczny i... opryskliwy jak parę godzin temu. Zrobiło jej się ciężko na sercu, gdy uświadomiła sobie, że złość mu jeszcze nie przeszła. Z trudem usiadła na łóżku. Markus opadł ciężko na brzeg pościeli i zaczął zdejmować buty.

- Co... Co pan robi? Popatrzył na nią jak na idiotkę.

- A jak pani myśli? Kładę się do łóżka.

- Tutaj? - Beth zacisnęła dłonie na pościeli. - Co ludzie powiedzą?

Tym razem twarz Markusa przybrała wyraz pobłażliwego rozbawienia.

Proszę mi wierzyć, lady Allerton, nikt z bywalców tego lokalu nie dałby złamanego grosza za pani reputację. Są głęboko przekonani, że wziąłem panią jak swoją, i domagali się, żeby im opowiedzieć, jak było. - Rzucił buty w kąt pokoju rozpiął płaszcz. - Poza tym trochę za późno na takie skrupuły! Awanturnica podróżująca po kraju bez należytej opieki, która w środku nocy ucieka towarzyszącej podróży, zamyka dzentelmena w piwnicy i o zmierzchu sama jedna przechadza się portowym nabrzeżem, nie ma pojęcia, czym są konwenanse i dobre maniery. - Markus znowu spochmurniał. - Jedno chciałbym wiedzieć. Czy pani nieufność wobec mnie jest tak głęboka, że nakazuje kwestionować wszystkie moje słowa i obietnice? Łudziłem się, że zaczynamy wierzyć sobie nawzajem.

Beth przyglądała mu się w blasku świecy. Minę miał zaciętą, twarz skurczoną ze złości, ale w jego spojrzeniu malowały się też inne uczucia, których nie potrafiła dokładnie określić: Może cierpienie? Albo poczucie zawodu? Było jej teraz podwójnie przykro, bo sprawiła mu ból i niesprawiedliwie go oceniła. Długo patrzyli sobie w oczy. Markus pierwszy odwrócił wzrok i westchnął ciężko.

- Dlaczego położyła się pani do łóżka w ubraniu i czemu leży pani pod narzutą, a nie pod kołdrą?

Beth również westchnęła. Markus tak bardzo się do niej uprzedził, że każdy drobiazg był dla niego pretekstem do surowej krytyki.

- Okropnie zmarzłam. Na domiar złego w sienniku są pchły. Ale proszę się tym nie przejmować. Niech pan sobie poszuka lepszej kwatery. Proszę przenocować na statku. Ma pan tam zapewne wygodną kajutę, milordzie. Markus roześmiał się głośno.

- Chce pani zostać tu na noc bez opieki? To mniejsze zło? Beth pokazała mu plecy.

- Skoro postanowił pan spać w gospodzie, proszę usadowić się wygodnie w fotelu.

Oburzony Markus prychnął głośno.

- Niech pani nie będzie śmieszna! Proszę łaskawie posunąć się trochę. Zagarnęła pani dla siebie całe łóżko.

Beth pisnęła nerwowo i odskoczyła, gdy siennik ugiął się pod ciężarem Markusa, który położył się obok niej w spodniach i koszuli. To mu się chwaliło, ale dlaczego był taki zwalisty i czemu przysunął się tak blisko? Niepotrzebnie wyciągnął ramię i gwałtownym ruchem obrócił ją tak, że przylgnęła plecami do jego boku. Zdradliwy siennik ugiął się jeszcze bardziej, a Beth wylądowała w objęciach Markusa.

- Naprawdę pani zmarzła - mruknął łagodniej, gdy dotknął lodowatych dłoni i stóp. Przytulił ją mocniej i okrył ich oboje kołdrą. - Zaraz się rozgrzejemy. Pora spać.

Beth od razu zrobiło się gorąco. Jej głowa spoczywała na muskularnym ramieniu. Dłoń leżąca na szerokim torsie przez cienki materiał koszuli chłoneła przyjemne ciepło smagłej skóry. Regularny oddech owiewał jej szyję. Zapomniała o senności i zmęczeniu, kiedy Markus przylgnął do niej całym ciałem. Słyszała mocne bicie jego serca. Po raz pierwszy w życiu leżała wtulona w zasypiającego obok mężczyznę. Gdy była żoną Franka, mieli oddzielne sypialnie i rzadko dzielili łożę. Mąż przychodził do niej czasami, aby wypełnić obowiązek małżeński, ale szybko wracał do siebie, ledwie Uczynił zadość nużącej powinności.

Beth leżała nieruchomo. Czuła wzbierające pożądanie i przyjemne zadowolenie. Markus obejmował ją ramieniem, dłoń umieścił pod piersią. Świadomość jego bliskości nie pozwalała zasnąć. Wkrótce jednak przyjemnie rozgrzana Beth zaczęła stopniowo poddawała się senności i rozleniwieniu.

Markus lekko uniół głowę i mruknął kpiąco:

- Radziłbym od czasu do czasu zaczerpnąć powietrza i swobodnie odetchnąć, bo znów wpakuje się pani w kłopoty. A może suknia jest zbyt ciasna? - spytał nieco zmienionym głosem. - Czy dlatego nie może pani oddychać? W takim razie trzeba ją zdjąć...

Beth prychnęła głośno, oburzona tą sugestią, i próbowała się odsunąć. Daremnie, ponieważ objął ją mocniej.

- Proszę się nie obawiać. Żartowałem. Radzę teraz zasnąć i dobrze wypocząć przed jutrzejszą przeprawą. Będziemy płynąć niemal cały dzień.

Beth otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę dotrzemy jutro na wyspę?

- Oczywiście - przytaknął Markus sennym głosem. - Obiecałem i dotrzymam słowa.

- Ale...

- Żadnych ale. - Poruszył się lekko, żeby głowa Beth spoczywała wygodniej na jego barku. - Dość gadania. W przeciwieństwie do pani jestem wykończony. Porozmawiamy jutro.

Po chwili zaczął oddychać coraz wolniej i bardziej regularnie, co oznaczało, że zapadł w głęboki sen. Jakiś wewnętrzny głos przekonywał Beth, że powinna się na niego obrazić, bo tak łatwo zasnął, choć trzymał ją w objęciach. Zapewne przywykł sypiać w damskim towarzystwie, ale dla niej mężczyzna w łóżku był prawdziwą nowością, a bliskość Markusa zmysłową torturą.

Myślała również o przeprawie na Fairhaven. Jutro mieli tam razem popłynąć. Próbowała to sobie wyobrazić, ale po trudach minionego dnia poczuła się znużona. Najpierw trochę drzemała. Po pewnym czasie ciepło, wygoda i poczucie bezpieczeństwa sprawiły, że zapadła w głęboki sen.

Markus obudził się, gdy pierwszy brzask rozświetlił okno. Z pobliskiego nabrzeża dochodziły odgłosy porannej krzątania. Otworzył oczy i uświadomił sobie, że w nocy ułożyli się inaczej niż przed zaśnięciem. Leżał teraz mocno przytulony do pleców Beth. Przypominali srebrne łyżeczki umieszczone jedna przy drugiej w ciasnym etui. Długie, ciemne włosy lady Allerton rozsypały się na poduszce, a twarzyczka była łagodna i spokojna jak u dziecka. Uśmiechnął się i przyznał w duchu, że wczoraj odnosił się do niej okropnie.

Gdy ujrzał tę uroczą wariatkę na portowym nabrzeżu, był tak rozwścieczony, że nie dbał, czy zrani jej uczucia. Jako oszustka i uciekiniarka nie zasługiwała na żadne względy. Jasno i wyraźnie powiedział jej przecież, że spór o Fairhaven uważa za niebyły i że godzi się oddać wyspę, a nawet pomóc w jej przejęciu. Beth mu nie uwierzyła. Uciekła, żeby postawić na swoim. Omal nie osiwił ze zmartwienia, wyobrażając sobie najgorsze. Doskonale wiedział, że samotna kobieta podróżująca bez opieki narażona jest na tysięczne niebezpieczeństwa.

Opuszkami palców odsunął ciemne kosmyki zasłaniające zarumienioną twarz. Wtulona w niego, poruszyła głową, układając się wygodniej w zagłębieniu jego barku.

Odruchowo przesunął ramię, dostosowując się do nowych wymagań. Miał świadomość, że po dzisiejszej nocy zaszarganą reputację Beth można uratować tylko w jeden sposób. Nie martwił się tym, bo myśl o małżeństwie rozważał niemal od pierwszego spotkania. Problem w tym, jak ona zareaguje na oświadczenia. Z ponurą miną zastanawiał się, czy go przyjmie. Nadal miała obsesję na punkcie rodzinnych legend osnutych wokół historii Fairhaven. Bohaterowie tych opowieści byli dla niego groźnymi rywalami... przeciwnikami nie do pokonania. Pozostawało tylko jedno wyjście. Musiał zabrać Beth na Fairhaven, żeby z pierwszej ręki dowiedziała się, kim był naprawdę jej straszny dziadunio. Markus żywił nadzieję, że po takiej lekcji Beth przestanie żyć wspomnieniami o antenatach, że skupi się na sobie i zwróci się ku przyszłości. Gdy przejrzy na oczy, zrozumie, że z nim powinna iść przez życie. Westchnął ciężko. Mogłoby się wydawać się, że łatwo ją będzie przekonać do takiej wizji, ale to jedynie pozory. Czekała go trudna walka z cieniami przeszłości. Stawką w tej grze było jej serce. Nie wiedział, czy je zdobędzie. Kto ma do czynienia z Beth Allerton, niczego nie może być pewny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Beth siedziała pod ścianą sterówki. Nogi miała okryte pledem. Markus namawiał ją, żeby została w jednej z kajut po pokładem, więc usłuchała, ale gdy odbili od brzegu, łódź zaczęła się mocno kołysać. Beth natychmiast dostała mdłości i postanowiła wyjść na świeże powietrze. Jeden z marynarzy zlitował się nad pasażerką. Drewniane skrzynki oraz koce posłużyły mu do wykonania prowizorycznego siedziska. Statek nadal unosił się w górę i opadał w dół z nużącą regularnością, a linia horyzontu zdawała się rytmicznie podskakiwać przed oczyma Beth, lecz wilgotna bryza i przesycone solą morskie powietrze odświeżały przyjemnie i dawały ukojenie.

Nie uszło jej uwagi, że Markus nie odczuwa żadnych przykrych dolegliwości. Sporo czasu przesiedział w sterówce, rozmawiając ze sternikiem. Wykonywał również wszelkie prace, które w danym momencie były najpilniejsze: związał cumy, stawiał żagle albo pomagał zwykłym marynarzom, którzy doceniali jego wysiłki. Jeden z nich z wielką atencją wyrażał się o żeglarskich umiejętnościach pryncypała, inni zerkali z aprobatą. Beth nie знаła dotąd Markusa od tej strony.

Niestety, choć z marynarzami był w doskonałej komitywie, wobec niej zachowywał się niemal wrogo. Od rana się do niej nie odzywał, jeśli nie liczyć zdawkowej rozmowy podczas nędznego śniadania w gospodzie, na które składała się wodnista owsianka oraz stęchły chleb. Beth poprosiła, żeby odwiózł ją do Ashlyn. Popatrzył na nią surowo i oznajmił, że jeśli ma ochotę, może tam wrócić. Dodał natychmiast, że postanowił odwiedzić Fairhaven, więc skoro zadała sobie tyle trudu, żeby tam dotrzeć, mogłaby równie dobrze dotrzymać mu towarzystwa.

Kiwnęła głową i na tym zakończyli rozmowę. Nie śmiała pytać o szczegóły dotyczące przeprawy. Markus patrzył na nią z kamienną twarzą. Był równie przykry i odpychający jak poprzedniego wieczoru. Zdawała sobie sprawę, że wciąż jest w niełasce. Po marnym śniadaniu poszła z nim do portu, gdzie cumował statek gotowy do odpłynięcia. Wkrótce odbili od brzegu i nie można już było się cofnąć.

Beth drżała, choć otuliła się ciepłym pledem. Przed dziobem statku widziała szarość morskiej toni, za rufą oddalający się port i wzgórze Devon, które z każdą chwilą coraz bardziej nikły w oddali. Markus twierdził, że dopiero późnym popołudniem dotrą na Fairhaven, ale Beth czas żeglugi wcale się nie dłużył. Jeden dzień to nic w porównaniu z wieloletnim oczekiwaniem.

Po godzinnej drzemce obudziły ją lekkie mdłości. Była znużona i rozbita, jakby wcale nie spała. Słońce wyglądało zza rzadkich chmur; wiał silny wiatr. Poczula mocny aromat gulaszu i żołądek podszedł jej do gardła. Na widok Markusa odwróciła głowę. Widziała tylko bosa stopy szeroko rozstawione na deskach pokładu oraz talerz z jedzeniem, który trzymał w ręku. Obrzucił ją badawczym spojrzeniem i omal się nie uśmiechnął. Biedactwo! Podniosła głowę, więc znowu przybrał gniewny wyraz twarzy.

- Widzę, że morska choroba poważnie daje się pani we znaki, lady Allerton.

Beth oddychała płytko, żeby nie czuć mdlącego zapachu, który unosił się znad talerza. W końcu, zdesperowana, musiała zatkać sobie nos, co zapewne nie licowało z godnością damy. W tym momencie jednak była to dla niej sprawa drugorzędna.

- Milordzie, byłabym bardzo zobowiązana, gdyby zechciał pan łaskawie zostawić mnie samą. I proszę zabrać to cuchnące jadło!

Markus oddalił się bez pośpiechu. Na odchodnym rzucił pogodnie:

- Proszę mnie zawołać, gdyby potrzebowała pani miednicy.

Pół godziny później Beth uznała, że jest za zimno, by siedzieć bez ruchu. Najchętniej zeszlaby do kajuty i zasnęła, ale na samą myśl o dusznej klitce pod pokładem robiło jej się niedobrze. Podeszła do burty statku i patrzyła na spienione fale. Była zmarznięta, chora i opuszczona przez wszystkich. Inaczej wyobrażała sobie rejs na Fairhaven.

Kiedy o tym pomyślała, uświadomiła sobie, że niewiele uwagi poświęcała praktycznej stronie wymarzonej podróży. Ponośli ją wyobrażenia. Nie liczyły się dla niej mało istotne i dość uciążliwe szczegóły, takie jak wysokie fale czy morska choroba. Oczyma duszy widziała jedynie tryumfalny wjazd do zamku swego dziadka. Po namyśle doszła do wniosku, że przez ten brak przezorności zrobiła z siebie idiotkę. Przygnębiała ją również obojętność Markusa i brak zainteresowania ze strony *jego* załogi. Marynarze mieli pełne ręce roboty, więc z lekceważeniem traktowali kaprysy i fochy przesadnie wrażliwej damulki.

Zziębnięta Beth nudziła się jak mops. Otulona pledem spacerowała po pokładzie, obserwowała mewy, które z piskiem leciały za rufą, wpatrywała się w odległy horyzont i patrzyła na statki płynące z Bristolu. Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność.

- Ziemia! Ziemia!

Beth tak długo spoglądała w fale, że gdy zabrzmiał ten okrzyk, była jak zahipnotyzowana. Odwróciła się w stronę bocianiego gniazda i zobaczyła Markusa idącego ku niej z lunetą w ręku.

- Fairhaven na sterburcie - oznajmił krótko. - Chce pani zobaczyć, lady Allerton?

Beth podeszła z nim do burty statku i nieufnie popatrzyła przez lunetę, szukając w oddali samotnej wyspy. Po chwili dostrzegła potężne granitowe urwisko, odcinające się od spienionych fal, choć z daleka wszystko zdawało się szare. Morze, niebo i ziemia przybrały grafitową barwę. Chmury wiszące nisko nad horyzontem spowijały wyspę niczym zwiewny welon. Niezwykle piękny, choć surowy pejzaż.

- Nie mogę uwierzyć, że nareszcie tu jestem - powiedziała Beth, oddając Markusowi lunetę. Oczy miała pełne łez. - Zachwycił mnie ten widok, milordzie.

Markus patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Wydawał się rozbawiony, a zarazem trochę smutny.

- Musi pani bardzo kochać tę wyspę, skoro tak ją pani widzi, lady Allerton. Według mnie to piekielne pustkowicie, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Podszedł do sternika i wydał mu kilka komend. Po serii skomplikowanych manewrów ominęli niebezpieczne skały wystające z morskiego dna koło wyspy Rat. Markus naradził się ze sternikiem, gdzie rzucić kotwicę na redzie niewielkiego portu. Beth ledwie słyszała ich glosy. Stała przy burcie i jak urzeczona wpatrywała się w zamglone kontury wolno zbliżającej się wyspy. Jej ubranie przesiąkło morską wilgocią i drobną mżawką padającą z szarego nieba, ale nie zwracała na to uwagi. Spełniało się jej największe marzenie. Była o krok od jego urzeczywistnienia. Wkrótce postawi stopę na swojej wyspie!

Gdy podpłynęli bliżej, ujrzała wyraźnie mury zamczyska oraz dachy domów niewielkiej wioski, która przycupnęła na skraju urwiska. Widziała teraz w całej okazałości wschodni skraj Fairhaven. Zrozumiała wkrótce, co miał na myśli Markus, nazywając wyspę piekielnym pustkowiem. Ani jednego drzewa. Żadnych zarośli. Tylko strome skały klifowego wybrzeża i wrzaskliwe ptactwo.

- Nie widzę lasów ani sadów - powiedziała cicho, gdy Markus znowu do niej podszedł. - Nic tam nie rośnie?

- Colin twierdzi, że zboże udaje się nieźle. - Ruchem głowy wskazał chudego Colina McCrae. - Moja ciotka uprawia niewielki ogród pod osłoną zamkowych murów. Hoduje też owce i wciąż narzeka, że właza jej w szkodę i zjadają najpiękniejsze rośliny.

- Pańska ciotka mieszka na Fairhaven? - Beth zmarszczyła brwi.

- Owszem. - Uśmiechnął się pobłażliwie. - Chyba nie sądzi pani, że to bezludna wyspa. Mój stryj, wielbny John Trevithick, od wielu lat jest tam wikarym, a jego siostra, czyli ciotka Salome, zajmuje się życiowymi sprawami. To wzorowa pani domu. Mieszkają w zamku Saintonge. - Popatrzył na Beth, udając mocno zgorzonego. - A co? Sądziła pani, że zamieszkamy tylko we dwoje na kompletnym odludziu, z dala od kultury, cywilizacji,

konwenansów i codziennych obowiązków? Nic z tego. Rzeczywistość jest znacznie bardziej prozaiczna.

Beth odwróciła wzrok. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać, ale zaskoczyła ją wzmianka o krewnych Markusa, z którymi zapewne będzie musiała się spotkać. Wątpliwe, żeby cieszyli się z jej wizyty. Może poczują się zagrożeni i będą podejrzewać, że nowa właścicielka chce zaprowadzić na wyspie swoje porządki. Rzecz jasna, w głowie jej nie powstało, żeby pozbyć się pastora, który od wielu lat sprawował duchową opiekę nad wyspiarzami. Jak mogłaby wymówić dom jego niezamężnej siostrze, która pewne nie miałyby dokąd pójść? Beth sądziła dotąd, że pod rządami Trevithicków wyspa podupadła i zbiedniała, ale nieliczne uwagi Markusa wskazywały, że trzeba będzie zrewidować niesprawiedliwe i pochopne sądy.

Płynęli teraz wzdłuż brzegu. Gdy statek wszedł do zatoki i stanął na kotwicy pod osłoną stromych nadmorskich skał, uporczywe kołysanie ustało. Spuszczono na wodę małą łódź. Markus i Colin McCrae pomogli Beth zejść do niej po sznurowej drabince. Usadowiła się na ławeczce. Dwaj silni wiosłarze szybko dopłynęli z pasażerami do wyspy i wyciągnęli łódkę na brzeg. Otwarty powóz czekał u podnóża granitowego urwiska. Ruszyli pod górę wyboistą drogą, która wrzynała się w litą skałę. Na każdym zakręcie przerażona Beth wciśkała się w róg powozu, bo miała wrażenie, że koła zsuwają się w przepaść ze skalnego podłoża. Nagle wyrosły przed nią mury zamku Saintonge, wzniesionego dawno temu przez jej antenatów. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Bała się, że lada chwila wybuchnie płaczem.

Wyspiarze zebrali się na dziedzińcu, żeby powitać dostojnych gości. Beth miała wrażenie, że zbiegła się tu cała ludność. Każdy był ciekawy nowego pana. Beth uświadomiła sobie, że wygląda okropnie. Kosmyki włosów sterczały spod kapelusza, a przemoczony płaszcz i wilgotna suknia przyłgnęły do ciała, ujawniając zbyt wiele jej wdzięków. Ktoś mógłby pomyśleć, że marynarze przywieźli ze sobą portową dziewczkę. Co o niej pomyślą krewni Markusa? Dziwnie milcząca, skuliła ramiona, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Daremnie. Roześmiany Markus wysiadł z powozu, nie spodziewanie wziął ją na ręce i postawił przed ciekawskim tłumem. Podejrzewała, że zrobił to umyślnie, aby jej dokuczyć.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! Markus! - dobiegł ich z tyłu donośny głos. - Kto by pomyślał! Niezbadane są wyroki opatrności!

Beth i Markus odwrócili się natychmiast. Z zamkowych schodów schodziła dama w średnim wieku, postawna, ale nie otyła. Rodzinne podobieństwo natychmiast rzucało się w oczy: wyraziste czarne oczy, wystające kości policzkowe i gęste ciemne włosy upięte nad karkiem w imponujący kok. Strój był osobliwy: domowa suknia z różowej satyny, dobrane

pod kolor, wyszywane papucie oraz szkarłatny płaszcz niedbale narzucony na ramiona. Szerokie poły trzepotały na wietrze. Beth złapała się na tym, że natarczywie przygląda się niezwyklej damie.

- Pogoda to u nas istna plaga egipska! - zawołała nowo przybyła radośnie, obejmując Markusa i całując go serdecznie w oba policzki. - Co ja mówię! Siedem plag! O Boże, ale ty wyrosłeś!

- Witaj, ciociu - odparł. - Miło cię znów widzieć.

- I ciebie, drogi chłopcze. - Spojrzenie ciemnych oczu Salome Trevithick spoczęło na Beth. - Niech się cieszy pustynia i wysuszona ziemia! - Widząc zdumienie na twarzy młodej damy, wyjaśniła pospiesznie: - Izajasz, rozdział trzydziesty piąty, wers pierwszy, moja droga.

- Ciociu, przedstawiam ci Beth Allerton - wtrącił Markus oficjalnym tonem. - Milady, to moja ciotka, lady Salome Trevithick.

- Witaj, kochanie! - Salome Trevithick wyciągnęła na powitanie upierścienioną dłoń. Szlachetne kamienie jaśniały tęczowym blaskiem. Niezwykła dama z uznaniem popatrzyła na gościa. - Istny anioł, chociaż trochę przemoczony.

Beth spłonęła rumieńcem.

- Ciotka pisze wielebnemu wszystkie kazania - wyjaśnił półgłosem Markus. - Dlatego w rozmowie chętnie przytacza biblijne cytaty, wręcz mówi wersetami z Biblii. - Zwrócił się do krewnej. - A gdzie stryj John? Miałem nadzieję...

- Niestety, musiał popłynąć do miasta - przerwała rozpromieniona Salome. - Został wezwany przez biskupa, moi mili. Zapewne doniesiono, że John w ubiegłym miesiącu po pijanemu odprawiał nabożeństwo, no i jego ekscelencja wezwał mi braciszka na dywanik.

- Kto by się dziwił wielebnemu? Na Fairhaven nie ma co robić, to się pije - zwołał ktoś z tłumu.

Markus zwrócił się ku pogodnym wieśniakom czekającym cierpliwie, aż się z nimi przywita. - Dziękujemy za miłe przyjęcie - powiedział, podnosząc nieco głos, żeby go słyszeli. - Cieszę się, że mimo fatalnej pogody szczęśliwie tu dotarliśmy.

- Niech wasza lordowska mość poczeka, aż pogoda naprawdę się popsuje! Jest na co popatrzeć! - odpowiedział ktoś z poddanych.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Na pewno będzie po temu sposobność! - zawołał uśmiechnięty Markus. - Zapewniam, że spotkanie z wami jest dla mnie wielką radością. A teraz chciałbym wam przedstawić lady Allerton, nową właścicielkę tej wyspy. - Ku wielkiemu przerażeniu Beth, przyciągnął ją do siebie i mówił dalej: - Wiem, że wielu z was pamięta dziadka lady Allerton,

Charlesa Mostyna. Zapewne ucieszy ich nowina, że wyspą znów będzie władać ktoś z jego rodziny.

Tłum szemrał. Beth stojąca obok Markusa przestała się uśmiechać, widząc zmienione twarze zebranych wokoło poddanych. Wesołość i zadowolenie ustąpiły miejsca niepewności, a nawet zafrasowaniu. Ludzie szeptali między sobą, a niektórzy spoglądali na Beth z jawną wrogością. Nawet Salome Trevithick spochmurniała. Beth przygryzła wargę. Nie dziwiła się, że wyspiarzy zaniepokoiła nowina o zmianie właściciela posiadłości, ale zabolą ją, że ich reakcja była tak szybka i jednoznaczna.

Zapadło krępujące milczenie. Młoda kobieta stojąca w pierwszym rzędzie pochyliła się i powiedziała coś na ucho do jasnowłosej dziewczynki, która tuliła się do niej. Po chwili mała z ociąganiem podeszła do Beth i podała jej więdnący bukietek.

- Witamy na wyspie, milady - szepnęła.

Beth zapomniała o nieprzyjaznym tłumie i swoim oplakany wyglądzie. Uśmiechnęła się serdecznie, przyklękła, żeby wziąć kwiatki, i ucałowała dziewczynkę, która podniosła główkę i spojrzała na nią wielkimi, poważnymi, niebieskimi oczyma, a potem uśmiechnęła się szeroko, wsadziła kciuk do buzi i pobiegła do matki. Wśród wyspiarzy znowu rozległy się pomruki, tym razem świadczące o umiarkowanej aprobacie.

- Świetnie się spisałaś, kochanie - mruknęła Salome Trevithick dość bezceremonialnie, ale z uznaniem. Chwyliła Beth za łokieć i pomogła jej wstać. - Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie! Mateusz, rozdział dziewiętnasty, wers czternasty. - Wzięła Beth pod rękę i pociągnęła ją ku zamkowym schodom. - Obawiam się, że niektórzy z tutejszych mieszkańców mają dobrą pamięć i bardzo złe wspomnienia, ale jak to mówią, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, natomiast o zmarłych albo nie mówi się wcale, albo dobrze.

Nim Beth zdążyła poprosić o wyjaśnienie osobliwych wynurzeń, była już w zamku i zapomniała o zagadkowych słowach, olśniona wspaniałością zamkowych wnętrz. Grube mury Saintonge wzniesiono w trzynastym wieku, ale wystrój okazał się znacznie późniejszy. Wielka sień z kamienną posadzką była starannie utrzymana i ozdobiona gobelinami. W gablotach przechowywano wypolerowane srebra. Salome zaprowadziła Beth na górę. W południowym skrzydle znajdowały się bogato urządzone pokoje gościnne: ogromna sypialnia o dużych oknach z widokiem na morze i salon, w którym na kominku buzował ogień. Była również nowoczesna łazienka z największą wanną, jaką Beth kiedykolwiek widziała. Wróciła do sypialni, podbiegła do okna z kamiennym obramowaniem i zamarła w bezruchu, podziwiając rozległą morską panoramę. Westchnęła ukradkiem.

- Jakie to piękne!

- Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko - powiedziała cicho lady Salome. Miała łzy w oczach. - Przysłę ci Martę McCrae. To nasza ochmistrzyni. Mądra kobieta, pomoże ci we wszystkim. Jest matką ślicznej dziewczynki, która powitała cię na dziedzińcu. Dzisiaj przyniesie ci kolację do sypialni. Dopiero jutro siądziemy do stołu *en familie*. Zapewne jesteś zbyt zmęczona, żeby myśleć o towarzyskich rozrywkach.

- Dziękuję - odparła z wdzięcznością Beth.

Po długiej i męczącej podróży naprawdę potrzebowała odpoczynku, a poza tym chciała w spokoju przemyśleć wydarzenia ostatnich dni. Lady Salome uśmiechnęła się i wyszła. Poły czerwonego płaszcza unosiły się niczym rozłożone skrzydła. Beth usiadła na wyłożonym poduszkami okiennym parapecie. Zauroczona patrzyła na zatokę i na morze w oddali.

Pół godziny później nadal tam siedziała, wpatrzona w morski pejzaż. Marta McCrae zapukała do drzwi i nieśmiało weszła do pokoju, niosąc tacę z wieczornym posiłkiem.

- Ma pani jakieś życzenia, milady? - zapytała z wyraźną rezerwą.

Rozpromieniona Beth odwróciła się do niej.

- Nie, dziękuję. Mam tu wszystko, czego mi potrzeba. Cudowne miejsce! Jestem zachwycona jego urodą.

Marta McCrae uśmiechnęła się z przymusem. W przeciwieństwie do jasnowłosej i niebieskookiej córki była szatynką o piwnych oczach i jasnej, piegowatej cerze. Wydawała się przygnębiona i pełna obaw. Beth zastanawiała się, z czego wynika to zdenerwowanie.

- Długo mieszka pani na Fairhaven? - zapytała, chcąc ją trochę ośmielić.

Ochmistrzyni pokiwała głową.

- Kawał czasu, ale lady Salome i nasz wikary są tu o wiele dłużej. Przyjechałam wkrótce po ślubie, gdy stary lord zatrudnił Colina jako zarządcę. - Nagłym ruchem świadczącym o wielkim napięciu wytarła ręce w fartuch. - Nie jest nam łatwo. Zimy bywają surowe, a lord... myślę, że czasami zapominał o naszym istnieniu. - Westchnęła ciężko. - Dlatego mieliśmy nadzieję... Kiedy doszły nas słuchy o rychłych odwiedzinach młodego lorda, łudziliśmy się, że... - Zamilkła, a po chwili namysłu dokończyła zdanie: - Mieliśmy nadzieję, że weźmie sobie do serca dobro wyspy, ale wygląda na to, że chce ją oddać... - Urwała przestraszona, na białych policzkach pojawił się ciemny rumieniec. - Przepraszam, milady. Zapomniałam się. Niech się pani nie gniewa. Ja tylko głośno myślałam. Zaraz wydam polecenia. Służąca przyniesie gorącą wodę...

Nim Beth zdążyła odpowiedzieć, ochmistrzyni odwróciła się i wybiegła z pokoju.

Beth usiadła ciężko na brzegu wielkiego łoża z kolumnami i baldachimem. Bez apetytu żuła smakołyki z tacy. Teraz przynajmniej częściowo rozumiała, dlaczego wyspiarze tak chłodno ją przyjęli. Lord zawiódł ich nadzieję, pojawiła się nowa właścicielka, która na domiar złego mogła usunąć z wyspy wielebnego Johna i jego siostrę, z którymi wszyscy byli tu bardzo zżyci.

Wkrótce służąca przyniosła wodę do mycia. Beth rozebrała się i spłukała lepką sól, która przylgnęła do skóry. Mdłości przestały jej dokuczać, lecz nadal miała wrażenie, że podłoga kołysze się pod stopami. Włożyła czystą koszulę i już miała się położyć, gdy usłyszała trzask drzwi zamykanych piętro niżej i odgłos kroków. Ktoś szedł po schodach.

- Powiedziałem tylko, milordzie, że Fairhaven nie jest zabawką dla młodej dziewczyny...

Rozpoznała głos Colina McCrae. Zarządca zwykle mamrotał cicho, ale teraz mówił donośniej niż zwykle, ponieważ był poirytowany. Markus odpowiedział mu tak cicho, że Beth nie mogła rozróżnić słów.

- Wobec ustawicznego zagrożenia od strony morza byłoby prawdziwą głupotą...

- To stan przejściowy - przerwał stanowczo Markus. - Jutro wieczorem przyniesiemy tu ładunek Marchanta.

Beth słuchała zaciekawiona. Do tej chwili starała się nie podsłuchiwać, ale teraz umyślnie podeszła do drzwi i nadstawiła ucha. Mężczyźni zatrzymali się na podeście schodów niedaleko jej pokoju. Rozmawiali cicho. Wyłapywała tylko strzępy zdań, więc przytknęła ucho do drzwi, żeby usłyszeć więcej.

- Uprzedzi pan lady Salome? - zapytał Colin McCrae. Po jego głosie poznała, że się uśmiechnął. - Wiem, co by na to powiedziała.

- Ciotka Salome uwielbia takie eskapady - zachichotał Markus. - Nic się nie stanie, jeśli dopuścimy ją do tajemnicy i wspomnimy o umowie z Marchantem.

- A lady Allerton? Markus milczał chwilę.

- Wykluczone. Nie ma takiej potrzeby. A teraz, Colinie, powiedz mi coś więcej o budowie nowej stodoły w Longhouses...

Rozmówcy poszli w głąb korytarza. Coraz ciszej brzmiały wypowiedane przez nich słowa i odgłos kroków. Beth miała zamęt w głowie.

Zagrożenie od strony morza... ładunek Marchanta... Markus chciał coś przed nią ukryć. Wyobraźnia pracowała na najwyższych obrotach. Czyżby zajmował się przemytem i tak samo jak dawniej jego dziadek traktował wyspę jako port przeładunkowy? Idealnie nadawała się do tego celu, a Markus potrzebował pieniędzy.

Położyła się do łóżka. Wzrok utkwiała w ogromnym baldachimie. Wszystko się zgadza. Od początku podejrzewała, że Markus prowadzi podwójną grę. Kiedy po feralnej ucieczce prosiła, żeby odwiózł ją do wielebnego Theo, tak pokierował sprawą, że w końcu popłynęli razem na Fairhaven. Miał swoje powody, żeby się tam udać, i nie chodziło wyłącznie o inspekcję z pozoru mało znaczących dóbr. Jej obecność stanowiła idealny kamuflaż. Statek czekał w porcie gotowy do odcumowania, a zatem dyspozycje musiały być wydane kilka dni wcześniej. Mieszkańcy wyspy zostali uprzedzeni, kiedy mają spodziewać się gości. Wszystko było ukartowane.

Kto wie, jaki ładunek przyplłynął dzisiaj na „Marie Louise”? Markus wspomniał o towarze od Marchanta. Zapewne to handlarz, z którym robi interesy. Przewracała się z boku na bok, nie - pewna, czy jutro się z nim rozmówić, czy też poczekać, aż będzie miała w ręku jakiś dowód. Wrodzona niecierpliwość skłaniała ją do natychmiastowej konfrontacji. Najlepiej byłoby od razu pogadać z Markusem i wydobyć z niego całą prawdę.

Wbrew swojej naturze postanowiła czekać. Markus do tej pory nie kwapił się do zwierzeń, więc jeśli przyprze się go do muru, na pewno znajdzie jakiś wykręt. Lepiej przyciąć się i mieć oczy szeroko otwarte. Zapewne oczekiwanie nie potrwa długo, bo powiedział, że wieczorem ma nastąpić wyładunek, a wtedy prawda wyjdzie na jaw.

Następnego dnia zasiedli razem do kolacji. To był udany wieczór. Gdy Beth zeszła do imponującej zamkowej jadalni, gdzie Markus i jego ciotka już na nią czekali, była wypoczęta i w pełni sił, bo leniuchowała niemal cały dzień. Lady Salome wyglądała zachwycająco w sukni z czerwonej satyny, pomarańczowym turbanie i biżuterii wysadzanej perłami. Beth, ubrana w prostą szarą suknię, czuła się przy niej jak uboga krewna z prowincji. Siedziała cicho, póki Markus plotkował z ciotką o rodzinie. Gdy wyczerpali temat i Salome zasypała ją pytaniami o londyńską modę, skandale i rozrywki, poczuła się całkiem swobodnie. Obie panie mówiły jedna przez drugą. Podczas deseru lady Salome opowiadała pikantne anegdotki z czasów swojej bujnej młodości. Mniej i więcej trzydzieści lat temu sama brylowała w londyńskich salonach.

- Nie złapałam męża, bo najbardziej podobały się wówczas pulchne dziewczątka z jasnymi loczkami podobne do ulubionych piesków lady Caroline Lamb*. - Lśniącymi piwnymi oczyma wodziła od Markusa do Beth. - Moja uroda nie pasowała do tego wzorca i tak zostałam starą panną. Straciłam nadzieję, że przygrucham sobie bogatego amanta. W ostatecznej desperacji zastanawiałam się nawet, czy nie uciec z nauczycielem muzyki, ale

* Lady Caroline Lamb - kochanka lorda George'a Byrona (1788 - 1824). wybitnego angielskiego poety (przyp tłum.).

czuć go było naftaliną, co nie sprzyjało wybuchom namiętności! - Włożyła do ust kandyzowaną śliwkę i podsunęła Beth talerz ze słodyczami. - O czym to ja mówiłam? Ach, tak. Mój tata był w gorącej wodzie kąpany. Gdy po kilku miesiącach spędzonych w Londynie wciąż nie miałam adoratora, wywiózł mnie na Fairhaven. John mieszkał wtedy sam jak palec, bo jego gosposia zginęła w tajemniczych okolicznościach. Podobno spadła biedaczka z urwiska do morza. Tata uznał, że oszczędzi trochę grosza, jeśli podeśle mnie bratu na jej miejsce. - I od tamtej pory mieszka pani tutaj, lady Salome? - spytała z uśmiechem Beth. - Kawał czasu!

- Słuszna uwaga, kochanie, ale tu jest mój dom. Tam dom twój, gdzie serce twoje. Marek czy Księga Przysłów?

- Ani jedno, ani drugie - roześmiał się Markus i wstał. Panie wybaczą. Idę wypić porto. Wkrótce spotkamy się w salonie.

- Nie spiesz się, drogi chłopcze - powiedziała z roztargnieniem Salome. - Lady Allerton i ja mamy o czym rozmawiać. O słodka przyjaźni! - Popatrzyła na niego z tryumfem.

- To musi być Księga Przysłów!

Markus skłonił się z błyskiem w oku i wyszedł, a Beth westchnęła mimo woli. Podczas kolacji wszystkim dopisywał humor, bo lady Salome ze swadą bawiła gości, wczorajsza awantura nie została jednak zapomniana, a Beth nadal była w niełasce. Markus prawie się do niej nie odzywał. Raz jeden zagadnął ją, pytając, czy jest zadowolona ze swego pokoju i służby. W jego obecności czuła się nieswojo. Kilkakrotnie złapała go na tym, że się jej przygląda, ale twarz miał wtedy nieprzeniknioną, surową. Gdy podnosiła głowę i spoglądała na niego, wcale się nie uśmiechał. Tyle rzeczy powinni sobie wyjaśnić, ale nie miała pojęcia, od czego zacząć. Wczoraj była po temu okazja, ale Markus wściekał się na nią i nie chciał słuchać. Teraz sytuacja dodatkowo się skomplikowała. A jeśli potwierdzą się jej obawy, że trudni się przemytem?

- Dlaczego posmutniałaś, kochanie? - zapytała współczująco lady Salome, gdy usiadły przed kominkiem w salonie z filiżankami herbaty. - Domyślam się, że nadal jesteś zmęczona po podróży. Do tego dochodzi ogromne wzruszenie. Tak długo marzyłaś, żeby się tu znaleźć. Markus opowiadał mi o tobie i twoim pragnieniu odzyskania utraconej przez dziadka wyspy.

- Owszem, to prawda - przytaknęła z westchnieniem. Gdy patrzyła w lśniące oczy lady Salome, wszelkie starania o powrót Mostynów na Fairhaven i odzyskanie posiadłości nagle straciły dla niej na znaczeniu. - Od dziecka chciałam tu przyplłynąć, ale... - Zawahała się, targana sprzecznymi uczuciami. - Nie przyszło mi do głowy... Gdyby trzeba było stąd odejść, czym by się pani zajęła?

- Szukałabym mocnych wrażeń! W Exeter nie brakuje ekscytujących miejsc - odparła rezolutnie Salome, wsypując do herbaty trzy łyżeczki cukru. - Mogłabym także wybrać się do Londynu. Przecież to istna Sodomia i Gomora! Pławiłabym się w luksusie, zakosztowałabym zdrotnych przyjemności. Fairhaven to zabita deskami prowincja. Nie masz pojęcia; kochanie, jakie to irytujące, gdy żurnale przychodzą z półrocznym opóźnieniem. I jak tu nadażyć za modą? Od czasu do czasu bywam przecież w towarzystwie, więc muszę dobrze wyglądać. Z żywnością też u nas nie najlepiej: wszystko solone albo kwaszone. Rzadko jadamy świeże produkty. Pod dostatkiem jest tylko rzepy, ale ja w niej nie gustuję. Szczerze mówiąc, kiedy myślę o ucieczce z tej dziury, *je suis aux anges**.

Beth skwitowała jej słowa uśmiechem, ale nie dała im wiary. Wiedziała, że lady Salome uważa zamczysko na Fairhaven za swój dom i podejrzewała, że dzielna i pełna uroku stara panna robi dobrą minę do złej gry. Należało również wziąć pod uwagę wielebnego Johna. Czy w jego wieku można zaczynać wszystko od początku? Jak sobie poradzi w nowej parafii, skoro przywykł do wyspiarzy, a ci uważają go za swego?

- Poza tym, kochanie, jesteś bardzo bogata. - Lady Salome pochyliła się z trudem, sięgając po kawałek drewna, żeby dołożyć do ognia. Beth natychmiast rzuciła się na pomoc, bo podejrzewała, że jej rozmówczyni ma reumatyzm. - Stać cię na rozmaite udogodnienia dla poddanych. Wyspa na tym skorzysta.

- Owszem, ale tylko z materialnego punktu widzenia - i odparła Beth i uśmiechnęła się do lady Salome. - Są przecież rzeczy, których nie można kupić. Czy to w liście do Tymoteusza czytamy, że umiłowanie mamony jest źródłem wszelkiego zła?

- Znakomicie! - Starsza pani klaskała w ręce. - Jak mówią, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne... i tak dalej. Mateusz, rozdział dziewiętnasty, wers dwudziesty czwarty. - Uradowana, dodała swój cytat do sentencji Beth, a potem bystro spojrzała na nią ciemnymi oczyma. - Proszę, mi odpowiedzieć na jedno pytanie: czy lubi pani Markusa?

Nagła zmiana tematu zaskoczyła Beth. W innych okolicznościach odpowiedziałyby wykrętnie, zwłaszcza gdyby słabo znała rozmówców, ale otwartość i serdeczność lady Salome sprawiły, że mówiła z nią całkiem szczerze.

- Tak. Oczywiście. Bardzo polubiłam lorda Trevithicka, ale... - Umilkła nagle i spochmurniała.

- Aha! Zawsze jest jakieś ale! Beth wybuchnęła śmiechem.

- Droga lady Salome, kłopotów nie brakuje. Lord i ja krótko się znamy.

* *Je suis aux anges* (fr.) - nie posiadam się z radości (przyp. tłum.).

- W Księgach Królewskich powiedziane jest, że miłość wszystko zwycięża - przypomniała uroczyście lady Salome.

- Zapewne - odparła Beth, choć w to nie wierzyła. Na widok Markusa, który właśnie stanął w drzwiach, pospiesznie zmieniła temat. - Czy to prawda, że na tych wodach grasują przemytnicy?

Lady Salome zmierzyła ją badawczym spojrzeniem.

- Ten proceder kwitł tutaj za czasów twojego dziadka, kochanie. Dawniej przemytnicy zarabiali krocie, ale to już przeszłość, więc i zainteresowanie nielegalnym handlem spadło.

Beth miała wrażenie, że Markus obserwuje ją uważnie, więc uśmiechnęła się do niego.

- Właśnie pytałam pańską ciotkę o przemytników grasujących rzekomo w tej okolicy.

- Słyszałem - odparł, biorąc z rąk lady Salome filiżankę herbaty. - Ta profesja zanika, prawda, droga ciociu?

- Podobnie jak piractwo i rabunek zatopionych wraków - przytaknęła starsza pani. - Życie na Fairhaven nie jest ani w połowie tak ekscytujące, jak się niektórym wydaje, moja droga. Jesteśmy odcięci od świata i jego wydarzeń. Dam przykład: w Ameryce wojna, a do nas docierają tylko słabe echa wielkich bitew przesądzających o losach kraju.

- Aha, byłbym zapomniał! - wtrącił nagle Markus. - Lady Allerton, McCrae wspomniał mi o człowieku, który znał pani dziadka. Nazywa się Jack Cade albo coś w tym rodzaju. Mieszka w Halfway Cottage. Może jutro rano zechciałaby pani go odwiedzić?

- Dobra myśl - przyznała. - Dzięki, milordzie.

Nie miała pojęcia, dlaczego jest taka markotna. Skąd ten brak zapału? Bardzo dziwna sytuacja... Od lat marzyła o wyprawie na Fairhaven, a gdy wreszcie się tutaj znalazła, ogarnęło ją zagadkowe rozczarowanie. Czy należało ją zaliczyć do grona nudziarzy i snobów, którzy po osiągnięciu celu nagle tracą zainteresowanie obiektem swych dążeń? Miała nadzieję, że nie dzieli z nimi tej fatalnej przypadłości, Wstała z fotela i uśmiechnęła się do lady Salome. - Droga pani, milordzie... - Chłodno skinęła głową Markusowi. - Wybaczcie państwo, ale jestem zmęczona i chciałabym odpocząć. Proszę mnie nie odprowadzać - dodała pospiesznie, gdy Markus bez entuzjazmu podniósł się z fotela.

- Sama trafię do swojego pokoju. Dobranoc.

Idąc po schodach, uświadomiła sobie, jak obraźliwe były pozory kurtuazji zachowywane wobec niej przez Markusa wyłącznie przez wzgląd na lady Salome. Z rozpaczą myślała, że chłód, który wkradł się między nich, łatwo może się przerodzić w obojętność, a potem we wzajemną niechęć. Już teraz odnosiła wrażenie, że dzieli ją od Markusa szklana ściana. Niedawna bliskość i poczucie harmonii poszły w zapomnienie. Aż trudno uwierzyć, że

trzymał ją w ramionach i całował, budząc odczucia, które były dla niej objawieniem, bo nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia. Ale to przeszłość. Teraz wydawał się znudzony i zniecierpliwiony, jakby z trudem znosił jej towarzystwo. Na jego sympatię nie mogła już Uczyć.

Beth siedziała w sypialni na wyściełanej poduszkami ławie pod oknem i obserwowała księżyc odbijający się w morskiej toni. Wietrzna aura towarzysząca przeprawie ustąpiła miejsca pięknej pogodzie. Noc była bezchmurna, gwiazdy jasno lśniły na niebie. Gdzieś w zamkowych komnatach zegar wybił pierwszą. Echo zadźwięczało wśród kamiennych murów i ucichło. Beth zadrżała z przejęcia. Od czterech godzin czuwała. Było jej zimno, czuła się znużona, ale nie zamierzała rezygnować. Tej nocy musiała się dowiedzieć, co knuje Markus wraz ze swym zarządcą Colinem McCrae.

Usłyszała szmer, a potem chrzęst żwiru na podjeździe. Ktoś otworzył zamkowe wrota i szedł drogą w stronę plaży. Beth przycisnęła nos do zimnej szyby. Ze swego okna miała widok na zatokę i pełne morze. Wokół zamku był niezbyt duży trawnik urywający się na skraju stromej drogi, która wrzynała się w skalne urwisko. Beth nie słyszała kroków, ale dostrzegła migotliwe płomyki latarń sunące przez ciemność w stronę portu. Podniosła się z ławy, narzuciła płaszcz i podbiegła do drzwi.

Odsunęła rygiel, nacisnęła wielką klamkę i popchnęła je mocno. Ani drgnęły. Cofnęła się, marszcząc brwi.

Wieczorem nie stawiały oporu i łatwo chodziły na starannie naoliwionych zawiasach, z czego wniosek, że zostały zamknięte na klucz... z zewnątrz. Raz jeszcze nacisnęła klamkę i popchnęła je z całej siły. Na próżno.

Uklękła i przyłożyła oko do dziurki. Tkwił w niej klucz wsunięty od strony korytarza. Ogarnęło ją oburzenie, gdy potwierdziły się jej najgorsze przeczucia. Markus zamknął ją w pokoju! Domyślała się, dlaczego tak haniebnie z nią postąpił.

Wstała i podbiegła do swego sakwojaża. Wyjęła z niego pudełko, w którym trzymała szpilki do upinania włosów. W rogu sypialni stało wiekowe drewniane biurko. Beth była niemal pewna, że w jednej z szuflad widziała duży arkusz mięsistej bibuły do suszenia atramentu. Znalazła go i wróciła do drzwi. W szeroką na dwa i pół centymetra szparę pod nimi wsunęła papier tak, żeby większa jego część znalazła się w korytarzu. Jedną z długich szpilek pogrzebała w zamku. Pierwsza okazała się zbyt giętka, ale drugą, sztywniejszą, udało jej się wypchnąć klucz. Dobiegł ją stłumiony przez bibułę, cichy odgłos.

Wstrzymała oddech i ostrożnie pociągnęła arkusz. Klucz utknął w wąskiej szparze. Przygryzając wargę, ostrożnie manewrowała bibułą, starając się nie stukać metalem o drewno. Po kilku chwilach dręczącej niepewności chwyciła nareszcie upragnioną zdobycz.

Otrzepała spódnicę, przekreśliła klucz w zamku i uchyliła drzwi. Korytarz oświetlony światłem pojedynczej lampy był pusty. Zamknęła za sobą drzwi i na palcach podeszła do schodów.

Potrzebowała kilku minut, żeby w labiryncie ciemnych korytarzy i klatek schodowych zamku Saintonge znaleźć drogę do frontowych drzwi. Poruszała się wolno, żeby nie robić hałasu. Gdy przecinała wielką jadalnię, omal nie wpadła na służącą niosącą z kuchni stos czystych talerzy. Na szczęście spostrzegła ją i schowała się w cieniu kolumny. Tuż przy frontowych drzwiach musiała kryć się przed Martą McCrae, która ze świecą w ręku schodziła po schodach wiodących do dzieciennego pokoju. W końcu udało się Beth niepostrzeżenie wydostać z zamku. Gdy biegła przez trawnik, serce biło jej tak mocno, że musiała na chwilę przystanąć pod osłoną murów zamkowych.

Noc była pogodna, ale wiał ostry wiatr. Beth szybko zdała sobie sprawę, że trzeba być idiotką, żeby po ciemku, bez latarni schodzić wąską, stromą drogą wyciętą w klifowym zboczu. Nawet za dnia taki marsz wymagał skupienia i zdwojonej uwagi. Co gorsza, mogła natknąć się przypadkiem na chodzących własnymi ścieżkami przemytników. Postanowiła ukryć się za skałą, poczekać, aż wrócą, i przyjrzeć się zagadkowemu ładunkowi Marchanta. Długo siedziała bez ruchu, zmarznięta i mocno znudzona. W końcu jednak ujrzała z daleka nikiłe płomyki, a potem usłyszała chrzęst kamieni i odgłos kroków. Przemytnicy wracali z towarem. Cofnęła się w cień pod skalnym nawisem, skąd mogła bezpiecznie ich obserwować.

W samą porę! Po chwili jej oczom ukazał się interesujący widok. Mężczyźni z latarniami szli gęsiego pod górę. Beth poczuła się nieco rozczarowana, bo nie mieli ze sobą elementarnych przemytniczych akcesoriów, o których czytała w powieściach, a mianowicie osiołków dźwigających kosze wypełnione butelkami wina oraz belami kosztownych tkanin.

Ujrzała dwie trumny niesione na ramionach przez wieśniaków i marynarzy z załogi „Marie Louise”. Rozpoznała w półmroku ich twarze. Był wśród nich Markus, a także Colin McCrae. Szli na przódzie, wraz z innymi niosąc trumnę.

Nie miała pojęcia, że na pokładzie „Marie Louise” było dwu nieboszczyków czekających na pochówek. Zapewne Markus nie chciał jej martwić złymi nowinami. Może to miał na myśli McCrae, gdy pytał, czy należy ją wtajemniczyć? Kto wie? Ta sprawa to jedna wielka zagadka.

Im dłużej analizowała fakty, tym bardziej się zdumiewała. Mężczyźni niosący trumny uśmiechali się i zagadywali do siebie. Nie przypominali żałobników, którzy mają zwykle ponure twarze. Otuliła się płaszczem i szukając lepszej kryjówki, weszła głębiej pod skalny nawis. Czym był ładunek Marchanta, o którym wspomniał Markus? Może to właśnie trumny? Dlaczego je ukrywano? Czyżby śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach? Z jakiego powodu nie czekali do świtu, żeby oddać zmarłym ostatnią posługę? Czemu zamknięto ją w pokoju? Może ktoś pragnął się upewnić, że nocny marsz odbędzie się bez niewygodnych świadków.

Gdy ostatni wędrowcy znikali w mroku, Beth wyszła z kryjówki i ruszyła za nimi skrajem drogi, żeby pozostać w cieniu. Szli w stronę wioski. Przed sobą widziała nikłe płomyki, a blask księżyca oświetlał drogę. Potykała się często i kilka razy omal nie upadła. Przysięgła sobie w duchu, że kiedy jej nazwisko zostanie wpisane do stosownych rejestrów i stanie się pełnoprawną właścicielką Fairhaven, przede wszystkim zadba o drogi.

Gdy dotarła na skraj osady i mijała pierwsze domy, mężczyźni niosący trumny wchodzili do kościoła. Właściwy adres, pomyślała Beth. Może naprawdę zamierzali pochować zmarłych?

Było jej zimno, a ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa. Czowała się głupio, bo po raz kolejny niepotrzebnie dała się ponieść wyobraźni. Już miała zawrócić i odejść, gdy nagle usłyszała głośny trzask i głos Markusa:

- Uważać tam! Marchant nie będzie zadowolony, jeśli uszkodzimy mu towar.

Zaciekawiona na nowo Beth minęła cmentarz, podbiegła do drzwi kościoła i ostrożnie zajrzała do środka. Wiedziała, że ryzykuje, lecz w przedsionku było ciemno, a wszyscy mężczyźni weszli już do kościoła, więc uznała, że może rzucić okiem na ich smutne brzemie.

W słabym blasku latarń oświetlających niewielką kaplicę zobaczyła ustawione przed ołtarzem trumny. Masywna kolumna zasłaniała widok. W kaplicy czuło się zapach kurzu i zetlałego aksamitu. Beth przemknęła pod ścianą, ukryła się za kamiennym nagrobkiem jakiegoś Mostyna i wyciągnęła szyję, rozglądając się uważnie.

Dwie latarnie ustawione po obu stronach ołtarza rzucały światło na trumny. Marynarze bezceremonialnie odrywali ich wieka, nie okazując zmarłym ani krzty szacunku. Skrzypiały podważane łomem deski, kawałki drewna sypały się na wszystkie strony. Wieka odpadły. Beth wstrzymała oddech.

- Piękna robota - usłyszała głos pochylonego nad trumną marynarza.

- Lepszej być nie może - przytaknął drugi, wyjmując ze środka jakiś przedmiot. Stał błysnęła w świetle latarni. Beth westchnęła cicho. Marynarz trzymał w ręku strzelbę z wypolerowaną metalową lufą, a z trumny sypały się pistolety.

Beth poczuła nagle dziwne mrowienie na karku i ramionach. Doskonale знаła to niewytłumaczalne doznanie. Znieruchomiała, wpatrzona się w osobliwą scenę rozgrywającą się na jej oczach. Kilku marynarzy trzymało w rękach pistolety. Oglądali je z widocznym uznaniem. Colin McCrae zagadnął jednego z mężczyzn, którzy mocowali na nowo wieka trumien. Markus zniknął.

Beth odwróciła się wolno i popatrzyła na rząd pustych ławek. Ze ścian spoglądały na nią osnute pajęczynami marmurowe popiersia dawnych właścicieli Fairhaven. Nikt się nie czaił za jej plecami. Ruszyła ku drzwiom. Ukryta w cieniu, skradała się na palcach. Co kilka kroków przystawała, rozglądając się na wszystkie strony. Nie widziała nikogo, ale miała wrażenie, że jest obserwowana. Kątem oka dostrzegła ciemną sylwetkę.

Westchnęła przerażona. Miała wrażenie, że ten dźwięk odbił się echem w ciemnej kaplicy. Marynarze odłożyli broń i popatrzyli na nią, a spod niskiego łuku wyszedł Markus i zastąpił jej drogę.

- Dobry wieczór, lady Allerton - powitał ją uprzejmie. - Kto by pomyślał, że tu panią zastanę? Jakże się cieszę z naszego spotkania!

Przez chwilę była zdecydowana odepchnąć go i uciec, ale chwycił ją mocno za ramię. Gdyby chciała się wyrwać, musiałby wdać się w szarpaninę.

- Zauważyłem pewną prawidłowość - ciągnął tonem salonowej pogawędki. - Ilekroć się spotykamy, pani przede mną umyka. Mam prośbę, lady Allerton. Proszę dzisiaj tego nie robić. Musiałbym panią gonić, a w ciemności łatwo można stracić równowagę i spaść ze skał do morza. Wolałbym nie narażać pani na takie niebezpieczeństwo.

Przez moment mierzyli się wzrokiem. Po chwili Beth odetchnęła głęboko.

- Powinna wiedzieć, że nie zdołam się przed panem ukryć. Ciekawe, dlaczego nie wypłoszył mnie pan stąd, nim zobaczyłam strzelby i pistolety. - Dostrzegła uśmiech na jego twarzy.

- Z jakiego powodu miałbym panią stąd wyganiać? Prawo nie zabrania nocnych spacerów po wyspie i zabawy w chowanego. Może pani chodzić i podglądać do woli.

- Jak pan śmie mówić o prawie! - zawołała oburzona. - Nie ulega wątpliwości, że szmugluje pan broń i zamierza nią handlować dla marnego... - Umilkła, bo Markus wybuchnął śmiechem.

- Tak pani to widzi? Droga lady Allerton, ustawicznie poraża mnie bogactwo pani wyobraźni. Pozwolę sobie zauważyć, że nie jesteśmy bohaterami awanturycznej powieści gotyckiej. - Głos mu się zmienił, a twarz przybrała wyraz powagi. - Przykro mi, bo znów podejrzewa mnie pani o najgorsze.

Ogarnięta wyrzutami sumienia, wyrwała ramię z jego uścisku i cofnęła się, nerwowo wygładzając płaszcz.

- Owszem, ale sam pan jest sobie winien. Pańskie postępowanie było mocno podejrzane. Nie ufałam panu, bo okazało się, że jestem uwięziona w swoim pokoju.

- Porozmawiamy o tym po powrocie do zamku - odparł Markus. Pociągnął ją za sobą ku drzwiom kaplicy. Mijając swoich ludzi, sięgnął po latarnię. Gdy ramię przy ramieniu wyszli z przedsionka, blask płomienia pełzał po nagrobnych płytach i bramie przykościelnego cmentarza, do której prowadziła kamienna ścieżka. Markus łagodnym, lecz stanowczym ruchem wziął Beth pod rękę. Poszli razem drogą wiodącą do zamku.

- Proszę trzymać się blisko mnie - odezwał się nagle. - Nietrudno tutaj o wypadek. Mogła pani w ciemnościach skrócić nogę.

W drodze powrotnej oboje milczeli. W świetle księżyca i przy blasku latarni droga była doskonale widoczna, ale zmarznięta i zdenerwowana Beth opadła z sił i ledwie powłóczyła nogami. Ucieszyła się, gdy Markus otworzył przed nią dębowe wrota zamku i gestem zaprosił ją do sieni.

- Lady Allerton, proszę do salonu.

Beth najchętniej pobiegłaby do swego pokoju, ale zorientowała się natychmiast, że to nie jest zaproszenie, tylko rozkaz. Nie protestowała, gdy Markus zdjął jej płaszcz z czarnego aksamitu, jeszcze niedawno wytworny i nieskazitelnie czysty, a po kilku podróżach mocno poplamiony i wygnieciony. Obawiała się, że praczka nie zdoła go doczyścić. Nowa rzecz, a będzie do wyrzucenia.

Markus otworzył przed Beth drzwi salonu. Przyglądała mu się, gdy rozdmuchiwał żar na kominku i dokładał polan do ognia. Podeszedł do srebrnej tacy umieszczonej na kredensie.

- Proponuję brandy przed snem, żeby się pani trochę rozgrzała.

Nie żałował bursztynowego trunku. Gdy podeszedł do niej z kieliszkiem, wypila mały łyk i natychmiast poczuła, że alkohol przepala wnętrze. Pierwsze wrażenie było nieprzyjemne, ale Markus miał rację. Brandy naprawdę rozgrzewała.

Wskazał jej fotel przy kominku i sam usiadł po drugiej stronie. W przyćmionym świetle jego twarz wydawała się poważna i smutna. Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Poczula dziwne kołatanie serca. Markus uśmiechnął się lekko.

- Przekonałem się, że taki drobiazg jak drzwi zamknięte na klucz nie powstrzyma pani od urzeczywistnienia swoich zamiarów. Nie znam nikogo, kto byłby w swoich dążeniach równie nieustępliwy jak pani.

Beth nonszalancko wzruszyła ramionami, unikając jego wzroku.

- W sprzyjających okolicznościach można otworzyć drzwi, jeśli klucz tkwi w zamku po drugiej stronie.

Markus wybuchnął śmiechem, a potem stłumił ziewanie. Usadowił się wygodnie w fotelu i oparł stopy na kamiennym obramowaniu kominka.

- Proszę mi wybaczyć swobodną pozę, ale to był długi i męczący dzień. Colin McCrae pokpił sprawę i zostawił klucz w zamku. Prosiłem go, żeby osobiście wszystkiego dopilnował, ale w przeciwieństwie do mnie nie docenił pani. - Spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko. - Proszę mi wierzyć, droga lady Allerton. Postanowiliśmy tak dla pani dobra.

Beth upiła łyk brandy.

- Nienawidzę, kiedy ludzie tak mówią, bo zwykle okłamują i mnie, i siebie. Przed czym chciał mnie pan chronić? Przed moją własną ciekawością?

Markus kiwnął głową.

- Owszem, a także przed bujną wyobraźnią, która dzisiejszej nocy już podsunęła pani interesujące, ale nieprawdziwe wyjaśnienie. - Posmutniał i skrzywił się. - Muszę przyznać się do błędu. Słusznie mnie pani skarciła. Zamiast więzić panią w sypialni, powinienem wyznać całą prawdę. Bardzo przepraszam, że tego nie zrobiłem.

Beth upiła kolejny łyk. Płynny ogień rozgrzewał ją od środka. Na półeczki wrócił rumieniec, a obolałe ramiona i nogi mniej dawały się we znaki.

- A jaka jest prawda, milordzie? Markus poprawił się w fotelu.

- Rzecz w tym, że pewien holenderski korsarz nazwiskiem Godard wykorzystuje sprytnie wrogość między Anglią i Ameryką. Od pewnego czasu grasuje w tym rejonie, napadając statki, które płyną z Bristolu. - Pochylił się i dołożył do ognia. - Broń, którą pani widziała, powierzył mi kapitan Marchant z marynarki jego królewskiej mości. Marchant chce uzbroić cały region, żeby rozprawić się z korsarzami. Możemy atakować bez uprzedzenia, gdy wróg znajdzie się w zasięgu strzału. Jutro przyniesiemy tu z „Marie Louise” więcej broni. - Uśmiechnął się do Beth. - Oto dlaczego byłem dziś zajęty w środku nocy, lady Allerton.

- Naprawdę uważa pan, że wyspa może zostać zaatakowana przez korsarzy? - spytała po chwili zaniepokojona Beth.

- Mało prawdopodobne. - Markus wstał i powtórnie napełnił jej kieliszek. - Godard niewiele zyska, zdobywając Pairhaven. Nie założy tu kwatery, ponieważ brak mu środków,

żeby bronić wyspy. Mógłby ją splądrować, szukając żywności, ale niewiele tu znajdzie, bo niemal wszystko trzeba sprowadzać. Bardziej mu się oplaca atakować statki. Przyznaje, że zataił to przed panią, bo póki zagrożenie jest mało realne, lepiej nie wzbudzać paniki. Po co miałbym panią na próżno niepokoić?

Beth jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Rozumiem. W przeciwieństwie do mnie lady Salome ma dość odwagi, żeby usłyszeć całą prawdę, tak?

- Podśluchiwała pani? - Markus uśmiechnął się porozumiewawczo. - McCrae i ja musimy bardziej uważać, kiedy obmawiamy bliźnich. - Wzruszył ramionami. - Chodzi o to, że ciotka Sal przy wszystkich swoich dziwactwach od lat doskonale sobie radzi z problemami Fairhaven. Miała już do czynienia z przemytnikami i piratami. Umiała przywołać ich do porządku, natomiast pani, droga lady Allerton, żyła do tej pory... pod kloszem.

Beth puściła mimo uszu tę uwagę i nie podjęła tematu, bo znacznie bardziej interesowały ją inne kwestie.

- Po co ten osobliwy kamuflaż: trumny, kaplica...

- Żeby innym zamydlić oczy. - Markus zachichotał. - Im mniej ludzi wie o broni, tym lepiej. Poza tym trumny świetnie nadają się do transportu broni. Uznaliśmy z Marchantem, że trzeba wystrzegać się szpiegów. Nie można wykluczyć, że korsarze mają na wyspie swoich ludzi, a ci węższą...

- Niczym ja - wpadła mu w słowo i posmutniała.

Uświadomiła sobie, że po raz kolejny z mylących fragmentów rzeczywistości ułożyła zawiłą i z gruntu nieprawdziwą opowieść. Przypomniała sobie skargę Markusa. Słusznie miał do niej pretensje, że ustawicznie podejrzewa go o najgorsze postęпки. Zakłopotana przygryzła wargę. Oba jego zarzuty wydawały się uzasadnione: dała się ponieść wyobraźni, a także próbowała zrobić z niego nikczemnika. Odstawiła pusty kieliszek na stół z orzechowego drewna.

- Przepraszam, milordzie.

- Za co, lady Allerton? - Nie wstając z fotela, wychylił się do przodu. Kieliszek trzymał w obu dłoniach. - Za niesprawiedliwą ocenę mojej osoby, za ucieczkę czy zamknięcie w piwnicy?

Beth spojrzała na niego i pospiesznie odwróciła wzrok. Badawcze spojrzenie nie pasowało do lekkiego tonu. Miała wrażenie, że mimo pozorów nonszalancji poczuł się urażony jej zachowaniem.

- Za wszystko, milordzie. Już wcześniej usiłowałam dać panu do zrozumienia, jak bardzo mi przykro, że z powodu mego wybryku utknął pan na pewien czas w piwnicznej izbie... - Szukała odpowiednich słów. - Zapewniam, że ogromnie żałuję tamtego postępuku.

- Czyżby? - Obserwował ją z kamienną twarzą. Daremnie łudziła się, że szczerą skruchą ułagodzi jego gniew. Zasmucona, przyjęła do wiadomości, że o amnestii nie ma mowy.

- Chciałam pierwsza dotrzeć na Fairhaven, więc uznałam, że muszę pana wyeliminować z gry! - wybuchnęła. - Ta wyspa zawsze była dla mnie najważniejsza, ale sądziłam, że od pana nie mogę oczekiwać pomocy.

- Chciała pani powiedzieć, że nie miała pani do mnie zaufania, chociaż dałem słowo, że Fairhaven będzie pani własnością - podsumował cicho Markus. Milczała, nie wiedząc, co mu na to odpowiedzieć. Przyglądał się jej z rozbawieniem. - Muszę przyznać, że miała pani powody, żeby mi nie ufać. Dwukrotnie złamałem dane słowo, więc dlaczego miałyby pani uwierzyć, że za trzecim razem się poprawię?

- Nie... Ja. - Beth spochmurniała. Wywody Markusa wydały jej się nielogiczne, ale nie potrafiła wskazać błędów w jego rozumowaniu. Była zmęczona, kręciło jej się w głowie, nie potrafiła zebrać myśli. Położyła dłonie na kolanach, splótła palce i utkwiała w nich wzrok.

- Myślę, że nie godzi się tak mówić, milordzie - odparła pospiesznie, lękając się, że lada chwila zabraknie jej odwagi. - Ufam panu i przyznaję, że postępowałam niewłaściwie. Bardzo przepraszam, jeśli poczuł się pan dotknięty... urażony moim zachowaniem. - Podniosła wzrok i uśmiechnęła się przez łzy. - Na szczęście znowu ze sobą rozmawiamy. To dobry omen.

Markus wyciągnął rękę i dotknął jej splecionych palców.

- Martwiła się pani, że byliśmy poróżnieni?

Beth wpatrywała się w niego jak zaczarowana. Nie mógł? odwrócić wzroku. Patrzył na nią tak czule, że zrobiło jej się ciepło na sercu. Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Nie wiele brakowało, żeby wybuchnęła płaczem.

- Naturalnie... - Odchrząknęła zakłopotana. - To milczenie było nader nieprzyjemne.

Uśmiechnięty Markus uniósł dłoń i machinalnie owinał wokół palca ciemny lok. Uporczywie patrzył jej w oczy.

- Jestem tego samego zdania.

- A zatem... - Beth wstrzymała oddech. - Znow będziemy... przyjaciółmi, milordzie?

- Przyjaciółmi? - powtórzył z roztargnieniem. - Nie sędzę, lady Allerton. Moim zdaniem nie wystarczy nam przyjaźń. Łączy nas gorące uczucie. Możemy być zaprzysięgłymi wrogami albo namiętymi kochankami. Żadnych namiastek!

Pogłaskał Beth po policzku i delikatnie uniósł jej brodę, wpatrując się w piękne usta.

- Czy naprawdę potrafi mi pani zaufać?

- Tak - szepnęła.

Roześmiał się, pochylił się jeszcze bardziej, cmoknął ją w usta i cofnął rękę.

- Znowu mnie pani przechytrzyła, lady Allerton - mruknął trochę rozżalony, pomagając jej wstać i prowadząc ku drzwiom salonu. - Ja tu zebrzę o pani zaufanie i co się dzieje? - Z niedowierzaniem pokręcił głową. - Powinna pani teraz spojrzeć w lustro. Oto prześliczna, leciutko wstawiona .

młoda dama patrzy na mnie tak ufnie jak mała dziewczynka.

To naprawdę odpowiedni moment, żeby w ten sposób na mnie popatrzeć. Ma pani bezbłędne wycucie czasu.

Zapalił świecę, kpiąco uniósł brwi i wręczył jej lichtarz.

- Mam nadzieję, że sama trafi pani do swego pokoju.

W moim towarzystwie nie byłaby pani bezpieczna.

Beth wzięła od niego świecę i bez słowa wbiegła po schodach. Miała świadomość, że jest mocno wstawiona, ale wszystkiemu winien Markus, bo dolewał jej brandy. Mniejsza z tym! Bardziej interesował ją całus, który wiele obiecywał. Markus zachował się dziś jak dżentelmen, ale jego ton zapowiadał, że w przyszłości uczucia wezmą górę nad konwenansami. Wrogowie czy kochankowie? Beth już dokonała wyboru i choć była podchmielona, myślała trzeźwo. Zamknęła za sobą drzwi sypialni i przekręciła klucz w zamku.

Na razie wystarczyło jej, że pogodziła się z Markusem, że znowu są w przyjaźni, ale w przyszłości... Szybko zdjęła ubranie, położyła się do łóżka i zdmuchnęła świecę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez cały następny tydzień Beth nie znalazła czasu na odwiedzin u Jacka Cade'a i rozmowę o swoim dziadku. Salome Trevithick uznała, że musi jak najszybciej zapoznać Beth z całą wyspą. Codziennie pakowała ją do dwukółki i obwoziła po okolicy, odwiedzając wieśniaków i dzierżawców. Pokazywała jej również najpiękniejsze miejsca na wyspie, zwane szumnie punktami widokowymi. Pod koniec tygodnia Beth miała zamęt w głowie. Mieszały jej się nazwiska i nazwy, ale z tych wycieczek płynęły także ogólniejsze wnioski. Beth miała okazję zobaczyć na własne oczy, jak bardzo Salome angażowała się w życie mieszkańców wyspy, którzy byli do niej głęboko przywiązani. Nową właścicielkę witali z należytym respektem, ale bez entuzjazmu. Beth nie zrażała się tym, ponieważ miała świadomość, że na szacunek i przywiązanie trzeba zasłużyć. Nie dostaje się ich za darmo. Naśladowała Salome, spędzając długie godziny w szkole i wybranych domach. Gawędziła z wieśniakami, czytała dzieciom książeczki i bawiła się z nimi na dworze, jeśli pogoda dopisywała. Niewiele czasu spędzała samotnie, a gdy miała wolną chwilę, chodziła na długie spacery, podziwiała widoki albo obserwowała morze i grę chmur na niebie.

Nie uszło jej uwagi, że Markus zrobił bardzo dobre wrażenie na swoich dzierżawcach. Sporo czasu spędzał z zarządcą Colinem McCrae. Omawiał z nim plany i propozycje dotyczące upraw oraz portu. Gdy była taka potrzeba, z innymi brał się do pracy i nie bał się pobrudzić sobie rąk przy codziennych, prozaicznych zajęciach. W jednym z gospodarstw budowano właśnie nową stodołę. Markus, rozebrany do pasa, od rana pracował z innymi.

Salome podjechała tam dwukółką i przywołała bratanka, a potem dobrodusznie kpiała z jego zatrudnień. Beth odwróciła wzrok, bo na widok obnażonego muskularnego torsu opalonego na brąz poczuła się zbита z tropu. Utkwiła spojrzenie w stadzie owiec pasących się nieopodal. Wkrótce jednak uświadomiła sobie, że niejako wbrew swojej woli przygląda się znów Markusowi, który poczuł na sobie jej wzrok. Podniósł głowę znad roboty i pytająco uniósł brwi, jakby chciał się dowiedzieć, o co jej właściwie chodzi i czy na pewno dobrze się czuje. Problem w tym, że samopoczucie Beth nie było najlepsze. Policzki miała rozpalone, serce jej kołatało, puls bardzo przyspieszył. Obawiała się, że ma gorączkę. Czy to influenza? Salome zerknęła na nią kątem oka i powiedziała z uśmiechem, że jej zdaniem Beth ma dosyć mocnych wrażeń i powinna wrócić do domu. Po tej zagadkowej uwadze ruszyła prosto do zamku.

Długie jesienne wieczory spędzali Salome, Beth i Markus razem w zamkowej jadalni i salonie. Po kilku dniach wspólnego bytowania w średniowiecznych murach Markus po kolacji podszedł do Beth i poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Wyjaśnił, że przez jakiś czas pozostaną na Fairhaven, bo muszą czekać na powrót wielebnego Johna. Markus nie chciał opuścić wyspy, nie omówiwszy z nim i z Salome ważnych spraw dotyczących przyszłości ich obojga, co było niemożliwe, dopóki duchowny nie wróci z Exeter. Beth skwapliwie przyznała mu rację i chętnie zgodziła się przedłużyć > pobyt na wyspie. Wołała nie sprawiać wrażenia, jakby zmierzała wymówić Trevithickom dom i pozbyć się ich z Fairhaven. Napisała do Charlotte list z wyjaśnieniem i zapewniła, że na Boże Narodzenie wróci do Mostyn Hall. Gdy się z tym wszystkim uporała, znalazła wreszcie czas, żeby odwiedzić starego wieśniaka, który znał jej dziadka.

Jack Cade mieszkał w samotnej chacie na niewielkim wzgórzu, którą od wioski dzieliło niespełna półtora kilometra. Z relacji Markusa wynikało, że przez całe życie pracował jako rybak, ale na starość nie mógł już wypływać w morze, więc żył samotnie z dala od ludzi. Inni wyspiarze uważali go za dziwaka, ale darzyli szacunkiem, ponieważ należał do grona najstarszych mieszkańców wyspy.

Beth podeszła do drzwi chaty wąską ścieżką obramowaną muszlami. Kilka rachitycznych krzewów rosło pod osłoną pomalowanych na biało ścian, a na trawie porastającej zbocze pagórka walały się stare liny i sieci. Między nimi spokojnie pasły się owce.

Beth nieśmiało zapukała do drzwi. Nadeszła wreszcie odpowiednia chwila, żeby porozmawiać z rówieśnikiem jej dziadka, od którego wiele mogła się dowiedzieć o swojej rodzinie. Była przejęta i podekscytowana. Drzwi skrzypnęły i uchylły się nieco, a w szparze dostrzegła zgarbioną postać wiekowego starca. Uśmiechnęła się na powitanie.

- Wy jesteście Jack Cade? - odezwała się. - Nazywam się Beth Allerton. Mówiono mi, że znaleście mego dziadka, Charlesa Mostyna. Chciałam prosić, żebyście mi o nim opowiedzieli.

Stary rybak zmierzył ją badawczym spojrzeniem. Oczy miał bystre i lśniące niczym jastrzęb, a twarz, szorstka i spalona słońcem na ciemny brąz, przypominała maskę z surowej, marnie wyprawionej skóry. Uśmiechnął się, pokazując poczerniałe, zepsute zęby.

- Tak sobie myślałem, że pani tu przyjdzie, milady. Zgadza się, znałem Charlesa Mostyna i niejedno mogę o nim opowiedzieć.

Beth zadrżała, ogarnięta niecierpliwością. Wkrótce miała poznać całą prawdę i usłyszeć, co się wydarzyło tamtej nocy, gdy lord Mostyn stracił życie.

- Niech jasnie pani wejdzie do środka i usiądzie sobie powiedział staruszek z uroczą, staroświecką kurtuazją.

Cofnął się, przepuszczając ją w drzwiach, i gestem zaprosił do środka. Zrzucił na podłogę sieci i pływaki pozostawione w fotelu stojącym najbliżej kominka. Beth usiadła i rozejrzała się z ciekawością. W chacie była tylko jedna izba, schludna i starannie urządzona. W kominku płonął ogień. Na ścianach wisiały rozmaite znaleziska wyrzucone na brzeg przez fale i obrobione wcześniej przez nie na podobieństwo osobliwych dzieł sztuki: wielkie poroże, butelka z ciemnego szkła, zbielała i dziwnie powyginana gałąź. Zapewne Cade od dawna kolekcjonował takie ciekawostki.

Starzec usiadł w fotelu naprzeciwko Beth. Mruczając i pojękując, wiercił się tak długo, aż znalazł odpowiednią pozycję. Przysunął sobie butelkę whisky i postukał fajką o poręcz fotela, żeby wyrzucić popiół. Napełnił cybuch świeżym tytoniem. Zapalił i długo pykał w milczeniu, aż fajka dobrze się rozpałała. W izbie zapachniało wonnym dymem i alkoholem.

- Charles Mostyn... - zaczął z namysłem. - Rządził tu, zanim nastał stary lord. Mówiliśmy o nim: Wredniak. Wredny Lord. - Głos mu się załamał i przeszedł w starczy chichot. - Całkiem inny od tego młodziaka, który tu do nas zjechał. Widać, że miastowy, ale dobry człowiek. Może ze spróchniałego pnia wyszła cudem nowiutka, zdrowa latorośl.

Beth milczała i nie popędzała starego, chociaż jej cierpliwość została wystawiona na trudną próbę. Uśmiechnęła się do Cade'a. Chętnie słuchała, jak wyspiarze chwala Markusa. W ostatnim tygodniu często miała po temu sposobność.

- Stary lord... - ciągnął Jack Cade. - Podły był bez dwóch zdań. Mostyn też. Obaj siebie warci, łotry. Jedno lichy. A my z deszczu pod rynnę.

Beth wyprostowała się i lekko zmarszczyła brwi. Nie wierzyła własnym uszom!

- Z deszczu pod rynnę? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Jedno lichy? Cade, jakże to?

Starzec zaciągnął się dymem z fajki. - Trevithick był popędliwy i gwałtowny, Mostyn okrutny podstępny. Jeden krzywdził ludzi w gniewie, a ten drugi z mściwości. Łebski był z niego facet, wie pani? - Surowy wzrok Cade'a przygwoździł Beth do fotela. - Ściągnął nam tu handlarzy, choć mówiliśmy, żeby tego nie robił, bo trefny towar sprowadzi na nas same kłopoty. Ale nie słuchał. On i jego kompani potrzebowali sporo grosza. - Trefny towar?

- No pewnie! Stary lord zadawał się z przemytnikami! - oznajmił tryumfalnie Jack Cade. - Handel szedł wtedy na całego. Statki tylko śmigały wzdłuż wybrzeża. Taka prawda! Kto miał łódź, ładował towar i jazda! Ale Mostyn przebił wszystkich, bo miał wyspę. Rządził tutaj żelazną ręką i robił, co chciał.

Beth siedziała ze ściśniętym gardłem. Nie to spodziewała się usłyszeć. Inne legendy opowiadano jej przed laty w pokoju dzieciennym w Mostyn Hall. Odchrząknęła nerwowo.

- Jesteście pewni, Cade? Rzecz w tym... - Napotkała jego bystre, przesywające spojrzenie. - Chodzi o to, że w rodzinnych historiach Charles Mostyn został przedstawiony całkiem inaczej.

- A co mieli jaśnie pani opowiadać? Kto by tam chciał mówić całą prawdę ślicznej dziewczeczce, która wcześniej straciła rodziców i została sama, samiuteńka? - wyjaśnił z prostotą starzec. - Mostynowie sporo chcieliby ukryć przed światem, oj sporo.

Beth westchnęła głęboko. Trzęsła się cała do tego stopnia, że musiała mocno zacisnąć dłonie, aby przestały dygotać. Nie radosne oczekiwanie, tylko bolesne cierpienie wywołało te dreszcze. Było jej ciężko na sercu, gardło miała tak ściśnięte, że nie potrafiła wykrztusić słowa, ale postanowiła wytrwać do końca opowieści. Musiała poznać całą prawdę.

- Co się wydarzyło? - szepnęła. - Chodzi mi o to, jak Charles Mostyn skończył życie.

Cade popatrzył na nią współczująco. Litował się nad nią. Kolejny cios prosto w serce. Teraz spodziewała się najgorszego.

- W końcu między przemytnikami handlującymi nielegalnie na naszych wodach tyle było scysji, że Trevithick i Mostyn stanęli do walnej rozprawy. - Starzec zakasłał. - Trevithick wygrał i zagarnął wyspę. Od tamtej pory nikt Mostynów nie postawił na niej stopy. Pani jest pierwsza.

- Jak Trevithick zdobył wyspę? - zapytała Beth.

Wpatrywała się uważnie w starego rybaka, który sięgnął po butelkę whisky, pociągnął z niej tęgi łyk, otarł usta rękawem i cmoknął wargami.

- Aha! Ostatnia awantura. Wie pani, wtedy poszło o ładunek brandy, na który czekał Mostyn. Handlarze dostarczyli towar na czas, ale Mostyn spóźnił się na spotkanie. Trevithick go ubiegł i przejął ładunek. Zaproponował przemytnikom podwójną cenę w zamian za odstąpienie ładunku i pomoc w zagarnięciu wyspy. - Cade smutno pokiwał głową. - Nie musiał ich długo przekonywać. Mostyn był powszechnie znienawidzony. Trevithick również uchodził za łotra, ale przynajmniej dobrze płacił, więc gdy Mostyn zjawił się wreszcie, napadli go i rozsiekli na kawałki. Jaśnie pani raczy mi darować. Przy damie nie mówi się takich rzeczy, ale było, jak było i już.

- Sądziłam, że... - Beth urwała w pół zdania, westchnęła głęboko i zaczęła ponownie: - Mówiono mi, że zaatakowali go podstępnie ludzie Trevithicka, który skradł także rodowe srebra.

Staruszek zachichotał.

- Nie było żadnych sreber, milady. Tylko miecz, no i pierścień. - Wstał i pokuśtykał do starego marynarskiego kufra, który stał w rogu izby. - Nigdy go nie włożyłem, bo myślałem, że się nie godzi, skoro Trevimick ściągnął go z trupiego palca. Najlepiej oddam ten klejnot pani, bo to przecież dziadkowy pierścień, więc się pani należy.

Beth odruchowo wyciągnęła rękę, a Cade położył na niej sygnet. Oczyma pełnymi łez popatrzyła na herb Mostynów grawerowany w złocie oraz na dewizę, nieco zatartą po tylu latach i ledwie czytelną: „Pamiętaj”. Ukryła pierścień w zaciśniętej dłoni.

- Co się stało z mieczem Saintonge? - spytała Beth, szczerze zdumiona, że głos jej nie drży. - Czy Trevithick również go zabrał?

Cade pokręcił głową.

- Miecz pękł w czasie walki, milady. Mam tutaj ułomek, ale na pewno całkiem zardzewiał przez te wszystkie lata.

Beth czuła, że lada chwila się rozplacze, a nie chciała, żeby stary rybak widział, jak zalewa się łzami. Zerwała się na równe nogi.

- Wybaczcie, Cade, muszę iść. To bardzo miło z waszej strony, że mi wszystko opowiedzieliście, ale na mnie już czas.

Cade niezdarnie poklepał jej dłoń.

- Niech łaskawa pani wybaczy staremu. Ja bym ukrył to i owo, ale jego lordowska mość tłumaczył, że należy powiedzieć całą prawdę.

Beth znieruchomiała z dłonią na klamce. Przygnębienie zniknęło, a łzy szybko obeschły. Spojrzała na Cade'a. Promień słońca wpadający do izby przez okno świecił jej prosto w twarz, więc zniecierpliwiona cofnęła się w cień.

- Jego lordowska mość? Lord Trevithick? Kiedy z wami rozmawiał?

- Zjrzał niedawno i uprzedził, że lady Allerton szuka ludzi, którzy znali jej dziadka. Zapowiedział mi, że bym niczego nie ukrywał. Mówił, że to ważne.

Beth obróciła się na pięcie i wybiegła z chaty. Przestraszone owce, które skubały trawę przy furtce, rozpierzchły się na wszystkie strony. Beth popędziła w stronę wioski. Gdy weszła między chaty, czuła na sobie ciekawskie spojrzenia gapiów. Jak burza wpadła przez bramę na dziedziniec gospodarstwa, gdzie ostatnio widziała Markusa ładującego siano na wóz. Na szczęście jeszcze tam był. Właśnie rzucono do sąsiedka ostatnie wiązki. Markus stał obok stodoły, gawędząc z Colinem McCrae.

- Lordzie Trevithick! - Daremnie usiłowała przybrać władczy ton. Głos jej drżał, jakby miała wybuchnąć płaczem. Trzeba wziąć się w garść! - Lordzie Trevithick, muszę z panem porozmawiać. Natychmiast!

Markus zamienił jeszcze kilka słów z Colinem McCrae, podszedł do Beth, wziął ją pod rękę i wyprowadził za bramę.

- Widziała się pani z Cade'em, lady Allerton? Jak nastrój? - zapytał, przyglądając się jej badawczo.

- Fatalny! - odparła ze złością. Na policzkach miała ciemne rumieńce. Mimo jesienno chłodu było jej gorąco.

- Jak pan śmiał postawić mnie w takiej sytuacji, milordzie!

- Oburzona podniosła głos. - Posłał mnie pan do tego starca, chociaż wiedział pan, jaką opowieść o moim dziadku od niego usłyszę. Mógł pan zaoszczędzić mi cierpień, samemu opowiadając to wszystko.

- To nie jest odpowiednie miejsce na takie rozmowy - ostrzegł Markus, ściskając jej dłoń. Obejrzał się przez ramię i zobaczył grupkę wieśniaków, którzy mimo oznak zakłopotania z ciekawością przyglądali się jasnie państwu. Beth odsunęła się ostentacyjnie. W tym momencie było jej całkiem obojętne, kto ją obserwuje. *Nie* przejęłaby się nawet wtedy, gdyby wszyscy mieszkańcy wyspy zbiegli się tutaj, szukając rozrywki.

- Proszę mnie puścić! - syknęła. - Zachował się pan haniebnie.

Markus spojrział na nią gniewnie i mocno chwycił za ramię.

- Czy uwierzyłaby mi pani, gdybym oznajmił, że Charles Mostyn był zwykłym przemytnikiem, lady Allerton? Nie sądzę. Do niedawna w ogóle mi pani nie ufała. Uznałem, że powinna pani usłyszeć te rewelacje z innego źródła.

Beth długo patrzyła w ciemne oczy, lśniąco z gniewu i oburzenia. Gapie przestępowali z nogi na nogę i szeptali między sobą. Stali w pobliżu, więc Beth słyszała ich stłumione głosy.

- Cade gadał z nią o Charlesie Mostynie. Biedactwo tamci wmówili jej, że był dobrym człowiekiem.

Ich współczucie sprawiło, że przepełniła się czara goryczy. Tylko Markus nie miał dla niej litości. Smagła twarz była niczym kamienna maska. Beth z krzykiem wyrwała mu ramię. Odwróciła się plecami do wszystkich i ruszyła po stromym zboczu, pędząc ku zamkowi. Nogi niosły ją tak szybko, że lękała się upadku, ale nie była w stanie się zatrzymać. Wiatr świszczął jej w uszach, kosmyki włosów zasłaniały oczy, więc niewiele widziała. W pędzie otworzyła zamkową bramę i biegła przez trawnik w stronę urwiska.

- Beth! Na miłość boską! Zatrzymaj się, bo spadniesz! Markus podbiegł z tyłu i chwycił ją wpół. Zabrakło jej tchu, gdy oboje zwałili się na ziemię. Rozżalona i oburzona, zanosiła się od płaczu. Daremnie próbowała go odepchnąć i wyrwać się z mocnego uścisku. Musiał całym swoim ciężarem przygnieść ją do ziemi, żeby zaniechała oporu. Leżała

nieruchomo, starając się powstrzymać szloch. Przez płaszcz czuła chłód wilgotnej trawy. Gorące łzy spływały jej po policzkach, wsiąkając w podmokły grunt. - Beth, kochanie... - usłyszała łagodny i współczujący głos Markusa. Nie opierała się, gdy usiadł i wziął ją w ramiona, kołysząc jak dziecko. Płakała, jakby jej miało serce pęknąć. Długo wylewała potoki łez. Wkrótce klapy jego surduta były zupełnie mokre. Cierpliwie głaskał ją po włosach i pocieszał, przemawiając łagodnym głosem. Mruczał słowa pozbawione sensu, które jednak koily stargane nerwy lepiej niż sole trzeźwiące. Wieki minęły, nim uniosła głowę, wierzchem dłoni wytarła mokre policzki i powiedziała cicho:

- Ja nigdy nie płaczę.

Markus uśmiechnął się i odgarnął ciemne włosy zasłaniające mokrą twarz.

- Aha. Zauważyłem. - Wstał i pomógł jej się podnieść. - Chodź, musisz wejść do środka. Przesiadanie na mokrym trawniku z pewnością nie wyjdzie ci na zdrowie. - Oboje byli tak przejęci, że zapomnieli o formach grzesnościowych.

Beth przytuliła się do niego.

- Markusie.

- Wiem. - Na moment zamknął ją w mocnym uścisku, a potem objął w talii i poprowadził w stronę zaniku.

Lady Salome powitała ich u frontowych drzwi. Niosła napełniony owocami ogrodniczy kosz. Wyglądała na zatroskaną.

- Wiem o wszystkim - oznajmiła, współczująco głaszcząc ramię Beth. - Moje biedne dziecko, w jednej chwili pozbawiono cię złudzeń. Życie bywa okrutne. Rani do krwi.

Oto jest krew nowego przymierza... Mateusz, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem!

Zapłakana Beth dostała czkawki i zaczęła chichotać.

- Lady Salome, pani zawsze wie, jak dodać człowiekowi otuchy.

- Kieliszek madery i łóżko nagrzane szkandelą. Tego ci potrzeba, dziecino - zarządziła Salome. - Idź na górę, kochanie. Dopilnuję, żebyś wypoczęła. A ja wam dam ukojenie.

- Księga Wyjścia, rozdział trzydziesty drugi, wers szesnasty - oznajmił z westchnieniem Markus.

- Mateusz, rozdział jedenasty, wers dwudziesty ósmy - rzuciła na odchodnym lady Salome i spojrzała na niego z politowaniem. - Markusie, zawołaj panią McCrae i poproś, żeby przyniosła gorący bulion i moje mikstury.

- Nie jestem chora! - pisnęła z oburzeniem Beth, wleczone na górę silną ręką lady Salome.

- Bzdura! Przeżyłaś szok, więc musisz się najeść, dużo pić i porządnie wypocząć. Dam ci coś na sen - oznajmiła starsza pani tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Uchyliła drzwi sypialni i stanowczym gestem wepchnęła Beth do środka.

- Zapamiętaj sobie moje słowa. Za pół godziny będziesz spała jak suszał.

Beth słuchała kojącego szumu morza. Niechętnie otworzyła oczy. W sypialni paliła się świeca, zasłony były zaciągnięte. Przy łóżku siedziała zaczytana Marta McCrae. Gdy podniosła wzrok znad książki i napotkała spojrzenie Beth, uśmiechnęła się szeroko.

- Jak się pani czuje, milady?

- Spałam? - Beth zmarszczyła czoło. - Dobry Boże! Pamiętam tylko, że lady Salome kazała mi wypić kieliszek madery i potem nic. Ciemność. Ojej, jestem okropnie głodna!

Marta zerwała się na równe nogi. - Jest świeżutki rosół ugotowany dziś po południu, milady. Skoczę na dół i zaraz przyniosę... - Proszę zaczekać! - przerwała Beth. Położyła dłoń na rękawie ochmistrzyni. - Marto, proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy wszyscy na Fairhaven wiedzą, jakim nikczemnikiem był mój dziadek?

Marta wierciła się niespokojnie, unikając wzroku Beth.

- Tak, milady. Każdy tu u nas zna dawne opowieści, ale tylko stary Jack Cade i niektórzy jego rówieśnicy pamiętają... - Załamała dłonie. - Tak mi przykro, milady. Sądziłyśmy, że pani też słyszała, jak to było. Potem jego lordowska mość wyjaśnił Colinowi, że opowiadano pani całkiem inne historie. Baliśmy się, co z panią będzie, kiedy prawda wyjdzie na jaw... - Spojrzenie smutnych piwnych oczu, wyrażające głębokie współczucie, spotkało się ze wzrokiem Beth. - Ostatnimi czasy tyle mamy zmian. Jego lordowska mość zaczął się nami interesować, a potem nagle oznajmił, że pani dostaje Fairhaven, więc lękaliśmy się, co będzie z lady Salome i wielebnym Johnem. Wszystko się skomplikowało. Nie wiedzieliśmy, co z tego wyniknie.

Beth kiwnęła głową.

- Rozumiem. Mogę tylko zapewnić, że zainteresowanie wyspą okazywane przez lorda Trevithicka jest szczerze. Tyle już zrobił dobrego...

Marta uśmiechnęła się. Można by pomyśleć, że słońce przedarło się przez chmury.

- Oj, milady! Teraz dopiero jesteśmy w kropce. Jak to mówią, osiołkowi w żłoby dano. Już wiemy, że zależy pani na pomyślności Fairhaven, ale lord Trevithick to dobry człowiek i wiele już dla nas zrobił. Gdyby się udało zatrzymać was oboje... - Umilkła w pół zdania, wstała i dygnęła wdzięcznie. - Przepraszam, milady. Nie chciałam być impertynencka. Zaraz przyniosę rosół.

Beth leżała w ciepłym łóżku, rozmyślając o wydarzeniach ostatnich dni. Znała teraz wszystkie przyczyny, które sprawiły, że wyspiarze przyjęli ją chłodno. Była przecież wnuczką bezwzględnego Charlesa Mostyna. Usiadła na łóżku, sięgnęła po lizeskę i narzuciła ją na ramiona.

- Jaka szkoda! Nasza chora jest zapięta pod samą szyję! - Znajomy głos dobiegający od progu wyrwał ją z zadumy. Spojrzała na drzwi i zobaczyła Markusa idącego w stronę łóżka. Jak dawniej uśmiechał się kpiąco. Gestem wskazał brzeg posłania.

- Mogę?

- No cóż... - Zmarszczyła brwi. - Nie wypada, żeby pan mnie tu odwiedzał, milordzie - odparta bardzo oficjalnym tonem. - Co by na to powiedziała lady Salome?

- Domyślam się - odparł nonszalancko, a potem dodał, jakby chciał się usprawiedliwić: - Marta zapomniała do mknąć drzwi, a co ważniejsze, chciałem zapytać, jak się pani czuje. Bardzo się o panią martwiłem.

Beth odwróciła wzrok. Była mocno zawstydzona, gdy uświadomiła sobie, że leży pod kołdrą w cieniutkiej nocnej koszuli i lekkiej lizesce. Była trochę rozczarowana, że Markus nie zwrócił na to uwagi. Zirytowana, że przychodzą jej do głowy takie głupie myśli, nakazała sobie spokój i spojrzała mu w oczy.

- Milordzie, proszę mi pozwolić dojść do słowa. Najpierw chciałabym pana przeprosić...

Położył rękę na jej dłoni i pokręcił głową.

- Beth, nie trzeba. Przeżyłaś szok, byłaś wstrząśnięta. Nie panowałaś nad sobą, więc mówiłaś pochopnie, ale to zrozumiałe - przekonywał Markus. Formy grzecznościowe znów poszły w zapomnienie.

Beth uśmiechnęła się lekko.

- Dziękuję za wyrozumiałość. - Zawahała się na moment. - Teraz rozumiem, dlaczego sam nie powiedziałeś mi całej prawdy. Dobrze się stało, że usłyszałam ją od człowieka, który widział to wszystko na własne oczy.

- Wierz mi, gdyby istniał sposób, żeby oszczędzić ci bólu, inaczej przedstawić fakty...

Beth czuła, że się rumieni. Z ulgą pomyślała, że Markus tego nie widzi, bo w sypialni pali się tylko jedna świeca. Wyczuwało się między nimi niezwykłą więź i silne napięcie wynikające z ogromu uczuć, które wciąż pozostawały nienazwane.

- Muszę przyznać... że jest mi głupio - oznajmiła Beth po chwili milczenia. - Przez tyle lat rodowa legenda Mostynów... - Zawahała się, szukając odpowiednich słów. Po chwili dokończyła. - Ta opowieść była dla mnie swoistym talizmanem. Niezwykłe przygody, zawiła

intryga, zdrada, utracone kosztowności, dobro pokonane przez zło... Tak to widziałam. Okazało się jednak... - Znowu umilkła.

- Prawda jest taka, że walczyli ze sobą przywódcy dwu skłóconych rodów. Żaden z nich nie zasługiwał na to, żebyś o nim dobrze myślała - dokończył sarkastycznie Markus.

Beth westchnęła dramatycznie.

- Mój plan odzyskania Fairhaven opierał się na fałszywych przesłankach. Śniłam na jawie! Aż trudno uwierzyć! Od dzieciństwa karmiłam się rojeniami.

Markus puścił jej dłoń i nagle wstał. Nie widziała jego twarzy, ale głos miał zmieniony.

- Nic dziwnego. Wszystkie dzieci są marzycielami i chętnie uciekają w świat fantazji, a ty wcześniej straciłaś rodziców i odruchowo szukałaś takich wartości, które by ci zastąpiły ciepło rodzinnego domu. - Uśmiechnął się do niej. - Na mnie już czas. Marta zaraz przyniesie rosół i będzie wstrząśnięta, gdy mnie tu zastanie.

Gdy wyszedł, Beth długo i uporczywie wpatrywała się w ogień buzujący w kominku. Uświadomiła sobie, że Fairhaven stało dla niej prawdziwą obsesją, dla której gotowa była poświęcić wszystko i każdego, podjąć największe wyzwanie i ryzykować śmiało, niemal desperacko. To swoiste opętanie przybrało na sile, gdy wyspa zdawała się w zasięgu ręki.

Otuliła się ciepłą kołdrą i ze spokojem analizowała własne postęпки. To cudowne uczucie myśleć trzeźwo i bez emocji oceniać fakty. Nareszcie pozbyła się uprzedzeń i dlatego po raz pierwszy od wielu lat spokojnie zastanawiała się nad swoimi planami i dążeniami w związku z Fairhaven. Uświadomiła sobie, że nie tylko ona płaciła za nie wysoką cenę. Ucierpiała także Charlotte, która, jak przystało na wierną i lojalną przyjaciółkę, uznała za stosowne towarzyszyć kuzynce w szalonej wyprawie z Londynu do Devon. I co jej z tego przyszło? Została sama jedna u wielebnego Theo, zdana na opiekę i pomoc obcych ludzi. Beth już wcześniej miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ale teraz była po prostu zdruzgotana.

Czuła się także winna wobec Markusa. Przed kilkoma tygodniami - niekiedy miała wrażenie, że od tamtej pory minęły całe wieki - bała się, że pokocha go zbyt szybko, zbyt mocno. Z tego powodu rozpoczęła szaleńczą rywalizację i wymyśliła idiotyczny wyścig: kto pierwszy postawi stopę na Fairhaven. Nie przebierała w środkach, żeby dopiąć swego, ale najważniejsza korzyść polegała na tym, że zrobiła sobie z Markusa wroga numer jeden, którego musiała pokonać, żeby spełnić marzenie o odzyskaniu wyspy dla rodu Mostynów. A jednak pod płaszczykiem zażartej walki o palmę pierwszeństwa rozkwitło gorące uczucie.

Beth z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jest beznadziejnie, do szaleństwa zakochana w Markusie.

Jęknęła, przekręciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce.

- Milady, źle się pani czuje?

Beth odwróciła się, podniosła głowę i ujrzała Martę McCrae stojącą przy łóżku z kubkiem gorącego rosółu na srebrnej tacy.

- Marta! Nie słyszałam, jak wchodziłaś. Czuję się bardzo dobrze. Dzięki za troskę.

Marta postawiła tacę na nocnym stoliku i wyszła.

Beth wypila rosół do ostatniej kropli, a potem wysunęła się z łóżka, postawiła stopy na podłodze i podbiegła do stojącego przed kominkiem fotela, na którym zostawiła ubranie.

Nadal tam leżało. Z kieszeni płaszcza wyjęła sygnet dziadka.

Położyła go na dłoni i w migotliwym świetle bijącym od kominka raz jeszcze przeczytała inskrypcję: Pamiętaj...

Za dużo mocnych wrażeń. Zbyt wiele wspomnień i faktów z cudzej przeszłości, które ciążyły jej niczym kamień przywiązany do szyi skazańca. Ten pierścień symbolizował brzemień przeszłości. Musiała się go pozbyć. Otworzyła okno. Wiatr szarpał zasłony i sypał do środka płatki śniegu. Raz jeszcze spojrzała na sygnet i z całej siły rzuciła go w ciemność. Niech przepadnie w spienionych falach, które rozbijały się o skalisty brzeg!

- Ślicznie pani wygląda, milady - zachwyciła się Marta McCrae, układając kruczoczarne włosy Beth w elegancki kok.

Beth z uznaniem spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

- Kto by pomyślał, Marto, że uszyłaś mi tę suknię ze starej zasłony.

Uradowana Marta wybuchnęła śmiechem.

- Zasłony są nie byle jakie, milady. Najlepszy aksamit z naszego salonu. Zresztą przy takiej figurze wyglądałaby pani ślicznie nawet w kreacji z jutowego worka. - Spojrzała z ukosa na Beth. - Idę o zakład, że jego lordowska mość całkiem straci głowę.

Beth czuła, że się rumieni. Odkąd uświadomiła sobie wreszcie, że kocha Markusa, nieustannie o nim myślała. Czuła się z tym nieswojo, więc próbowała go unikać, żeby nie wyczytał z jej oczu niemej prośby o wzajemność. Czuła się wobec tej miłości bezradna jak pensjonarka, która niedawno opuściła szkolne mury i dopiero wkracza w dorosłe życie. Na szczęście Markus nie zauważył powłóczyстых spojrzeń ani cielecego zachwyty. Całe dni spędzał z Colinem, realizując najrozmaitsze projekty, których celem było wprowadzenie licznych usprawnień w wyspiarskich dobrach. Codziennie objeżdżał majątek, w tym czasie

Beth pomagała lady Salome w oranżerii. Tak minął kolejny tydzień. Nadszedł czas dorocznej zabawy tanecznej, na Fairhaven urządzonej zawsze jesienią.

- Sądzę, że wiele młodych dam będzie dziś próbowało zwrócić na siebie uwagę lorda Markusa - odparła Beth z udawaną nonszalancją. - Nie oczekuję, że zdołam go zagarnąć wyłącznie dla siebie.

Marta wydawała się zawiedziona. Dla Beth źródłem nieustannego rozbawienia były plotki krążące wśród wyspiarzy na temat jej zażyłości z Markusem. Początkowo uważano lady Allerton za kochankę lorda, ale nieporozumienie szybko zostało wyjaśnione. Teraz większość mieszkańców byłaby rada, gdyby zostali kochankami. Beth podejrzewała, że najchętniej pożeniliby ich dwoje dla dobra Fairhaven. Wtedy nie byłoby problemów z tytułem własności. Beth nie łudziła się jednak, że takie rozwiązanie jest możliwe. Od kilku dni obserwowała go podczas co - dziennej gospodarskiej krzątania i doszła do wniosku, że popełniła błąd, starając się odebrać mu wyspę. Zamierzała wkrótce porozmawiać z nim na ten temat.

Beth zorientowała się, że Marta nadal ją obserwuje, i uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Poza tym nie mogę interesować się wyłącznie lordem Markusem, bo chcę przynajmniej raz zatańczyć z twoim Colinem, droga Marto. A skoro już mowa o tańcach, nie sądzisz, że powinnaś teraz iść do siebie i wystroić się na bal? Tyle czasu zmitrężyłaś, pomagając mi, że niewiele go już zostało dla ciebie. Wkrótce trzeba zejść na dół.

Gdy Marta pobiegła się przebrać, Beth sięgnęła po swój woreczek i stanęła przed lustrem, podziwiając świetnie skrojoną suknię z wiśniowego aksamitu, który znakomicie podkreślał urodę szarosrebrzystych oczu i bogactwo czarnych loków. Wyglądała odświeżenie i cieszyła się z tego, bo okazja była wyjątkowa: doroczna zabawa wyspiarzy z Fairhaven. Beth westchnęła machinalnie. Czuła się jak debiutantka przed pierwszym bale. Paradoksalnie marzyła o tym, żeby ukryć się w tłumie i nie zwracać na siebie uwagi.

Z sali balowej na parterze dobiegła skoczna muzyka. Beth rozpoznała dźwięk skrzypiec i bębnow. Wraz z muzykantami przybyli zapewne mieszkańcy Fairhaven. Pora się do nich przyłączyć. Mała nadzieję, że Markus będzie nazbyt zaabsorbowany witaniem gości, żeby zwrócić na nią uwagę.

Daremnie łudziła się, że zniknie w tłumie. Gdy zeszła do zamkowej sieni, Markus już tam był, ubrany w elegancki wieczorowy strój, który na pewno nie pochodził z rodzowego kufra. Bawił rozmową lady Salome. Jej satynowa żółta suknia i bogato zdobiona zielona narzutka od razu przyciągały wzrok. Całości dopełniał stroik na głowę wykonany z mewich piór.

Gdy Beth zatrzymała się w połowie schodów, Markus podniósł głowę i nie odrywał wzroku od jej postaci dopóty, dopóki nie stanęła na ostatnim stopniu. Zmieszała się pod jego uporczywym spojrzeniem. Podeszedł bliżej, ujął szczupłą dłoń i złożył na niej pocałunek.

- Ślicznie pani wygląda, lady Allerton. Podziwiam interesujący naszyjnik. Idealnie podkreśla barwę pani oczu.

Beth roześmiała się i odruchowo dotknęła paciorków, które otaczały jej szyję. Nie zabrała ze sobą w podróż żadnej biżuterii, ale suknia, mocno wycięta z przodu, aż się prosiła o jakąś ozdobę. Nieco onieśmielona Marta przyniosła jej naszyjnik wykonany z szarych kamyków znalezionych na plaży. Beth uznała, że są równie piękne jak kosztowne perły i brylanty, które zostawiła w sejfie londyńskiego mieszkania. Założyła je na bal, szczerze wzruszona gestem Marty.

- Królowa Saba w odświętnych szatach wita króla Salomona - oznajmiła z teatralnym gestem pachnąca wytwornymi perfumami lady Salome. Podeszła, żeby objąć Beth. - Muzykanci już grają. Zaczęły się tańce. Szkoda czasu na gadanie. Idę poskakać!

Markus podał ramię Beth. Dystyngowanym krokiem ruszyli do sali balowej, gdzie tańczono już skoczego kadryla.

- Zdumiewające, jak wielu muzykantów jest na Fairhaven, milordzie. Grają świetnie. Taki czysty dźwięk! - zauważyła Beth przyglądając się licznej orkiestrze. - Jak im się udaje mimo dużej wilgotności powietrza utrzymać instrumenty w dobrym stanie?

Markus roześmiał się głośno.

- Nasi wyspiarze to roztropni i zaradni ludzie. Zapytani, dlaczego mają tak dużo dzieci oraz tylu muzykantów, odpowiadają tak samo: zimą nie ma tu co robić, więc każdy szuka sobie rozrywki.

- Milordzie! - zawołała oburzona Beth, ale oczy jej się śmiały.

- Zatańczymy? - spytał zachęcająco Markus. Popatrzył na nią roziskrzonymi oczyma. - Zachowałem dla pani kilka tańców.

- Cóż za poświęcenie! Zapewne jest pan oblegany. Tyle tu ślicznych młodych dam. Nie lada pokusa!

Markus spojrzał na nią znacząco.

- Tylko jedna młoda dama pociąga mnie z nieodpartą siłą, lady Allerton. Prędzej czy później dam się skusić.

Weszli do wielkiej sali zamku Saintonge, na co dzień chłodnej i puste, a dziś całkiem odmienionej, jakby na jeden wieczór odzyskała dawny splendor. W ogromnym kominku buzował ogień. Blask niezliczonych kandelabrow i latarń odbijał się w starannie

wypolerowanych tarczach i mieczach, które zawieszono na ścianach. Gobeliny jaśniały kolorami, a między nimi umieszczono girlandy z jedliny i ostrokrzewu przypominające, że niedługo Boże Narodzenie. Na bal przybyli wszyscy mieszkańcy Fairhaven, a było ich osiemdziesięciu dwóch. Doskonale się prezentowali w odświętnych ubraniach.

Jaśnie państwo podejmowali dziś także całą służbę, więc goście sami brali jadalę i napitki. Wielki stół niemal ugiął się pod ciężarem wołowiny pieczonej w aromatycznych przyprawach. Goście śmiało czerpali z kotła napełnionego ponczem.

- Jest pyszny - oznajmił Markus, gdy skosztował owego specjału. - Powinien ci smakować - zachęcał Beth.

Miał rację. Aromatyczna mieszanka wina, korzennych przypraw i owoców cytrusowych była wyborna. Racząc się ponczem, Beth wspominała grzane wino, które Markus przysłał jej i Charlotte tamtego wieczoru, gdy przybyły do zajazdu w Marlborough. Ze ściśniętym gardłem wspominała tamte czasy, bo przez ostatnie kilka tygodni tak wiele się zdarzyło, nie zawsze zgodnie z jej planami. Markus zmrużył oczy i obserwował ją uważnie.

- Co się stało, Bem? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

- Od kiedy mówimy sobie po imieniu, milordzie? - zachnęła się.

- Uważasz, że to niewłaściwe? Po wszystkim, co razem przeszliśmy? Ty również zwracałaś się do mnie po imieniu.

- Jest pan nietaktowny, wypominając mi takie drobne uchybienie - odparła rezolutnie, spoglądając na niego ponad brzegiem filiżanki.

- Ten wieczór jest wyjątkowy, a zatem proponuję, żebyśmy przynajmniej dziś darowali sobie wszelkie konwenanse.

Beth duszkiem dopiła poncz.

- Zgoda, Markusie, ale uważajmy, żeby lady Salome nas nie usłyszała. Sam mówiłaś, że pozory mylą, więc podejrzewam, że konwenanse są dla niej ważniejsze... - Urwała w pół zdania, bo ciotka Markusa przemknęła obok nich, tańcząc z rozradowanym hodowcą owiec o twarzy rumianej od ponczu. Opowiadał jakieś dykteryjki, więc zanosiła się od śmiechu. - Czy ja wiem? - zreflektowała się Beth. - Lady Salome i konwenanse? Chyba powinnam zmienić zdanie.

- Mam nadzieję, że sposób świętowania przyjęty na Fairhaven nie jest dla ciebie wstrząsem - powiedział z uśmiechem Markus. - Chodzą słuchy, że bywa czasami dość rubasznie.

Beth udawała, że jego bliskość nie robi na niej żadnego wrażenia, ale gdy czuła na sobie jego kpiące spojrzenie, z trudem zachowywała pozory opanowania. Szukając ratunku,

utkwiała wzrok w suto zastawionym stole. - Na miłość boską? Co to ma być? - Wskazała dorodną pomarańczę nabijaną goździkami i ozdobioną liśćmi ostro krzewu, która stała pośrodku stołu na niewielkim trójnogu wykonanym z patyczków. - *Calenning*. Walijski symbol obfitych zbiorów, jak mi opowiadano. Na Fairhaven obyczaj angielski miesza się z walijskim - objaśnił skwapliwie.

- Czy jest tu dzisiaj więcej takich ciekawostek? - Rozejrzała się wokół.

- Mamy jemiołę - powiedział i oczy mu się zaświeciły. Wskazał dorodną kępę zieleni nad ich głowami. - Proszę spojrzeć w górę, milady.

- O, nie, milordzie! Wolę zatańczyć. - Beth sprytnie uniknęła zasadzki.

Kadryl dobiegł końca. Orkiestra stroiła instrumenty, szykując się do odegrania kolejnego utworu. Zabrzmiały pierwsze takty.

- Goniony! - Beth zaklaskała w dłonie. - Znam go z dzieciństwa.

Tanec był radosny i szybki. Bal na Fairhaven bardzo się różnił od sztywnych i konwencjonalnych rozrywek londyńskich sezonów. Beth udało się jeszcze zatańczyć z Markusem kadryla, a potem wzięty go w obroty inne panie. Beth śmiało porywali do tańca młodzi wieśniacy. Tego wieczoru nie miała chwili oddechu. Przypomniła sobie tradycyjne melodie oraz figury i kroki zapamiętane z dawnych lat spędzonych na dalekiej prowincji. Zegar wybijał kolejne godziny, a nastrój w sali balowej stawał się coraz swobodniejszy. Betki z przyjemnością kołysała się w rytm łagodnych melodyjnych utworów. Markus znów poprosił ją do tańca. Oczy mu błyszczały, gdy brał ją w ramiona.

- Całus pod jemiołą! - krzyknął młody wieśniak i dał innym przykład, z zapalem obcałowując partnerkę.

- Taki jest zwyczaj - wyjaśnił cicho Markus. Nim zdążyła odpowiedzieć, pochylił głowę i pocałował ją w usta.

najpierw delikatnie i czule, a gdy odruchowo przyłgnęła do niego całym ciałem, z namiętnością, której oboje przestali się już wypierać. Gdy odsunął się wreszcie, Beth kręciło się w głowie i ledwie trzymała się na nogach. Objął ją w talii, chroniąc przed upadkiem. Wszyscy uczestnicy balu patrzyli na nich z ciekawością i jawnym zadowoleniem.

Odprowadził Beth do stołu z jadłem i napojami. Ktoś podał im filizanki napełnione ponczem.

- To nie jest dobry pomysł - broniła się bez przekonania, ponieważ była już lekko wstawiona. - Chyba nie chce mnie pan spoić, milordzie?

- Mówimy sobie po imieniu, pamiętasz? - Markus uśmiechnął się do niej. Znowu poczuła, że ma zamęt w głowie. - Moja droga Beth, byłbym zachwycony, gdybyś sobie nieco

podchmieliła, bo może wtedy łaskawiej przyjmowałabyś moje zaloty. Czy masz ochotę na spacer po ogrodzie w świetle księżyca?

- Opamiętaj się, Markusie - skarciła go surowo. - Pięć dni temu spadł śnieg. Chcesz, żebyśmy się zaziębili i pomarli na suchoty?

- W takim razie przejdźmy do oranżerii lady Salome, że - by podziwiać przez szybę zimowy krajobraz - zaproponował Markus z kpiącym błyskiem w oczach. - Romantyczny nastrój, piękno natury...

- Lady Salome przepędziły nas stamtąd - odparła nonszalancko Beth, chociaż pomysł Markusa ogromnie jej się podobał. Nie była jednak naiwną młodką, żeby dać się złapać na piękne słówka. Doskonale wiedziała, czym by się skończyła taka przechadzka.

- Markusie, zaprosz Beth na spacer. Zaprowadź ją do mojej oranżerii. Roztacza się stamtąd przepiękny widok. - Lady Salome przystanąła obok nich z filiżanką ponczu w ręku. - Ogród pod śniegiem wygląda prześlicznie.

- O tym właśnie mówiłem, droga ciociu! - wpadł jej w słowo Markus, a Beth zasłoniła dłonią usta, tłumiąc chichot. - Chodźmy, lady Allerton. Trudno się oprzeć takiej zachęce.

- Lady Salome bawi się w swatkę - zauważyła Beth, gdy Markus wziął ją pod rękę i śmiało ruszył ku drzwiom. Minęli zamkową sień i ruszyli dalej korytarzem wiodącym do oranżerii. - Nasz związek byłby prawdziwym dobrodziejstwem dla Fairhaven.

- Salome jest chyba w zmowie ze wszystkimi mieszkańcami wyspy - przyznał Markus. Gdy weszli do oranżerii, drzwi zostawił otwarte. - No i proszę! Musisz przyznać, że widok naprawdę jest zachwycający.

Beth podeszła do wielkiego okna i poczuła chłód wiejący od szyby, choć w oranżerii panował tropikalny upał. Nagie gałęzie drzew rysowały się niewyraźnie na białym tle. Wielkie płatki śniegu spadały na szklaną tafelę, roztopiały się i kroplami wody spływały w dół. Ciemność oraz migotliwa zasłona padającego śniegu nie pozwalały cieszyć się widokiem ogrodu w zimowej szacie.

Beth odwróciła się w stronę Markusa, który przystanął w drzwiach i stamtąd obserwował ją z łagodnym uśmiechem. Była zdziwiona jego zachowaniem. Spodziewała się, że gdy tylko przestąpią próg oranżerii, zacznie ją całować. Pragnęła tego. Nie zamierzała odmawiać sobie tej przyjemności, choć nie była pewna, do czego ją to doprowadzi. Poczuła się zaskoczona... i trochę rozczerwona powściągliwością Markusa.

- Pięknie tu, milordzie - oznajmiła chłodno, starając się zapanować nad uczuciami. - Myślę jednak, że powinnam udać się już na spoczynek, więc proszę mi wybaczyć, że...

- Odprowadzę panią do pokoju - powiedział cicho Markus.

- Znam drogę, milordzie. Nie zabłądzą.

- Zapewne, ale jest pani lekko podchmielona...

- Ale nie pijana! - zachnęła się, i w tej samej chwili omal nie straciła równowagi, zadając kłam swoim słowom. Kurczowo zacisnęła dłonie na gałęzi drzewka pomarańczy. - Trochę kręci mi się w głowie.

- Raczej mocno - zauważył, starając się zachować powagę.

- Lekki szmerek w głowie to bardzo przyjemne uczucie, milordzie.

- Byle nie za często.

- Ojej, ależ z pana nudziarz. - Beth znów się zachwiała. - Zrobił się pan nagle taki zasadniczy. - Podeszła do drzwi - oranżerii i zajrzała mu w oczy. - Wydaje mi się jednak, że mimo całej surowości chętnie skorzystałby pan ze sposobności...

- Wypraszam sobie takie insynuacje! - odparł z godnością - To pani świadomie wodzi mnie na pokuszenie.

Podszedł bliżej, wziął ją w ramiona i pocałował w policzek.

- Droga lady Allerton, czy już wspominałem, jak wielki mam dla pani szacunek i podziw?

- Ależ skąd - odparła rzeczowo Beth, starając się nie ulegać porywom serca, choć była ogromnie podekscytowana. - Ani słowem.

- W takim razie właśnie to czynię. - Ucałował czule kącik jej ust. Stała bez ruchu, mimo że najchętniej przytuliłaby się do niego. Dotknął jej policzka i kciukiem pogładził dolną wargę. Ogarnięta pożądaniem, drżała jak w gorączce.

- Milordzie...

- Wiesz, jak mi na imię - przypomniał zmienionym głosem. Pocałował ją czule, ledwie dotykając ust. Westchnęła dramatycznie i przyłgnęła do niego.

- Markus...

Chrząknął znacząco i odsunął się nieco.

- Chwileczkę, Beth. Muszę ci zadać bardzo ważne pytanie. Wyjdiesz za mnie?

Przez moment tuliła się do niego, nie pojmując, o czym mówi, wkrótce jednak przyszło zrozumienie.

- Wyjść za ciebie? Nie sądzę... Jak to? Dlaczego? Straciła wątek, bo pocałował ją w ucho i delikatnie przygryzł różowy płatek.

- Chcę się z tobą ożenić. Bardzo cię pragnę. Zachmurzona wpatrywała się w niego szarosrebrzystymi oczyma.

- Nie potrafię myśleć, kiedy mnie całujesz.

- Na szczęście ta decyzja nie wymaga długotrwałych rozmyślań. Wyjdiesz za mnie? Tutaj, na Fairhaven? Zgódź się.

- Dla dobra wyspy?

- Niech ją diabli porwą! Pragnę cię, nie posiadłości! Następny pocałunek był tak zaborczy i namiętny, że Beth nie mogła złapać tchu. Pojęła, że Markus zamiast przekonywać ją do siebie łagodnością i czułościami postanowił natychmiast przeprowadzić frontalny atak i zmusić ją do kapitulacji. Zapomniał o skrupułach. Porażona siłą jego namiętności, uległa nareszcie własnym pragnieniom. Zarzuciła mu ramiona na szyję i tuliła się mocno, ogarnięta tą samą niecierpliwością, która dręczyła także jego. Desperacko marzyła, żeby jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli.

Natarczywe stukanie w szybę dzielącą oranżerię od korytarza sprawiło, że oboje natychmiast wrócili do rzeczywistości. Beth odwróciła się pospiesznie.

- Markusie! - Lady Salome patrzyła na nich zza szklanej tafli. - Dlaczego tak się guzdrzesz? Wszyscy czekamy na dobrą nowinę!

- Mój anioł stróż! - Beth uśmiechnęła się kpiąco.

- Diabelnie nie w porę - mruknął ponuro Markus i dodał głośniejszym głosem, zwracając się do Salome: - Chwila cierpliwości! Wkrótce do was dołączymy.

Ujął mocno obie dłonie Beth i z łagodnym uśmiechem popatrzył na nią w półmroku oranżerii.

- Co sądzisz o mojej propozycji, najdroższa? Jeśli nie podoba ci się ten pomysł, mów śmiało. A zatem?

Beth uśmiechnęła się lekko. - Muszę przyznać, że ogromnie przypadł mi do gustu.

Nie zdołała powiedzieć nic więcej, bo Markus porwał ją w objęcia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Obawiam się, że będę zmuszona opuścić was i udać się w podróż - oznajmiła ponuro lady Salome.

Oparła się na motyce, żeby mocniej zawiązać pomarańczowe i purpurowe wstążki płaszcza krytego zielonym aksamitem. Ostre narzędzie na długim stylisku posłużyło jej do rozbicia skorupy lodu na powierzchni sadzawki. Gdyby tego zaniedbała, złote karpie zimujące w ogrodzie nie miałyby czym oddychać. Beth widziała złotawe smugi przesuwające się pod lodem na de ciemnego podłoża. Miała nadzieję, że biedne rybki nie czują przejmującego zimna albo są na nie odporniejsze niż ona.

- Okropny mróz! Tylko tego nam brakowało! - narzekała lady Salome. - Zaskoczyły nas takie kaprysy pogody. Surowa zima do niczego nie jest nam potrzebna. Tyle mamy zajęć na wyspie. Szkoda mi czasu na odśnieżanie i kruszenie lodu.

- Dlaczego pani wyjeżdża? - zapytała Beth, gdy szły po świeżym śniegu ku zamkowi.

- Dostałam list od Johna - odparła starsza pani. - Zatrzymano go dłużej w Exeter, więc prosi, abym dotrzymała mu towarzystwa. Obawia się, że nie zdołamy wrócić tu na Boże Narodzenie. Łatwo sobie wyobrazić, czym ci biedni, zacofani wieśniacy będą się zajmować pod nieobecność swego pasterza. Wygląda na to, że jesienią przyszłego roku wielebny ochrzci masę dzieciaków.

Beth nie umiała powstrzymać śmiechu.

- Biskup na pewno przyśle duchownego, który w zastępstwie wielebnego Johna zaopiekuje się waszą trzódką.

Lady Salome westchnęła z irytacją.

- Zapewne, ale to będzie namiastka duchowej posługi. To nie jest moje jedyne zmartwienie. - Obrzuciła Beth badawczym spojrzeniem. - Lękam się zostawić ciebie sam na sam z Markusem, chociaż jesteście zaręczeni. To gorszące! Nie wypada!

Zarumieniona Beth pochyliła się, z wyjątkową starannością czyszcząc zaśnieżone buciki. Minęło dobre kilka chwil, nim weszła za lady Salome do ciepłej zamkowej sieni.

- Wiadomo pani, że nie zabawimy tu długo - przypomniała. - Obiecałam rodzinie, że na święta wrócę do Mostyn Hall, a Markus chce je spędzić z matką i siostrami w ich rodowej siedzibie. Nasz ślub prawdopodobnie odbędzie się wiosną.

- Bardziej mnie interesuje, jak się będziecie prowadzić w najbliższych tygodniach - odparła ponuro lady Salome. - Łatwo jest zboczyć z właściwej drogi. Po moim wyjeździe

zabraknie przyzwoitki, która by was przywołała do porządku. Nie zapominaj, moje dziecko, że grzeszy się łatwo, ale pokuta trwa wiecznie, bo z piekła nie ma ucieczki. Beth starała się zachować powagę. Nie podzielała obaw lady Salome. W głębi ducha była przekonana, że gdyby dała się uwieść Markusowi, zamiast skwierczeć w ogniu piekielnym, dotknęłaby nieba, ale za nic nie powiedziałyby tego na głos. W obecności bogobojnej siostry pastora nie mogła sobie pozwolić na podobne bluźnierstwo.

- Moim zdaniem nie ma pani najmniejszych powodów do obaw - odparła z kwaśną miną. - Od balu minęły trzy dni i przez cały ten czas Markus ani razu mi nie uchybił.

Starsza pani sceptycznie przyjęła jej zapewnienia.

- Zapamiętaj sobie moje słowa, dziecinko. Daj diabłu palec, a weźmie całą rękę. Czasami trudno oprzeć się pokusie. Chociaż... - Lady Salome nagle wyraźnie poweselała. - Jestem głęboko przekonana, że Markus bardzo cię kocha. Aż przyjemnie popatrzeć na takie wielkie uczucie.

Beth miała w tej kwestii spore wątpliwości. Nie sądziła wprawdzie, że Markus oświadczył się jedynie po to, żeby ostatecznie rozwiązać kwestię Fairhaven, ale podejrzewała, że o miłości z jego strony nie ma mowy. Co gorsza, obawiała się, że wbrew płomiennym zapewnieniom wcale jej nie pragnie. Przed zaręczynami miała powody, by sądzić, że namiętnie jej pożąda, ale po balu trzymał się od niej z daleka. Dużo pracował. Zdawała sobie sprawę, że jest zaabsorbowany wprowadzaniem zmian i ulepszeń na wyspie. Teraz otwierały się przed nim znacznie większe możliwości, bo żenił się z posażną damą, więc tym staranniej planował, jak z pożytkiem dla wszystkich wydać pieniądze. A jednak mimo nawału pracy mógłby poświęcać narzeczonej trochę więcej uwagi.

Od wyjazdu lady Salome minął tydzień, ale nie zdarzyło się nic, co skłoniłoby Beth do zmiany zdania. Markus wciąż pracował: albo zamykał się z Colinem McCrae w swoim gabinecie, albo przemierzał wyspę, nadzorując pracę w terenie.

Wieczorami jadł z Beth kolację, a potem jak stare małżeństwo gawędzili przy herbacie, czytali lub grali w karty. Gdy zdecydowała, że idzie spać, odprowadzał ją do schodów, zapalał świecę i składał na policzku niewinny pocałunek. Zdegustowana nużącą powściągliwością obiecała sobie, że następnego dnia rzuci mu się na szyję... i zobaczymy. Była niemal pewna, że odsunie się z jawną dezaprobatą i spyta, co jej dolega. Zachowywał się tak, jakby nigdy, przenigdy jej nie pożądał.

Po wyjeździe lady Salome Beth wzięła na siebie większość jej obowiązków, bo poczuwała się do opieki nad wyspiarzami. Odwiedzała i pielęgnowała chorych, wizytowała lekcje w miejscowej szkole, a także dbała o zamkowy ogród i szklarnię, bo wiedziała, że

przyszła ciotka nigdy by jej nie darowała, gdyby drzewka pomarańczowe uschły, a rybki zmarniały. Po wypełnieniu wszystkich obowiązków przy sprzyjającej pogodzie chodziła na długie spacery wzdłuż wybrzeża lub po okolicznych pagórkach. Nieodmiennie zachwycała się surowym pięknem wyspy. Z dala od eleganckiego towarzystwa czuła się wolna i oddychała pełną piersią.

Skończył się listopad, zaczął grudzień. Lady Salome od dwóch tygodni bawiła w Exeter, ale nie było od niej żadnych wiadomości. Beth miała nadzieję, że wkrótce dowiedzą się, czy wielbny John i jego siostra wrócą na święta do domu. Gdyby musieli zostać w Exeter, warto by wiedzieć, kogo biskup przyśle na zastępstwo, żeby wierni na Boże Narodzenie nie zostali bez pastora. Beth zdawała sobie sprawę, że Markus opóźnia wyjazd, bo czeka na wiadomości od krewnych i nie chce zostawić wyspiarzy na łasce losu. Sama też niechętnie myślała o wyjeździe, ale dała słowo, że przyjedzie na święta do Mostyn Hall, żeby zobaczyć się z Charlotte, więc musiała dotrzymać obietnicy. Myślała o tym, spacerując paplaży i machinalnie rzucając kamykami w spienione fale. Nie była sama. Marta McCrae przyszła z córeczką Annie i grupą wiejskich dzieci szukać wyrzuconych na brzeg morskich osobliwości, nadających się na świąteczne dekoracje. Dzieciarnia uwijała się w poszukiwaniu skarbów, a malutki synek Marty spał w koszyku stojącym na płaskiej skale.

Nadchodził przypływ. Fala porywała kamienie i muszle, sięgając niemal brzegu sukni. Beth rozejrzała się odruchowo jakby chciała sprawdzić, czy wszyscy są bezpieczni. Marta odeszła z dziećmi dość daleko. Wszyscy oglądali teraz muszle znalezione na piasku przez jedną z dziewczynek. Niesione wiatrem radosne okrzyki mieszały się z głosami morskich ptaków. Ktoś płakał. Beth nadstawiła ucha. Słabe, piskliwe kwilenie gdzieś w pobliżu... Popatrzyła na wysokie skały odległe o dwadzieścia metrów. Marta postawiła na nich wiklinowy koszyk, w którym spał malutki Jamie. Przez granitowy grzbiet przelewała się morska woda. Zaabsorbowana poszukiwaniami Marta zapomniała o maleństwie.

Beth ruszyła pędem w stronę potężnych głazów. Kiedy tam dobiegła, ujrzała porwany przez fale koszyk z niemowlęciem. Kątem oka dostrzegła łódź z wiosłami zacumowaną obok skał i podskakującą rytmicznie na falach. Skoczyła do wody. Nim dopadła łodzi, była mokra do pasa. Nie bez trudu wgramoliła się do środka, odcumowała i natychmiast zaczęła wiosłować, raz po raz oglądając się przez ramię, żeby nie stracić z oczu koszyka. Mały Jamie darł się wniebogłosy.

Beth po raz pierwszy w życiu wiosłowała i płynęła łodzią. Fale same niosły ją we właściwą stronę, ale miała trudności z manewrowaniem. Tymczasem dzieci biegające po plaży, tknięte przecuciem, zaczęły krzyczeć i ciągnąć Martę za spódnicę. Jedna z

dziewczynek, bardziej rezolutna niż pozostałe maluchy, co sił w nogach pobiegła do portu, żeby sprowadzić pomoc.

Beth dzieliło od koszyka zaledwie kilka metrów. Widziała skrzywioną twarzyczkę niemowlaka i szeroko otwarte usta, słyszała donośny płacz zagłuszany szumem fal. Podpłynęła jeszcze bliżej i wychyliła, usiłując chwycić koszyk. Przy pierwszej próbie omal nie wywróciła rozkołysanej łodzi. Wysoka fala chlusnęła jej w oczy słoną wodą, ale rozczapierzone palce dotknęły wiklinowych prętów i zacisnęły się na nich kurczowo. Przemoknięta do suchej nitki Beth wciągnęła koszyk do łodzi i położyła na kolanach. Jamie ociekał wodą i płakał żałośnie. Dopiero teraz popatrzyła na brzeg. Do plaży miała teraz ponad sto metrów. Musiała zawrócić i pokonując opór fal, co sił w ramionach wiosłować ku brzegowi. Obleciał ją strach. Zważyła, czy zdoła uratować z opresji siebie i Jamiego.

- Uwaga!

Obejrzała się i zobaczyła niewielką łódź z Colinem McCrae przy wiosłach. Za sterem siedział mężczyzna odwrócony do niej plecami. Błyskawicznie zrównali się z nią. Łodzie uderzyły burtą o burtę, a Colin przechylił się, chwycił za brzeg i ustawił je równolegle. Beth wyjęła Jamiego z koszyka i podała ojcu.

W chwilę później silne ramiona przeniosły ją niczym piórko do drugiej łodzi. Zamknięta w uścisku Markusa - wiedziała, że to on, choć oczy miała zamknięte - przytuliła twarz do smukłej szyi, wdychając znajomą woń jego skóry. Dopiero wtedy wybuchnęła płaczem. Markus przycisnął usta do jej słonego, zimnego policzka. Słyszała powtarzane szeptem swoje imię. Tulił ją tak mocno, jakby nadal była w niebezpieczeństwie.

Szybko dopłynęli do brzegu. Colin podał Jamiego zapłakanej Marcie i zapewnił, że synek ma się nieźle, choć jest mokry, zziębnięty i okropnie wystraszony.

Beth przestała płakać, ale gdy próbowała o własnych siłach wyjść na brzeg, nogi się pod nią ugięły. Markus wziął ją na ręce, a mieszkańcy Fairhaven, którzy przybiegli na ratunek, zaczęli ochoczo wiwatować na cześć odważnej lady Allerton. Uszczęśliwiona Marta całowała w uniesieniu jej dłoni, a Colin ze łzami w oczach dziękował za uratowanie synka. Markus nie bez trudu utorował sobie drogę w tłumie podnieconych wyspiarzy i wsiadł do powozu czekającego u stóp urwiska. Nie zważając na konwenanse, posadził sobie Beth na kolanach. Zabrał także Martę i Colina oraz ich dzieci. W miarę jak zbliżali się do zamku, coraz bardziej pochmurniał i zamykał się w sobie. Beth zrobiło się ciężko na sercu. Dlaczego znowu się gniewał? Czy żałował, że przed chwilą okazał jej tyle czułości? Żeby tylko nie próbował wyładowywać na niej złości. Całkiem opadła z sił i nie miała ochoty znosić jego zmiennych humorów.

Wkrótce powóz zatrzymał się przed wrotami zamku. Weszli do sieni, gdzie zgromadziła się służba, już powiadomiona, co się wydarzyło.

- Gorąca ziołowa kąpiel, świeży kleik i mikstury - zarządziła Marta, która szybko doszła do siebie, gdy przekonała się, że Jamie jest zdrow i cały. Zaufana służąca natychmiast zajęła się małością, bo ochmistrzyni musiała wrócić do swoich zajęć. - Lady Allerton, jak mam pani dziękować? Jest pani niesamowicie odważna.

- Raczej niesamowicie głupia! - burknął opryskliwie Markus. Ochmistrzyni spiorunowała go wzrokiem i już miała odpowiedzieć, ale mąż dal jej znak, żeby się nie wtrącała.

Niech jaśnie państwo sami dojdą do porozumienia. W sieni Markus rozluźnił uścisk i pozwolił Beth stanąć *na* własnych nogach. Odzyskała siły, ale peszyła ją świadomość, że wygląda jak zmokła kura. Przemoczone ubranie przylgnęło do skóry, a wilgotne włosy oblepiały głowę. Ociekała wodą, zostawiając mokre ślady na kamiennej posadzce. Marta rwała się do pomocy, jednak Beth zdecydowanie ją odprawiła.

- Proszę iść do dziecinnego pokoju i zająć się synkiem. Wystarczy mi gorąca kąpiel i drzemka. Na szczęście wyszłam z tego bez szwanku.

- A szkoda, bo miałyby pani nauczkę - wtrącił bezlitosny Markus. - Odprowadzę panią do sypialni. Nie można pani na chwilę spuścić z oka. Boję się, że znów popełni pani jakieś głupstwo.

Nie uszło uwagi Beth, że Marta i Colin wstrzymali oddech, zdumieni ostrym tonem lorda. Po chwili uświadomiła sobie, że Markus najbardziej się awanturuje, gdy nie ma już powodu do obaw. Mimo to poczuła się urażona i nie zamierzała tego ukrywać.

- Nie życzę sobie, żeby pan mnie odprowadzał, milordzie - oznajmiła zdecydowanie i poczłapała ku schodom. - Dość mam krytycznych uwag na mój temat. Proszę je zachować dla siebie. Uczyniłam to, co uważałam za słuszne.

- I niewiele brakowało, żeby się pani utopiła - wpadł jej w słowo. - Kiedy pani wreszcie zrozumie, lady Allerton, że działanie pod wpływem impulsu powoduje zwykle oplakane skutki? W porcie znalazłaby pani co najmniej kilku silnych i doświadczonych wioślarzy. Wystarczyło ich zaalarmować.

- Milordzie... - zaczął McCrae, ale Markus nie dopuścił go do słowa.

- Wiem, co mówię, Colinie - powiedział łagodniejszym tonem. - Nie zrozum mnie źle. Jestem szczęśliwy, że udało się uratować Jamiego. Gotów byłbym ryzykować życie, aby go ocalić. - Odwrócił się ku schodom i popatrzył na Beth, która starała się wyglądać godnie,

choć ociekała wodą. - Stanowczo protestuję, gdy osoby nie posiadające stosownych umiejętności biorą się do działania, narażając na niebezpieczeństwo siebie i innych.

Beth nie miała zamiaru dłużej tego słuchać. Weszła po schodach, plaskając mokrymi butami. Zostawiała za sobą szeroki wilgotny ślad.

Czuła się podle, trzęsła się z zimna. Marzyła jedynie o tym, żeby zdjąć mokre ubranie i wytrzeć się do sucha. Łudziła się nadzieją, że Markus wylał już całą żołąć i nareszcie zostawi ją w spokoju. Nie miała ochoty wysłuchiwać jego połajanek. Zziębnięta i przerażona, drżała na całym ciele. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa. Weszła do sypialni i trzasnęła drzwiami. Jak śmiał mówić do niej takim tonem? Jak mógł ją krytykować, skoro uczyniła wszystko, co w jej mocy, żeby ratować Jamiego? Owszem, miał rację, mówiąc, że w porcie znalazłaby wielu silnych wioślarzy, ale musiała działać. Nie była w stanie czekać beczynn timer i patrzeć, jak fale unoszą koszyk z niemowlęciem na pełne morze.

Pospiesznie zrzuciła ubranie. Zostawiła je na podłodze i naga pobiegła do szafy po ręcznik. Wytarła starannie całe ciało i od razu poczuła się znacznie lepiej, chociaż włosy miała potargane. Włożyła szlafrok z jedwabiu przetykanego złotą nitką, wzięła grzebień z toaletki, usiadła w fotelu przed kominkiem i zaczęła rozczesywać splecione kosmyki. Po chwili usłyszała pukanie.

- Proszę! - zawołała, przekonana, że to pokojówka. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, gdy w drzwiach stanął Markus. Zdążył się przebrać, ale włosy miał jeszcze wilgotne. Popatrzyła na niego pytająco.

- Milordzie... Wydaje mi się... Nie powinien pan tu przychodzić, bo...

- Chcę z tobą porozmawiać - przerwał bezceremonialnie, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

- Nie mam ochoty! - krzyknęła rozzłoszczona. - Jak śmiałeś mnie krytykować? Chciałam tylko pomóc...

- Jestem tego świadomy - odparł chłodno. Dłonie zacisnął w pięści i przycisnął do boków. - Próbuję ci tylko uświadomić, że morze wokół wyspy jest zdradliwe, więc sama byłaś w niebezpieczeństwie. Mogłaś utonąć! Czasami podejrzewam, że brak ci zdrowego rozsądku.

Beth miała łzy w oczach. Dzisiejsze przeżycie było dla niej autentycznym wstrząsem, na domiar złego przeżyła bolesne upokorzenie.

- Mnie brak rozsądku, a panu elementarnej wrażliwości, milordzie - oznajmiła wyniośle. Gestykulowała energicznie ręką, w której ścisnęła grzebień. - To szczyt okrucieństwa robić mi awanturę, kiedy jestem taka zdenerwowana i... - Nagle umilkła, bo

Markus zamiast patrzeć na jej pobladłą twarz skierował wzrok niżej. Zorientowała się, że poły jedwabnego szlafroka rozchyliły się, kiedy gwałtownie wymachiwała ramieniem. Uświadomiła sobie, że pod sfałdowaną tkaniną jest zupełnie naga. Zamilkła, otuliła się szlafrokiem od stóp do głów i mocno zaciągnęła pasek. Markus zmierzył ją taksującym spojrzeniem, popatrzył na zarumienioną twarz i kpiąco uniósł brwi.

- Masz racje, Beth - przyznał zmienionym głosem i podszedł bliżej. - Popelnilem błąd, robiąc ci wymówki. Byłem zdenerwowany, bo okropnie się o ciebie bałem. Wydawało mi się, że całkiem bezmyślnie narażałaś własne życie.

Beth miała wrażenie, że dopiero teraz grozi jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Zamierzała poprosić go, żeby natychmiast opuścił sypialnię, ale nie odezwała się i bez słowa patrzyła na niego, gdy szedł w jej stronę. Oczy mu pociemniały, a twarz nieoczekiwanie przybrała wyraz bezbrzeżnej czułości. Ujął ją za ramiona, przyciągnął do siebie i pocałował w usta. Oddała pocałunek i przytuliła się do niego.

Nie przerywając łagodnej pieśczości, rozwiązał pasek szlafroka i zsunął śliski jedwab z jej ramion. Westchnęła z rozkoszy, gdy objął dłońmi jej piersi. Zapomniała o całym świecie. Myślała tylko o tym, jak bardzo go pragnie. Chciała dotknąć obnażonego torsu, poczuć pod palcami ciepło śniadej skóry. Objęła Markusa, wyciągnęła mu zza paska koszulę i pogłaskała muskularne plecy.

Oboje szeptali swoje imiona.

- Markusie...

- Beth... - Wiedziała, że jej pożąda, lecz mimo to wahał się i czekał. - Beth, jeśli nie chcesz, powiedz mi teraz...

Spojrzała mu prosto w oczy i odparła szczerze:

- Chcę być twoja. Pragnę tego całym sercem.

Przez moment stali nieruchomo i patrzyli na siebie w milczeniu. Potem Markus wziął Beth na ręce i położył na łóżku. Pieścił ją długo i delikatnie, zasypywał pocałunkami całe jej ciało, szeptał do ucha czułe słowa. Oszołomiona i rozpalona, pragnęła oddać mu się całkowicie, bez reszty, natychmiast.

Poczuła, że wsunął dłoń między jej uda. Pocałował ją namiętnie i w tej samej chwili stali się jednością. Porwana falą niewyobrażalnej rozkoszy powtarzała coraz głośniej jego imię. W chwilę później podążył za nią i dotknął nieba. Rajem zatracili się w otchłani cudownych doznań.

Beth się obudziła, gdy zapadł zmierzch. Obok niej leżał Markus, pogrążony w głębokim śnie. Przyglądała mu się z czułością, podziwiając długie rzęsy, cień zarostu na gład-

kich policzkach, wyraziste rysy, które łagodniały, kiedy spał. Dziś odkryła, jak przyjemnie jest go dotykać, czuć jego bliskość. Serce miała przepełnione miłością. Uśmiechnęła się smutno, wstała z łóżka i włożyła szlafrok. Podeszła do okna i usiadła na wyściełanym parapecie, wsłuchana w szum morza.

- Beth?

Markus także się obudził i patrzył na nią, opierając się na łokciu. Zrobiło jej się ciepło na sercu. Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu posłania i długo patrzyła na niego bez słowa.

- Dobrze się czujesz, miłości moja?

Odwróciła wzrok. Przyjemnie jest usłyszeć takie słowa. Być może oznaczały, że Markus naprawdę jest w niej zakochany. Milczała przez chwilę, czekając na upragnione wyznanie. Na próżno.

- Dobrze. Wszystko w porządku - odparła wstydliwie.

- O czym myślałaś? - szepnął, zaglądając jej w oczy. - Żałujesz tego, co się między nami stało?

Bez słowa wślizgnęła się pod kołdrę.

- Nie - odparła bez namysłu, trochę zakłopotana własną szczerością. - Pragnęłam tego, więc nie mogę żałować. Markusie... Nie sądzisz, że jestem... rozwiązała? Lady Salome i Charlotte tak właśnie by powiedziały.

Wyciągnął wolno rękę i delikatnie pogłaskał Beth po policzku.

- Dla mnie jesteś najcudowniejsza na świecie. Wkrótce się pobierzemy. Cudze opinie nic mnie nie obchodzą.

Uspokojona takim zapewnieniem, poczuła się znowu pewnie i bezpiecznie.

- Chcesz się wykapać? - zapytał niespodziewanie. - W łodzi przemokłaś do suchej nitki. Dobrze by ci to zrobiło.

Obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Był rozbawiony, wręcz swawolny, jakby układał w głowie jakiś plan i bardzo się z tego cieszył. Miała wrażenie, że szykuje dla niej miłą niespodziankę i gubiła się w domysłach.

- Skoro uważasz, że powinnam...

- Jestem tego pewny. - Postawił stopy na podłodze i sięgnął po koszulę. - Pod jednym warunkiem: kąpiemy się razem.

Oczy Beth zrobiły się wielkie jak spodki.

- Ale... czy tak można?

- Oczywiście! Komu to przeszkadza? Podeszedł do kominka i zadzwonił na służbę.

- Markusie! Co ludzie powiedzą? - krzyknęła piskliwym głosem.

Podszedł bliżej, uśmiechając się czule, objął ją ramieniem i cmoknął w usta.

- Wstydzisz się, kochana? Obawiam się, że trochę za późno.

Udało jej się przekonać Markusa, że mimo wszystko lepiej wystrzegać się niepotrzebnej ostentacji. Zgodził się poczekać w swoim pokoju, aż służba przygotuje kąpiel.

Marta McCrae osobiście wszystkiego dopilnowała. Dwie młodziutkie pokojówki noszące wodę udawały, że nie mają pojęcia, co się dzieje, lecz tak nieudolnie ukrywały zaciekawienie, że Beth omal nie wybuchnęła śmiechem. Marta nie pytała o jej samopoczucie. Raz tylko spojrzała znacząco na zmiętą pościel i ruszyła ku drzwiom. Beth zatrzymała ją na chwilę, żeby dowiedzieć się o zdrowie Jamiego i usłyszała, że malec szybko dochodzi do siebie.

- Mam nadzieję, że i pani nic już nie dolega - dodała Marta na odchodnym, uśmiechnęła się porozumiewawczo i wyszła.

Beth pobiegła do łazienki, zdjęła szlafrok i wskoczyła do ogromnej wanny napełnionej gorącą wodą o cudownym zapachu lawendy. Zanurzyła się i przymknęła oczy.

Nagle poczuła, że powierzchnia faluje. Natychmiast uniosła powieki i pisnęła zaskoczona. Markus był tuż obok w pachnącej kąpieli. Odczekał chwilę, a potem wsunął się za nią i gestem zachęcił, żeby oparła się o jego tors. Omal nie krzyknęła znowu, gdy zamknął ją w mocnym uścisku. Próbowała wyswobodzić się z jego objęć, a woda omal nie przelała się przez brzeg wanny. - Nie wierć się, kochanie - skarcił ją czule Markus. - Chcesz, żebyśmy się oboje potopili? Wanna jest duża, w sam raz dla dwojga.

Beth zaniechała oporu. Nie protestowała również, kiedy masował jej ramiona, całował kark i dotykał piersi. Zmysłowe pieszczoty sprawiły, że z wolna narastało w nich pożądanie. Gdy oboje zapragnęli silniejszych podnieć, Markus wziął ją na ręce, starannie otulił wielkim ręcznikiem i zaniósł do sypialni. Opadli na posłanie i całowali się zachłannie. Wśród namiętych pieszczot zapomnieli o rzeczywistości i zatopili w czystej rozkoszy.

Beth obudziła się o świcie. Leżała nieruchomo, patrząc, jak szara poświata sączy się przez zasłony, i słuchała szumu fal, które rozbijały się o skaliste wybrzeże. Gdy poruszyła się lekko, Markus przytulił ją i dotknął ustami ciemnych włosów.

- Dlaczego nie śpisz, kochanie?

- Rozmyślałam. - Położyła się na brzuchu i spojrzała mu w oczy. - Miałaś rację. Doszłam do wniosku, że moje marzenia o Fairhaven były całkowicie oderwane od rzeczywistości.

Po jego minie poznała, że jest całkiem rozbudzony. Uśmiechnął się smutno.

- Tak trudno było ci przyjąć do wiadomości prawdę o twoim dziadku?

- Owszem. - Pochyliła głowę, tuląc się do niego. - Ale tylko na początku. Teraz spokojniej myślę o tych sprawach. Martwi mnie inny problem. Co się z nami stanie, gdy stąd wyjedziemy? Niedługo przyjdzie list od wielebnego Johna i twojej ciotki. Niezależnie od tego, co postanowią, na jakiś czas trzeba się będzie rozstać. Wrócimy w nasze rodzinne strony.

Markus objął ją ramieniem.

- Nie lękaj się, kochanie. To dla nas dopiero początek wspólnego życia. - Zamilkł na chwilę i pogłaskał ją po plecach. - Mam pomysł! Weźmy ślub po zaraz świętach, najlepiej w Mostyn Hall. Nie sądzisz, że to dobre rozwiązanie?

- Doskonale! - przytaknęła rozpromieniona. - Lepiej być nie może.

Wbrew temu, co powiedziała, nadal odczuwała lęk, którego przyczyn nie umiała nazwać. Poruszyła się niespokojnie, bo pieszczoty Markusa stawały się coraz bardziej zmysłowe. Po raz kolejny budziły się w niej ukryte pragnienia.

Zapomniała o melancholii. Kiedy Markus jej dotykał, świat przestawał istnieć. Miała zamęt w głowie. Tym razem kochali się bez pośpiechu, wolno i czule, jakby chcieli zatrzymać czas. Razem osiągnęli szczyt rozkoszy, a doznania były tak silne, że oboje jeszcze długo dygotali jak w gorączce. Odpoczywali spleceni mocnym uściskiem. Beth już zasypiała, gdy Markus wypowiedział słowa, na które czekała tak długo.

- Najdroższa moja, kocham cię.

Poczuła radość i uśmiechnęła się łagodnie, ale w głębi ducha nadal wątpiła w siłę jego uczuć, choć nie rozumiała, skąd się biorą te niepokoje.

Kiedy obudziła się po raz drugi, Markusa nie było już w sypialni. Nic dziwnego, miał przecież mnóstwo zajęć. Mimo to poczuła się samotna i opuszczona.

Ledwie skończyła się ubierać, do pokoju zajrzała Marta McCrae.

- Milady, proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale jego lordowska mość otrzymał list z Londynu i lada chwila wyjeżdża...

Beth natychmiast spochmurniała.

- Na miłość boską! Cóż to za pilne sprawy wzywają go do powrotu?

Gdy zbiegła na dół, Markus był w gabinecie z Colinem McCrae. Miał na sobie strój podróżny. Na widok Beth uśmiechnął się i zaraz spoważniał. Colin przez moment wodził spojrzeniem po ich twarzach, a potem wycofał się dyskretnie.

- Beth... - Markus obszedł biurko i chwycił jej rękę. - Bardzo mi przykro, ale muszę natychmiast jechać do Londynu. Złe nowiny. Sama przeczytaj. - Wskazał biurko i leżący na

nim list. - Moja matka jest w rozpacz. Pisze, że Eleonora została uwiedziona i porzucona. Błaga, żebym przyjechał i pomógł jej w nieszczęściu.

- Dobry Boże! Ależ to okropne! Kto się ośmielił... - Nie była pewna, czy sama odgadła, o kogo chodzi, czy też wyczytała odpowiedź ze smutnej twarzy Markusa. - Kit?

- Zapewne. - Markus sposepniał. - Nie znam wszystkich szczegółów. Matka pisze chaotycznie. Muszę jechać, Beth. Chyba rozumiesz...

- Naturalnie. - Wpatrywała się w feralny list porzucony na blacie biurka. Wiedziała, że Kit kocha się w Eleonorze Trevithick. Obserwowała, jak rozkwita ich uczucie, niekiedy dobrodusznie żartowała z kuzyna, ale w głowie jej nie powstało, że jest zdolny do takiej nikczemności.

- Nie wierzę! To do niego niepodobne! - wybuchnęła. Trzeba ustalić, co się wydarzyło.

- Z pewnością tak uczynię. Wybacz mi, Beth, ale na mnie już czas. - Podszedł do niej i dodał: - Jedź do Mostyn Hall.

Pokręciła głową.

- Nie mamy czasu na długie rozmowy. Statek czeka, Trzeba wypłynąć, póki pogoda sprzyja żegludze. Obawiam się, że musimy zmienić plany. Ślub się nie odbędzie, radzę ci jednak wrócić do Mostyn. - Ścisnął mocno jej dłonie. - Wszystko miało być inaczej - powiedział z gniewną miną. - Nie udało się... - Urwał w pół słowa, pocałował ją w usta i cofnął się natychmiast. Znieruchomiał na chwilę. Beth odniosła wrażenie, że chce coś dodać, ale zmienił zdanie i wyszedł. Stała, wsłuchując się w cichny odgłos kroków.

Sięgnęła po list wicehrabiny i usiadła w fotelu. Po dwukrotnej lekturze długo wpatrywała się w płomień buzujaący w kominku. List spoczywał na jej kolanach.

Napisany został przed tygodniem. Wicehrabina była wzburzona i bardzo się spieszyła. Nie brakowało obraźliwych uwag pod adresem Mostynów. Najwięcej jednak napisała na temat romansu Kita Mostyna ze swoją córką.

Zrozpaczona Beth uświadomiła sobie, że rodowa waśń znów dzieli dwa rody. Nieszczęsny Kit umyślnie lub przez fatalne zaniedbanie sprawił, że dawny spór Trevithicków z Mostynami odżył na nowo.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Marnie wyglądasz - oznajmiła Charlotte, odsuwając kuzynkę na długość ramion. - Moim zdaniem za bardzo martwisz się o Kita i pannę Trevithick. Podróżowanie zimą też robi swoje. Powinno się tego unikać.

W domu przy Upper Grosvenor Street panowała osobliwa cisza. Ponury nastrój doskonale odzwierciedlał przygnębienie Beth. Przez długie cztery tygodnie była w podróży. Do Londynu zjechała dziesięć dni po Bożym Narodzeniu. Stolica świeciła pustkami. Trwał martwy sezon, bo całe towarzystwo wyjechało na wieś, żeby w domowym zaciszu odpocząć przed następnym sezonem. Ulice opustoszały. Niebo było szare, brakowało świątecznego nastroju, zwłaszcza w domu przy Upper Grosvenor Street, gdzie wszyscy czekali na wieści dotyczące Kita, pełni obaw, że będą złe. Po przyjeździe Beth Charlotte nabrała otuchy, ale na powitanie oznajmiła jej, że Kit nie dał znaku życia, a poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów.

- Przykro mi, że wlokłeś się taki kawał drogi do Mostyn Hall tylko po to, by usłyszeć o moim wyjeździe do Londynu - ciągnęła Charlotte, prowadząc Beth do salonu. - Mój list zapewne minął się z tobą w drodze. Co w domu?

- Nie najgorzej. - Beth uśmiechnęła się smutno. Zdjęła rękawiczki i podeszła do kominka. - Wszyscy są pełni obaw, bo nie ma żadnych nowin o Kicie. Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Po nagłym zniknięciu jeszcze się tam nie pokazał. - Sądziłam, że to pierwsze miejsce, gdzie w razie kłopotów mógłby się udać... - powiedziała Charlotte. Głos jej się załamał, twarz była ściągnięta bólem. - Przepraszam. Ledwie przestąpiłaś próg, a ja raczę cię złymi nowinami. Odłóżmy tę smutną rozmowę na później. Teraz każę podać herbatę.

Beth uśmiechnęła się.

- Porozmawiajmy tymczasem o czymś przyjemniejszym. Mimo kłopotów wyglądasz ślicznie. Jesteś taka rozpromieniona. Domyślam się, że masz dla mnie ważne nowiny.

Charlotte natychmiast poweselała.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie jest odpowiedni moment, bo Kit przysporzył nam wszystkim tylu kłopotów i przykrości, ale... Tak! Justyn Trevithick i ja zaręczyliśmy się.

Beth spodziewała się, że usłyszy tę nowinę, ale kiedy to nastąpiło, ogarnęła ją zazdrość, którą natychmiast stłumiła i tak mocno uściskała Charlotte, że ta nie mogła złapać tchu.

- Kochanie, cieszę się twoim szczęściem. Sama widzisz, że zimowe podróże mają swoje zalety.

- Owszem. - Charlotte splonęła rumieńcem. - To się stało, kiedy Justyn... to znaczy pan Trevimick odwoził mnie do Mostyn Hall.

- Tak przypuszczałam.

- Pobierzemy się wiosną. - Teraz Charlotte przytuliła kuzynkę. - Jak mogę być taka szczęśliwa, skoro Kit...

- Zaslugujesz na pomyślną odmianę losu - przerwała Beth stanowczo. - Wreszcie nadeszła. Dość się nacierpiałś.

Szczerze mówiąc, uważam, że to raczej pan Trevithick jest szczęściarzem, bo zdobył twoje serce.

Charlotte zarumieniła się i usiłowała protestować, a potem dodała:

- Bałam się oczywiście, że okropny postępek Kita spowoduje zerwanie zaręczyn, ale Justyn... - Zarumieniła się jeszcze bardziej. - Oznajmił stanowczo, że dla niego ta sprawa nie jest istotna. Na szczęście niewiele znaczy w swojej rodzinie, więc może robić, co chce. Gdyby chodziło o jego kuzyna lorda, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, ale... - Umilkła, a po namyśle mruknęła: - Tak czy inaczej sytuacja jest osobliwa.

Zasmucona Beth pokiwała głową. Słowa Charlotte potwierdziły wcześniejsze obawy, że Markus jest dla niej stracony i w przyszłości nic ich nie będzie łączyło. Raz jeszcze przypomniała sobie jego pożegnalne słowa. Może to i lepiej? Szalony romans na Fairhaven był poza wszelką krytyką. Beth wzdrygnęła się na samą myśl, co by mówiono w towarzystwie, gdyby sprawa wyszła na jaw. Skandal z uwiedzeniem i porzuceniem biednej Eleonory narobił mnóstwo zamieszania, więc jej naganny związek z Markusem nie zrobiłby już takiego wrażenia, ale plotkarze mieliby o czym rozprawiać. W drodze do Londynu miała dość czasu, żeby zastanowić się nad tym, jak ułożyć sobie życie bez Markusa. Serce nie chciało słuchać zdrowego rozsądku. Beth okropnie tęskniła za ukochanym, a jej miłość nie osłabła pomimo braku nadziei na wspólną przyszłość. Z każdą godziną ubywało tylko wiary, że mogą być razem.

Ciężko opadła na krzesło.

- Natychmiast każe podać herbatę - oznajmiła Charlotte.

i zadzwoniła na służbę. - Opowiedz mi, co porabiałaś. Straszna ze mnie egoistka. Chciałam natychmiast podzielić się z tobą dobrymi nowinami, więc...

- Nie mów głupstw, kochanie - skarciła ją dobrotliwie Beth. Robiła dobrą minę do złej gry i uśmiechała się, chociaż zbierało jej się na płacz. - Szczerze mówiąc, nie mam żadnych

nowin. Postanowiłam, że Fairhaven ma pozostać własnością lorda Trevithicka. Ta sprawa jest zakończona.

- Ależ, Beth! - Charlotte wyglądała na zaskoczoną. - Bardzo ci zależało na tej wyspie...

- To prawda. - Beth zacisnęła złożone dłonie. - Ale kiedy tam przyjechałam, okazało się, że moje wyobrażenia nie przystają do rzeczywistości. Potem wszystko ci opowiem, lecz na razie musisz być cierpliwa. Umieram ze zmęczenia.

- Naturalnie. - Charlotte spochmurniała, patrząc na wymizerowaną twarz kuzynki. - Jedno pytanie, Beth. Sądziłam, że lord Trevithick zamierza cię poprosić...

- Nie rozmawiajmy teraz o nim - przerwała stanowczo Beth. Nie miała ochoty tłumaczyć kuzynce, co się zdarzyło w czasie pobytu na Fairhaven. - Sprawa Eleonory i Kita jest przecież znacznie ważniejsza.

W tej samej chwili podano herbatę. Beth odetchnęła z ulgą, bo Charlotte zaabsorbowana obowiązkami pani domu zaprzestała pytań. Szkoda tylko, że spochmurniała na wzmiankę o zniknięciu brata.

- Kochanie, jakie to wszystko okropne! Przyjechałam z Mostyn Hall natychmiast po otrzymaniu wiadomości od pana Gough, choć sama nie wiem, na co mogę się tutaj przydać. Jak Kit mógł uwieść i porzucić tę nieszczęsną dziewczynę! To do niego niepodobne!

- Czy na pewno tak było? - zapytała Beth, biorąc od Charlotte filiżankę herbaty. Wolą rozmawiać o cudzych sprawach, choćby trudnych, niż roztrząsać własne problemy. - - W głowie mi się nie mieści, że okazał się zdolny do takiej podłości!

- Nie wiesz wszystkiego. Jest gorzej, niż sądziłam. - Charlotte była zbita z tropu. - Eleonora twierdzi, że wzięli ślub.

- Dlaczego uważasz, że to pogarsza sprawę? - zachnęła się nieco zirytowana Beth. Charlotte spojrzała na nią ze zdziwieniem, więc dodała pospiesznie: - Pani Trevithick powinna być usatysfakcjonowana. Obrączka na palcu sprawia, że wcześniejsze afery można uznać za niebyłe.

- To prawda, ale to małżeństwo zostało zawarte w atmosferze skandalu. - Charlotte wyglądała tak, jakby miała się za moment rozplakać. - Dzień później Kit opuścił żonę i zniknął bez śladu. Nie do wiary, że okazał się zdolny do i takiej podłości.

Beth odstawiła filiżankę i ujęła zimne dłonie kuzynki.

- Moim zdaniem to jedno wielkie nieporozumienie. Coś się musiało wydarzyć. Mam nadzieję, że prawda wkrótce wyjdzie na jaw.

- Aż strach pomyśleć! Obawiam się najgorszego. - Charlotte mocno ścisnęła rękę Beth. - Nie muszę ci mówić, że na moje życzenie Gough szukał Kita wszędzie, lecz na próżno.

- Opowiedz mi wszystko ze szczegółami - poprosiła Beth. - Wątpię, żebym doszła do nowych wniosków, ale przynajmniej spróbuję.

Gdy Charlotte skończyła opowieść, herbata dawno wystygła. Zadzwoiły na służbę i kazały przynieść świeży napar. Beth szybko się zorientowała, że Charlotte wie wszystko od Justyna, dla którego źródłem informacji był Markus. Ten z kolei wziął na spytki Eleonorę. W największym skrócie chodziło o to, że dziewczyna nie chciała wyjść za wielbiciela, którego próbowała narzucić jej matka. W desperacji uciekła do Kita, błagając go o pomoc i ratunek. Według niej ukochany stanął na wysokości zadania, wyjednał, gdzie należało, stosowne pozwolenie i wziął z nią ślub, ale następnego dnia opuścił ją i zniknął. Nie miała od niego żadnej wiadomości i dlatego po pewnym czasie ze złamanym sercem i zszarganą reputacją wróciła do Trevithick House.

- Wicehrabina nie szczędziła córce słów potępienia - ciągnęła oburzona Charlotte, patrząc na Beth smutnymi niebieskimi oczyma. - Moim zdaniem tylko zaszkodziła Eleonorze swoją paplaniną. Teraz we wszystkich salonach plotkuje się o najbardziej osobistych szczegółach tego romansu i omawia powody, które sprawiają, że nie można unieważnić małżeństwa.

Beth z dezaprobatą uniosła brwi.

- O Boże! Żal mi Eleonory. Dobrze się składa, że większość znajomych z towarzystwa opuściła Londyn. Wkrótce sprawa ucichnie, bo straci urok nowości. Wyjdzie na jaw nowa afera i ludzie zapomną o wcześniejszym skandalu. Taka jest kolej rzeczy.

Charlotte nerwowym gestem wygładziła suknię.

- Justyn uważa, że po powrocie lorda Markusa, który jest do siostry bardzo przywiązany, sytuacja zmieni się na lepsze. Lord Trevithick zrobi wszystko, żeby ratować jej reputację, ale trudno powiedzieć, jak ma tego dokonać, jeśli Kit nie zostanie odnaleziony. - Głos jej się załamał. Po chwili szlochała rozpaczliwie, a Beth ścisnęła jej dłonie.

- Nie płacz, Charlotte. Wszystko będzie dobrze. Jestem tego pewna.

Nadrabiała miną i udawała optymistkę, żeby kuzynka nie popadła w czarną rozpacz.

- Bardzo przepraszam - powiedział kamerdyner Carrick, stając w drzwiach. - Przyszedł pan Justyn Trevithick.

Ogarnięta przerażeniem Beth zerwała się na równe nogi. Wykluczone! Nie mogła teraz stanąć twarzą w twarz z Justynem. Na pewno będzie mówił o Markusie, co dla niej

byłoby ponad siły. Popatrzyła na Charlotte, która rozpromieniła się natychmiast, a jej twarz przybrała wyraz ekstatycznej radości. Beth podejrzewała, że w tym momencie stanowi przeciwieństwo kuzynki. Na pewno zbladła i sprawiała wrażenie, jakby miała lada chwila osunąć się bezwładnie na podłogę. I rzeczywiście była bliska omdlenia.

- Wybacz, Charlotte, ale jestem zmęczona podróżą i marzę o odpoczynku. Przepróż w moim imieniu pana Trevithicka, że nie mogę się z nim zobaczyć.

Gdy w pośpiechu opuszczała salon, czuła na sobie wzrok zdumionej Charlotte. W ostatniej chwili uciekła przed gościem. Gdy zamykała za sobą drzwi, słyszała niewyraźnie, jak wita się z ukochaną. Pobiegła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Drżała na całym ciele i daremnie próbowała się uspokoić. Charlotte wspomniała, że Justyn odwiedza ją codziennie, co dla Beth stanowiło poważne utrudnienie. Zapewne w tej chwili słuchał właśnie nowiny o jej powrocie z Fairhaven i wkrótce doniesie o tym Markusowi.

Wtuliła głowę w poduszkę. W czasie podróży złożyła samej sobie uroczystą obietnicę, że nigdy więcej się z nim nie zobaczy.

Miała dziesiątki powodów, żeby podjąć taką decyzję.

Przede wszystkim postępki Kita, który bezpowrotnie zniweczył wszelkie szanse na pojednanie skłóconych rodzin.

w przeciwieństwie do Justyna, który niewiele znaczył wśród krewnych i dlatego mógł robić, co mu się podobało, Markus był głową rodziny i musiał bronić jej honoru. Z tego powodu wszelka zażyłość z Mostynami była nie do przyjęcia. Kiedy Beth uświadomiła sobie tę prawdę, straciła nadzieję na ślub.

Wystarczyło, że przypomniała sobie, co powiedział, kiedy żegnali się na Fairhaven, aby pojąć, że nie mogą być razem.

Jak na ironię z ważnego powodu marzyła teraz o małżeństwie z Markusem.

Przymknęła oczy. Tak bardzo go kochała, że w tych okolicznościach kolejne spotkanie byłoby dla niej prawdziwą torturą. Nie do zniesienia wydawała się myśl o tym, że mieliby stanąć twarzą w twarz, rozmawiać o swoich sprawach, zdecydować wspólnie o nieuchronnym rozstaniu. Postanowiła, że najpierw włączy się w poszukiwanie Kita i pomoże Scharlotte przetrwać zamieszanie poprzedzające oficjalne zaręczyny i ślub, a potem usunie się do Mostyn Hall. Czekala ją smutna i samotna zima. Będzie się musiała obyć bez towarzystwa kuzynów. Na szczęście Charlotte ma teraz Justyna, który się nią zaopiekuje. Beth pospiesznie otarła łzę spływającą po policzku. Nie miała zwyczaju uważać się nad sobą i mimo życiowych zawirowań nie zamierzała tego zmieniać.

Następnego ranka po dobrze przespanej nocy wcale nie czuła się lepiej. Była tak osłabiona, że nie miała siły podnieść głowy z poduszki. Zatraskana Charlotte przyszła do sypialni Beth, która złościła się na siebie, bo przysparzała kuzynce zmartwień.

- Nic mi nie jest - mruknęła zachrypnięta, gdy pełna obaw Charlotte zasypała ją pytaniami. - Poleżę w łóżku i wkrótce odzyskam wigor. To pewne jak deszcz po południu.

Charlotte miała na sobie elegancką suknię odpowiednią na przedpołudniowy spacer. Z pomocą Justyna z wolna przełamywała instynktowną niechęć do opuszczania domu i pod jego opieką coraz chętniej wyruszała na krótkie przechadzki. Londyn opustoszał, ulice były wyludnione i spokojne, więc mogła stopniowo oswajać się z dużym miastem. Beth popatrzyła na kuzynkę z zadowoleniem i odrobiną zazdrości. Położyła się na boku i natychmiast zasnęła.

Obudziła się po południu. Nie miała pojęcia, co ją wybiło ze snu, aż usłyszała dobiegający z holu znajomy głos.

- Mówiono mi, że lady Allerton wróciła do miasta. Czy to prawda?

Markus! Usiadła z trudem, ale zmieniła zdanie, opadła na poduszkę i leżała nieruchomo, jakby w ten sposób chciała uprawdopodobnić kłamstwo, że nie ma jej w domu. Zdawała sobie sprawę, że zdesperowany Markus, nie zważając na konwenanse, może przyjść do jej sypialni. Dawniej często tam zachodził... na Fairhaven, nie w Londynie. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź kamerdynera.

- Lady Allerton odpoczywa po podróży i nikogo nie przyjmuje. Prosiła, żeby jej nie przeszkadzać. Kiedy się obudzi, powiem, że pan o nią pytał, milordzie.

- Będę wdzięczny - oparł krótko Markus. Beth słyszała cień zniecierpliwienia w jego głosie. - Proszę przekazać lady Allerton, że jutro przyjdę z wizytą.

Odetchnęła z ulgą, kiedy drzwi zamknęły się za nim. Drżąc na całym ciele, długo leżała bez ruchu okryta ciepłą kołdrą. Markus przyszedł się z nią zobaczyć. Powinna się domyślić, że złoży wizytę, i przygotować się do niej. Wiedziała, że nie miał zwyczaju unikać trudnych sytuacji. Zamiast czekać, aż sytuacja zmieni się na lepsze, wolał stawić jej czoło. Tak mu nakazywało poczucie honoru. Uważał za swój obowiązek spotkać się z kochanką i narzeczoną w jednej osobie, aby oznajmić, że między nimi wszystko skończone. Musiał zerwać zaręczyny. Ta sprawa dotyczyła tylko ich dwojga. Nigdzie poza wyspą nowina nie została ogłoszona. Beth zdecydowała, że powierzy ją pieczy Markusa, do lady Salome napisze list z wyjaśnieniem, że waśń rodowa wyklucza jej ślub z Markusem, a potem usunie się do Mostyn Hall i spróbuje zapomnieć o nieszczęśliwej miłości. Problem w tym, że ostatni punkt jej planu był nie do urzeczywistnienia. Po pierwsze, o Markusie nie da się łatwo

zapomnieć, a po drugie, zostawił jej po sobie pamiątkę, która wkrótce przestanie być dla innych tajemnicą.

Jęknęła boleśnie, zwijając się w kłębek. Wiedziała, że nie może w nieskończoność unikać spotkania z Markusem, ale postanowiła je odwlec do czasu, aż poczuje się na tyle silna, żeby stanąć z nim twarzą w twarz, a także kłamać w żywe oczy.

Wieczorem zwlokła się z łóżka, przebrała do kolacji i zeszła na dół, żeby dotrzymać towarzystwa kuzynce. Usiadła z nią do stołu, lecz wkrótce stało się jasne, że nie zdoła przełknąć ani kęsa, więc odetchnęła z ulgą, gdy przeszły do salonu. Charlotte opowiedziała jej o poszukiwaniach prowadzonych przez pana Gough, który imał się wszelkich sposobów, żeby znaleźć Kita. Daremnie! Młody człowiek przepadł jak kamień w wodę. Nie widziano go w żadnym porcie, więc zapewne nie wyjechał z kraju. Nie odzywał się do przyjaciół. Krótko mówiąc, rozpląnął się w powietrzu.

- Justyn powiedział, że jego kuzyn pilnie chce się z tobą zobaczyć - oznajmiła Charlotte, gdy zakończyła półgodzinną opowieść dotyczącą bezowocnych poszukiwań. - Zajrzy! tutaj po południu.

- Słyszałam go - odparła pospiesznie Beth. - Problem w tym, że nie czułam się na siłach, aby przyjmować gości.

- Może jutro. - Charlotte zmierzyła ją badawczym spojrzeniem. - Byłoby dobrze, gdyby nasze rodziny wymieniły. się informacjami. Może coś z tego wyniknie.

- Nie spotkam się z lordem Markusem, moja droga - oznajmiła stanowczo Beth. - Nie mam na to ochoty. Już zapowiedziałam służbie, że dla niego nie ma mnie w domu.

- Ale dlaczego? - Charlotte nie wierzyła własnym uszom.

- Proszę, nie pytaj. - Przerazona Beth czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem. - Po prostu nie chcę z nim rozmawiać.

Uciekła na górę, nim Charlotte zaczęła ją namawiać do zmiany zdania.

Następnego dnia wszyscy domownicy mieli okazję przekonać się, że Beth nie rzuca słów na wiatr. Gdy Markus przyszedł z wizytą, nie chciała go przyjąć. Zamknięta w swoim pokoju, słyszała, jak wypadł z domu i trzasnął drzwiami. Zdawała sobie sprawę, że unikając go, postępuje jak tchórz.

Gdy Charlotte w towarzystwie Justyna wróciła ze spaceru, natychmiast poszła na górę i nie przebierając w słowach, powiedziała jej to samo.

- Dlaczego pogarszasz sprawę? Nasza sytuacja i bez tego jest bardzo trudna - besztła kuzynkę. - Odpowiedz mi szczerze, Beth. Pokłóciłaś się z Trevithickiem? Jeśli tak... - Błagam, Charlotte! - jęknęła Beth. - Zostaw mnie w spokoju!

Zdesperowana, włożyła płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Kazała stangretowi zaprzęgać. Pojechała do kancelarii pana Gough w nadziei, że usłyszy jakieś nowiny, ale srodze się zawiodła. Prawnik niechętnie przyznał, że jego wysiłki nie dają żadnych rezultatów. Mimo wszystko była zadowolona ze swojej wyprawy, bo zrobiła wreszcie coś konkretnego i uwolniła się na pewien czas od przenikliwych oczu Charlotte.

Gdy opuszczała kancelarię, po drugiej stronie ulicy spostrzegła Markusa idącego z Eleonorą. Na jego widok serce uderzyło jej mocniej. Wystarczyło, że go zobaczyła, i już kolanami się pod nią ugięły. Wydawał się zmęczony i smutny. Beth najchętniej przebiegłaby na drugą stronę ulicy i rzuciła mu się w ramiona.

Markus i Eleonora zegnali się z jakimś mężczyzną. Beth poznała Gowera, który był ich pełnomocnikiem. Zapomniała, że obaj z Gough mają biura niemal drzwi w drzwi. Odwróciła się i szybkim krokiem zmierzała do powozu, ale Markus od razu ją zauważył. Pospiesznie zamienił z Eleonorą kilka słów, przebiegł przez ulicę i ruszył w stronę Beth. Wskoczyła do powozu, nie czekając, aż usłużny Gough poda jej rękę. Prawnik na równi z Markusem był zdumiony takim zachowaniem. Na twarzy tego ostatniego oprócz zdumienia malowała się także złość. Otworzył szeroko drzwi powozu, nim zdążyła zastukać na stangreta.

- Lady Allerton!

- Milordzie? - Beth przybrała swój najbardziej wyniosły ton. Nie miała innego wyjścia. To jedyny sposób, żeby uniknąć drżenia głosu. Markus był zdumiony i mocno zirytowany. Beth omal się nie rozpląkała.

- Proszę o chwilę rozmowy. Czy wysiądzie pani na moment?

- Wykluczone - burknęła wrogo. - Nie mam na to ochoty, milordzie.

Markus skrzywił się, jakby poczuł fizyczny ból. Zdumienie wciąż górowało u niego nad złością. Beth czuła się winna, że traktuje go tak podle.

- Zapewne z powodu tych wszystkich niefortunnych zdarzeń, które ostatnio miały miejsce, prawda? - spytał mocno zdenerwowany. - Postępek kuzyna pani...

- To nie ma nic do rzeczy - odparła z kamienną twarzą. Błagała go w duchu, żeby przerwał tę indagację, bo lękała się, że lada chwila wybuchnie płaczem.

- W takim razie w pani nastawieniu zaszła zmiana. - Nerwowo przeganiał palcami gęstą czuprynę. Wydawał się zagubiony i całkiem zbity z tropu. Nagle zmienił ton. - Beth, masz prawo irytować się na mnie z powodu zmian wywołanych zaistniałą sytuacją, ale pozwól, żebyśmy to spokojnie omówili. O nic więcej nie proszę.

Spodziewała usłyszeć takie słowa, lecz gdy te obawy się potwierdziły, odniosła wrażenie, że Markus zadał jej cios w samo serce. Niczego już od niej nie chciał. Tłumaczyła sobie, że jego decyzja nie jest dla niej zaskoczeniem. Od pamiętnej rozmowy na Fairhaven wiedziała, że Markus zmienił zdanie i już nie chce jej poślubić. Mimo to była wstrząśnięta i zrozpaczona.

- Moim zdaniem nie powinniśmy wdawać się w żadne rozmowy, milordzie - odparła z całą stanowczością, na jaką potrafiła się zdobyć. Unikała jego wzroku. - To byłoby niewłaściwe.

Doprowadzony do furii jej uporem, patrzył zmrużonymi oczyma.

- Czyżby? Co za bzdura! Skąd te skrupuły? Może powinienem pani przypomnieć, że w mojej obecności pozwalala sobie pani na dużo większą swobodę?

Beth cofnęła się w głąb powozu.

- Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan zostawić mnie samą. Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Markus długo się jej przyglądał. Wydawało się, że minęły wieki, nim usłyszała znowu jego głos.

- Dobrze. Od początku była pani bardzo przywiązana do legend o rodowej waśni, prawda? Skoro tak bardzo zależy pani na jej podtrzymywaniu, nie będę się sprzeciwiać. Życzę pani dobrego dnia, milady.

Zatrzasnął drzwi, a Beth opadła na poduszki i zamknęła oczy, lecz mimo to łzy spływały spod zaciśniętych powiek. Spaliła za sobą mosty. Zdawała sobie sprawę, że to nieuniknione, a jednak czuła się przeraźliwie samotna, jakby nie miała na tym świecie nikogo bliskiego.

Następnego dnia Beth zeszła rano do jadalni w porze śniadania, bo zamierzała poinformować Charlotte, że wkrótce jedzie do Mostyn Hall. Zaczął się drugi tydzień stycznia. Doskonały moment, aby rozpocząć nowe życie. Problem w tym, że nie zawsze można odciąć się całkowicie od przeszłości. Beth doskonale wiedziała, że wydarzenia ostatnich miesięcy odcisną trwałę piętno na jej dalszej egzystencji.

Charlotte siedziała już przy stole. Wyglądała ślicznie i świeżo w pasiastej biało - żółtej sukni. Fryzurę ozdobiła wstążkami w tych samych kolorach. Ładna twarz promieniała radością. Beth czuła się przy niej jak zgrzybiała staruszka. Opadła na krzesło stojące po drugiej stronie stołu.

- Charlotte - zaczęła smutno. - Podjęłam decyzję. Jutro wracam do Mostyn. - Umilkła, gdy kuzynka podniosła wieko jednej z waz i odłożyła je na blat kredensu. Zapach duszonych nerek przyprawił ją o mdłości. Z jawną odrazą przyglądała się apetycznej potrawie.

- Ulubione danie Kita - przypomniała Charlotte. - Nie mam serca powiedzieć kucharce, że nie będę tego jeść. To pewne, że służba tak samo jak my zamartwia się o niego.

Beth poczuła nadchodzące mdłości.

- Przepraszam, Charlotte! - zawołała, zasłaniając usta rękami. Wstała od stołu i wybiegła z jadalni.

Ledwie zdążyła schronić się w swoim pokoju. Gdy nudności ustały, przemyśla twarz i usta, a następnie popatrzyła w lustro. Wyglądała okropnie: ziemista cera, sińce pod oczami, włosy zwisające smętnymi kosmykami. Po ataku mdłości była wyczerpana, kręciło jej się w głowie. Podeszła do łóżka i wślizgnęła się pod kołdrę.

Usłyszała pukanie do drzwi.

- Beth?

Ogarnięta rozpaczą, zacisnęła powieki. Zabrakło jej sił, żeby walczyć z dobrocią Charlotte, która czuła się w obowiązku natychmiast zajrzeć do chorej kuzynki. Beth wiele by dała, żeby nikt jej nie widział w tym stanie, ale stało się. Charlotte otworzyła drzwi, weszła do jej sypialni i z poważną miną zbliżyła się do łóżka. Usiadła na brzegu posłania. Satynowa pościel lekko szeleściła.

- Kiedy zaczęły się te mdłości? - zapytała spokojnie. Beth popatrzyła na nią i zaraz odwróciła wzrok. Po minie kuzynki poznała, że jej tajemnica została odkryta. Ze smutkiem przyznała w duchu, że przed Charlotte nic się nie ukryje. Jak mogła oszukiwać najlepszą przyjaciółkę? - Zaledwie kilka dni temu - odparła słabym głosem. - Czuję się podle. - Łzy spływały po białych policzkach. Charlotte ścisnęła jej dłoń.

- Wkrótce poczujesz się lepiej - zapewniła rzeczowo. - Po trzecim miesiącu mdłości zwykle przestają dokuczać.

- Charlotte...

- Wiem, wiem. To prawda, że nie mam dzieci - wpadła jej w słowo kuzynka, pobłażliwie kręcąc głową - ale obserwowałam brzemiennie żony oficerów i słuchałam ich zwierzeń. Sporo dowiedziałam się o ciąży i porodach. Znam również skuteczne sposoby na opanowanie porannych mdłości.

- Mnie jest niedobrze przez cały dzień - poza nią się Beth.

- Tak bywa, niestety, ale znajdują się metody, które złagodzą twoje dolegliwości - odparła Charlotte z lekkim uśmiechem. Pochyliła się i czule uściskała kuzynkę. - Dzięki, że

nie próbujesz mi niczego wmówić. Mogłabyś twierdzić, że twoje dolegliwości to przedłużająca się choroba morska albo zwykła niestrawność.

Beth zalała się łzami.

- Kochanie...

- Cicho, skarbie. Domyślam się, co czujesz. - Charlotte starała się uspokoić Beth.

- Jestem nieszczęśliwa i zagubiona. Ciągłe płaczę i wściekam się na samą siebie.

Wzruszona Charlotte roześmiała się nerwowo.

- . Rzeczywiście nie jesteś sobą. Dlatego tak się martwiłam. Niepokoi mnie również twoja niechęć do rozmowy z lordem Trevithickiem. - Odsunęła się i popatrzyła na kuzynkę. - Co się stało?

Beth pociągnęła nosem i sięgnęła po chusteczkę.

- To chyba oczywiste! Nie jestem rozpustnicą. Markus nie uwiódł mnie podstępem. Po prostu stało się. Byłam jego kochanką. Nikt mnie nie zmuszał. Wręcz przeciwnie. Zaraz po Bożym Narodzeniu mieliśmy się pobrać, ale gdy przyszedł list od wicehrabiny... Sama rozumiesz, że w tej sytuacji o ślubie nie ma mowy. Markus dał mi to do zrozumienia, nim opuścił Fairhaven.

- Musisz powiedzieć mu, że spodziewasz się dziecka! Jest człowiekiem honoru i wie, co należy uczynić! - oznajmiła surowo Charlotte.

- Och, przestań! Nie chcę, żeby się ze mną ożenił tylko z powodu dziecka! Kocham go, ale bez wzajemności. Myślę, że po tym, jak podróżowaliśmy na Fairhaven tylko we dwoje, Markus uznał za swój obowiązek oświadczyć mi się, żeby ratować moją reputację. Nie chcę, żeby traktował małżeństwo jak obowiązek. Są też inne przeszkody. Sprawa Kita...

- A co to ma do rzeczy? - zdenerwowała się Charlotte.

- Nie rób z siebie męczennicy z powodu tego krety, mojego brata. Wybuchł skandal, ale to nie twoja wina.

- Mniejsza z tym. Już ci mówiłam, że przed opuszczeniem Fairhaven Markus praktycznie zerwał zaręczyny. Myślę, że w takiej sytuacji nie ma o czym dyskutować - upierała się Beth.

- Rozmawiałaś z nim po przyjeździe do Londynu? O ile mi wiadomo, chciał się z tobą spotkać, ale nie raczyłaś go przyjąć - powiedziała z wyrzutem Charlotte.

- Spotkaliśmy się przypadkiem. Prosił o chwilę rozmowy, bo postanowił definitywnie ze mną zerwać. Powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć - ciągnęła Beth łamiącym się głosem. - Tak jest lepiej. Mój stan wkrótce będzie widoczny, dlatego muszę stąd zniknąć. Powinnam jak najszybciej wrócić do Devon. Jeśli będę się czuła dostatecznie silna, żeby

podróżować, wyruszę *jutro*. Nie ma sensu, żebym siedziała w Londynie. Kitowi nie jestem w stanie pomóc, a nie mogę ryzykować, że Markus pozna moją tajemnicę.

- Beth, prędzej czy później i tak się dowie - tłumaczyła cierpliwie Charlotte. - Musisz być świadoma, że jeśli urodzisz nieślubne dziecko Markusa Trevithicka, wybuchnie skandal.

Beth pozostawała głucha na wszelkie argumenty i upierała się przy swoim.

- Jakoś się z tym uporam, kiedy będzie taka potrzeba.

- Zobaczmy. - Charlotte wstała i podeszła do drzwi. - Moim zdaniem wygadujesz same bzdury, ale teraz nie zamierzam się z tobą spierać. Zaraz ci przyniosę kilka suchych grzanek. Zapewniam, że kiedy je schrupiesz, od razu poczujesz się lepiej.

Pobiegła do kuchni i wkrótce stanęła pod drzwiami pokoju Beth z talerzem w ręku. Już miała zapukać, ale usłyszała stłumiony szloch i uznała, że grzanki mogą poczekać. Beth czuła się okropnie, więc lepiej zostawić ją samą. Niech się wypłacze.

Postawiła talerz na podłodze przed drzwiami i z ciężkim sercem poszła do salonu, żeby spokojnie przemyśleć to, czego się dziś dowiedziała.

Usiadła w fotelu i westchnęła głęboko. Nie miała wątpliwości, że Beth gorąco kocha Markusa. Przygodne romanse nigdy jej nie interesowały. Charlotte zawsze uważała, że kuzynka jest zbyt impulsywna, samowolna i uparta. Dlatego próbowała przemówić jej do rozumu, niestety, z miernym skutkiem. Widziała teraz jasno i wyraźnie, że Beth wprawdzie oddała serce Markusowi, lecz zarazem wmówiła sobie, że to miłość bez wzajemności, a ślubu nie będzie.

Charlotte znowu westchnęła. To pewne, że Beth postawi na swoim i ucieknie do Devon, żeby uniknąć poważnej rozmowy z Markusem. Ciekawe, co on by na to powiedział. Charlotte wiedziała od Justyna, że lordowi bardzo zależy na tym, aby nadal widywać Beth. Nie chodziło o jedno spotkanie. Markus z pewnością miał wobec Beth poważne zamiary. Nie wyglądał na człowieka, który chce jak najszybciej zerwać zaręczyny. Takie sprawy załatwia się listownie.

Głęboko zamyślona Charlotte nerwowo bębniła palcami o poręcz fotela. Według Beth Markus oznajmił, że ich ślub nie może się odbyć. Charlotte podejrzewała, że jego słowa zostały opacznie zrozumiane. Z kolei Markus usłyszał niedawno od Beth, że między nimi wszystko skończone. Tamci dwoje naprawdę byli siebie wari. Zamiast kierować się zdrowym rozsądkiem, gadali głupstwa i w każdym zdaniu doszukiwali się ukrytych aluzji. Rozstali się i teraz oboje są nieszczęśliwi. Na własne życzenie! Dobrze im tak! Niech to będzie dla nich nauką. Nie można jednak pozwolić, żeby nazbyt długo cierpieli.

Charlotte wstała, zadzwoniła na służącą i kazała przynieść swój płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Miała wyrzuty sumienia. Dręczyło ją nieprzyjemne odczucie, że wtrąca się w cudze sprawy, ale nie widziała innego wyjścia. Chodziło przecież o szczęście Beth, o jej dobro.

Wezwała stangreta i kazała zaprzęgać.

Wkrótce po raz pierwszy w życiu sama jedna przemierzała eleganckim powozem ulice Londynu. Cierpiała na agora - fobię; lękała się otwartych przestrzeni, obcych ludzi i nowych znajomości. Zawsze ktoś jej towarzyszył, ale tym razem sama musiała stawić czoło wyzwaniu.

W holu Trevithick House przyjął ją dystyngowany kamerdyner, który potraktował ją lekceważąco i na pytanie o lorda Markusa oznajmił, że jaśnie pana nie ma w domu.

Charlotte drżała jak liść i czuła palące łzy pod powiekami, ale wzięła się w garść.

- Czyżby? - powiedziała lodowatym tonem. - Dobry człowieku, idź natychmiast do lorda Trevithicka i powiedz mu, że pani Cavendish chce z nim rozmawiać. Chodzi o sprawę wielkiej wagi.

W tej samej chwili w głębi holu otworzyły się drzwi i stanął w nich Markus. Rozmawiał z mężczyzną w średnim wieku. Twarz miał zasepioną. Najwyraźniej był w kiepskim nastroju. Charlotte miała złe przeczucia. Na pewno nie zechce jej przyjąć!

- Szukamy w londyńskim porcie, wysłaliśmy też ludzi do Southampton - powiedział rozmówca Markusa. Obaj umilkli na widok zgnębionej Charlotte. Markus zaraz się rozpromienił, więc odetchnęła z ulgą.

- Pani Cavendish! Proszę wybaczyć, że musiała pani czekać. Gower - zwrócił się uprzejmie do swego pełnomocnika, - Wrócimy do tej rozmowy. Dzięki za pomoc.

Zaprosił Charlotte do swego gabinetu i przepuścił ją w drzwiach. Zdenerwowana i pełna obaw, weszła do środka. Ręce jej się trzęsły. Markus wiedział o jej przypadłości. Wskazał jej fotel i usiadł po drugiej stronie biurka.

- Widzę, że jest pani bardzo poruszona - odezwał się łagodnym głosem. - Każę służbie przynieść kieliszek wina. To panią wzmocni. Zadała pani sobie tyle trudu. Czemu zawdzięczam tę wizytę? Są jakieś wiadomości o bracie?

Charlotte uśmiechnęła się przez łzy.

- Niestety. Żadnych śladów. Przyszłam tu w innej, równie ważnej sprawie. Chodzi o moją kuzynkę Beth Allerton.

Markus spochmurniał i unióśł się w fotelu, jakby zamierzał wstać i zakończyć rozmowę.

- Bardzo proszę... - zaczęła błagalnym tonem i wyciągnęła do niego rękę.

Po chwili Markus usiadł, a rysy mu złagodniały.

- Przepraszam, jeśli znów poczuła się pani zaniepokojona. O czym mamy rozmawiać?

Gdy Beth obudziła się ze snu, do którego ukołysało ją rozpaczliwe łkanie, w domu było dziwnie cicho. Otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Na podłodze stał talerz z suchymi grzankami. Zjadła je z apetytem, nabrała sił i ożywiła się nieco. Postanowiła spakować rzeczy i jutro z samego rana wyruszyć w drogę.

Gdy z holu dobiegły ją stłumione głosy, początkowo nie zwracała na nie uwagi, bo uznała, że to Gough jak co dzień przyszedł naradzić się z Charlotte. Nagle usłyszała krzyk i odgłosy gwałtownej szarpaniny.

- Co ty gadasz, kretynie? - Natychmiast rozpoznała głęboki głos Markusa. - Lady Allerton jest w domu i zaraz mnie przyjmie!

Ktoś szedł po schodach na piętro. Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich Markus.

- Znowu uciekasz, moja droga? - spytał z przesadną kurtuazją. - Weszło ci to w krew.

- Dzień dobry, milordzie. Trafił pan w sedno. Jadę do Devon.

- Znowu? - Markus stał w drzwiach, blokując przejście, jakby chciał jej dać do zrozumienia, żeby wybiła sobie z głowy wszelkie podróżowanie. - Włóczy się pani po kraju niczym domokrążca. Najwyższy czas się ustatkować. - Wszedł do pokoju. - Nie zgadzam się na ten wyjazd. W błogosławionym stanie? To niebezpieczne!

Zaskoczona Beth upuściła rzeczy, które zamierzała schować do kufra. Ramiona opadły jej bezwładnie.

- Już wiesz - szepnęła i zbladła.

- Wiem - przytaknął. - Nie od ciebie. Twoja kuzynka mi powiedziała.

- Nie miała prawa - odparła cicho Beth.

- Gdyby nie ona, dowiedziałbym się, że mam z tobą dziecko, od salonowych plotkarzy, tak?

- Nie chciałam ci mówić z obawy, że zmusisz mnie do małżeństwa. Ja się nie liczę, ale twoje dziecko nie może być bękartem, prawda? - odparła z goryczą i wybuchnęła płaczem. - Na Fairhaven powiedziałaś, że nie możemy się pobrać.

- Nieprawda!

- Tak mówiłeś!

- Chodziło mi o to, że trzeba odłożyć ślub, ale zaraz po przyjeździe do Londynu zebrałem wszystkie niezbędne dokumenty. Wziąłem je ze sobą. Możesz sprawdzić daty. Mam je od miesiąca. Beth, ja cię kocham! Z wzajemnością. Tego jestem pewny. - Rozpromienił się, gdy energicznie pokiwała głową. - Marsz do łóżka! Musisz wypocząć - powiedział. - I żebyś

mi pięknie wyglądała na ślubie! Gdzie się podziały twoje rumieńce? Przestań się martwić. Teraz wszystko jest na mojej głowie. Ty masz dbać o siebie i o nasze dziecko. - Uśmiechnął się kpiąco i zajrzał jej w oczy. - A Fairhavea wniesiesz mi w posagu.